

ŻYCIE
KONSEKROWANE



Wydawca i adres Redakcji
Wydawnictwo Misjonarzy Klaretynów „Palabra”
ul. Poborzańska 27, 03-368 Warszawa
Filia: ul. Wieniawskiego 38, 51-611 Wrocław
tel. 730 468 633; 693 150 853; 71 348 30 86
e-mail: zyciekonsekwowane@gmail.com
www.palabra.pl

Rada Naukowa

bp J. Kiciński CMF (przewodniczący), P. Bęza CMF, ks. M. Chmielewski,
J.W. Gogoła OCD, K. Lubowicki OMI, ks. A. Łuźniak, ks. J. Machniak,
ks. W. Miształ, ks. R. Nęcek, P.P. Ogórek OCD, ks. K. Radzki,
ks. bp A. Siemieniowski, ks. W. Słomka, J. Tupikowski CMF, ks. S. Urbański.

Redaktor tematyczny wydania

P. Liszka CMF

Redakcja

M. Jeżowski CMF (redaktor naczelny)
A. Bober CMF (sekretarz redakcji)

Tłumaczenia streszczeń

A. Kobyłski CMF

Korekta

R. Kycia CMF

Nakład 500 egz.

Druk

Drukarnia JAKS, ul. Bogedaina 8, 50-514 Wrocław

Warunki prenumeraty

Prenumerata przyjmowana jest przez cały rok:
krajowa – 80 PLN
zagraniczna – 130 PLN

Wpłaty na konto bankowe:

Bank Pekao S.A. Oddział Wrocław
83 1240 1994 1111 0000 2496 7213

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów i zmiany tytułów.
Materiałów nie zamówionych nie odsyłamy.

Spis treści

ROZEZNAWANIE POWOŁAŃ – ŚWIADECTWA. 25-LECIE „ŻYCIA KONSEKROWANEGO”

Od Redakcji	5
-------------------	---

ROZEZNAWANIE POWOŁAŃ – ŚWIADECTWA

kard. Fernando Sebastián CMF	10
Józef Augustyn SJ	16
Wiesław Dawidowski OSA	24
Jolanta Hernik RMI	30
Barbara Latocha, Zgromadzenie Sług Jezusa	35
Piotr Liszka CMF	40
Kazimierz Lubowicki OMI	43
Teresa Maciaszek ZSAPU	51
Czesław Parzyszek SAC	56
Maksymilla Pliszka SBDNP	63
Radosława Podgórska FSK	68
Marian Zawada OCD	73
Dolores Dorota Zok SSpS	80

25-LECIE „ŻYCIA KONSEKROWANEGO”

Marek Jeżowski CMF	
Dwudziestopięciolecie „Życia Konsekrowanego”	86
bp Jacek Kiciński CMF	
Życie konsekrowane wczoraj i dziś	99

STUDIA I REFLEKSJE

Samuela Klimas, „Koinonia św. Pawła”	
Prawda jako droga do poznania siebie i poznania Boga	108
ks. Stanisław Urbański	
Dwie postawy wobec świętości	122

RECENZJE

- O. Anzelm od św. Andrzeja Corsini OCD, *Droga do miłości doskonałej*,** Archiwum Założyciela Zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, Łódź, ss. 616.
Kazimierz Duda OCD 140
- Bp Ignacy Dec, *Ku prawdzie na skrzydłach wiary i rozumu*,** t. II, *Rozważania teologiczne*, Świdnica 2018, ss. 911.
ks. Stanisław Kowalczyk 144

Od Redakcji

W lipcu br. minęło 25 lat od ukazania się pierwszego numeru „Życia Konsekwowanego”, początkowo kwartalnika, a od 2002 r. dwumiesięcznika. Ten skromny jubileusz, przypadający w przededniu XV Zgromadzenia Ogólnego Synodu Biskupów poświęconego młodzieży, wierze i rozeznawaniu powołania, postanowiliśmy uczcić publikując świadectwa osób konsekrowanych odgrywających szczególną rolę w polskim Kościele i nie tylko. Poprosiliśmy o to niektórych przełożonych, zwłaszcza z Zarządu KWPZM i Konsulty KWPZZZ, a także teologów najczęściej publikujących na naszych łamach, aby podzielili się z nami swoimi doświadczeniami w procesie rozpoznawania ich powołania do życia konsekrowanego. Nie sprecyzowaliśmy tematu. Można było napisać wszystko, byle krótko. Można było opowiedzieć o tym jak zostali zakonnikami, dlaczego nimi są, jak odkryli powołanie, opisać ludzi, którzy pomogli im je rozeznąć i podjąć decyzję jego realizacji, albo którzy pomogli przetrwać chwile zwątpienia w okresie formacji wstępnej itd. Zasugerowaliśmy także nieprzemilczanie trudności i przeszkód, a nawet osób, które nie były zadowolone z ich decyzji pójścia za Chrystusem drogą rad ewangelicznych. Daliśmy wolną rękę co do zawartości tego świadectwa, mogącego zawierać zarówno głębokie przemyślenia duchowe jak i nie pozbawione humoru dygresje, byleby tylko było to szczere osobiste świadectwo dotyczące rozeznania własnego powołania i podjęcia decyzji jego realizacji.

Wszyscy znamy historie rozeznawania powołań wielkich zakonodawców, nieraz zaskakujące, poczynszy od pierwszych oj-

ców pustyni po założycieli naszych zgromadzeń i instytutów, oraz te, w których sami braliśmy udział jako kierownicy duchowi lub tzw. powołaniowcy. Internet pełen jest świadectw młodych księży i osób konsekrowanych o historii ich powołania, również w języku polskim, choć siła ich oddziaływania na młodych internautów poszukujących sensu życia wydaje się znikoma. Znamy relacje i świadectwa z licznych kongresów powołaniowych oraz publikacje zbierające uzgodnione podczas nich wnioski. *Nowe powołania dla nowej Europy* (1997) to jeden z takich dokumentów, bezsprzecznie ważny, ale mocno teoretyczny. Nawet ostatnie kongresy zorganizowane w czasie przygotowań do najbliższego Synodu (Częstochowa 14-16.10.2016; Rzym 1-4.12.2017) były spotkaniami przede wszystkim odpowiedzialnych za duszpasterstwo powołaniowe – z pewnością wybitnych specjalistów, ekspertów którzy znają odpowiedzi na najtrudniejsze pytania i mają propozycje rozwiązania wielu problemów, ale którym niejednokrotnie trudno jest udzielić przekonującej odpowiedzi na pytanie, dlaczego sami wybrali drogę rad ewangelicznych i dlaczego warto zrobić to samo co oni. Nie bez znaczenia jest też brak odpowiedzi na list otwarty do papieża Franciszka skierowany doń już półtora roku temu przez liderów ruchu Il Cammino Dei Tre Sentieri, sprowokowany jego analizą kryzysu powołań przedłożoną Kongregacji ds. Duchowieństwa (3.10.2014) i późniejszymi wypowiedziami. Skoro zaś mowa o papieżu, to warto przypomnieć wspomniały *List do młodych całego świata* Jana Pawła II (31.03.1985) i przedstawioną tam jego wnikliwą analizę procesu rozpoznawania powołań, bardzo praktyczną, stojącą mocno na ziemi i daleką od bujania w obłokach, a jednocześnie pełną teologicznej głębi.

Z dużym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że Jan Paweł II nie znał życiorysu Mateo Casals Mas (1883-1936), który pragnąc zostać księdzem wstąpił w 1898 do seminarium diecezjalnego w Solsonie. Jednak ówczesna formacja przewidywała podczas wakacji kilka miesięcy pobytu w różnych parafiach. On zaś, odwrotnie niż Jej Ekscelencja grana przez Wiesława Michnikowskiego w słynnym filmie Juliusza Machulskiego, nie odczuwał nieśmiałości do kobiet. W związku z tym, aby chronić swoją

decyzję całkowitego poświęcenia się Bogu, postanowił wstąpić do zakonu, gdzie kontakt ze światem zewnętrznym byłby zdecydowanie bardziej ograniczony. Zastanowił się, skonfrontował swoje pragnienia z predyspozycjami, zamiary ze zdolnościami i wadami, i w 1902 wstąpił do misjonarzy klaretynów. Tam skutecznie zrealizował swoje dążenie do doskonałości i dzisiaj jest jednym ze 184 błogosławionych męczenników tego zgromadzenia. Zrobił dokładnie to, o czym osiem dekad później napisał Jan Paweł II w *Liście do młodych*.

Zapraszamy do lektury kilkunastu świadectw podjęcia naśladowania Jezusa drogą rad ewangelicznych złożonych przez osoby konsekrowane, piastujące odpowiedzialne stanowiska w Kościele i na uczelniach, które otwarcie, prosto i bez patosu, często z dziecięcą wprost szczerością, opowiedziały o tym, dlaczego poświęciły swoje życie Bogu i Kościołowi. Oby w pałdzierniku na Watykanie nie zabrakło podobnych świadectw i podobnej otwartości wszystkim uczestnikom obrad synodalnych.

Marek Jeżowski CMF



***ROZESZNAWANIE POWOŁAŃ –
ŚWIADECTWA***

kard. Fernando Sebastián CMF

Pampeluna

Historia pewnego powołania

Moi bracia w Polsce poprosili mnie, abym opowiedział im na kilku stronach, jak to było z moim powołaniem do życia zakonnego, kapłańskiego i misyjnego w Zgromadzeniu misjonarzy Klaretynów. Robię to z wielką przyjemnością. Nie mam nic nadzwyczajnego do opowiedzenia. Ale jeśli ta relacja przyniesie komuś pożytek, będę bardzo szczęśliwy. To wspomnienie będzie pożyteczne również dla mnie samego. Odświeżenie pamięci o wydarzeniach i uczuciach tamtych czasów, już dość odległych, pomaga mi dziękować Panu i Dziewicy Maryi za jej miłosierną interwencję w moim życiu.

Powołanie jest sprawą Boga Ojca i Jezusa Chrystusa. Oni oświecają nasze umysły światłem Ducha Świętego i poruszają nasze serca, abyśmy w porę odkryli wielkość naśladowania Pana, abyśmy uwolnili się od światowych projektów i zdecydowali się żyć blisko Niego, abyśmy całkowicie poświęcili się służbie dla Królestwa Bożego, podążając za przykładem Apostołów.

Pierwszym załączkiem mojego powołania było, bez wątpienia, wychowanie religijne, które otrzymałem w mojej rodzinie i w kolegium Braci Szkolnych Maryistów. Mając siedem lat, w 1937 roku, razem z moimi kolegami z klasy przystąpiłem do Pierwszej Komunii świętej z pobożnością i oddaniem. Odtąd lubiłem odwiedzać Pana w kaplicy kolegium. Bracia Maryści zaszczerpili w nas nabożeństwo do Najświętszej Maryi Panny. Z wielkim zapałem odprawialiśmy w kolegium “majówki” i nowennę do Niepokalanej. Wciąż pamiętam modlitwy i pieśni tych nabożeństw.

Opatrznościowe okazało się przybycie do mojego rodzinnego miasta Calatayud w 1941 albo w 1942 r. ojca Evencio Zubiri¹. Był on z rocznika błogosławionych Męczenników Klaretyńskich z Barbastro. W lipcu 1936 r. musiał pojechać do Saragossy i to uratowało go przed śmiercią. Mówił, że Pan nie chciał, aby oddał swe życie w męczeństwie, ale że musi je dawać z dnia na dzień w posłudze apostołskiej. Był bardzo przystępny, pełen entuzjazmu i bardzo gorliwy.

Po przybyciu do Calatayud, o. Evencio zabrał się za ożywienie Sodalicji Mariańskiej, założonej w mieście przez Ojców Jezuitów. Od tego stowarzyszenia rozpoczął szeroką i intensywną pracę duszpasterską z młodzieżą bilbilitańską (tak nazywają się mieszkańcy Calatayud, z powodu pobliskiego rzymskiego miasta zwanego Bilbilis).

Pewnego razu jeden z moich kolegów, który później także wstąpił do Zgromadzenia, zaprosił mnie, abym mu towarzyszył w drodze do domu Sodalicji Mariańskiej. To zaproszenie było decydującym momentem. Poszedłem z nim i spodobała mi się atmosfera. Nie było tam nic więcej poza małą salą obok kościoła, ze stołem bilardowym, stołem do gry w pin-ponga i czterema gramami planszowymi, ale panowało w tym miejscu zaufanie, przyjaźń i radość. Przyszedł o. Evencio, przywitał nas i zainteresował się nami. Spodobało mi się to wszystko i zacząłem odwiedzać to miejsce. Salon „los luises”² – jak go potocznie nazywaliśmy – zaczął być punktem spotkań z moimi nowymi przyjaciółmi, celem obowiązkowej wizyty każdego dnia. Po skończonych lekcjach, gdy minał czas na naukę, spotykaliśmy się w Sodalicji, aby trochę porozmawiać lub przejść się po najbardziej ruchliwych ulicach.

¹ Evencio Zubiri Enériz CMF (1913-2004), formator, rekolekcjonista, duszpasterz (m.in. pierwszy proboszcz parafii Serca Maryi w Saragossie), krzewiciel kultu Niepokalanego Serca Maryi. Alfredo María Pérez Oliver opracował jego biografię: *P. Evencio Zubiri CMF. Una antorcha multiplicada*, Publicaciones Claretianas, Madrid 2012. Wszystkie przypisy w tym tekście są tłumacza.

² Jezuiti założyli w Hiszpanii w XVII-XX w. wiele bractw i stowarzyszeń młodzieży męskiej pod patronatem św. Alojzego Gonzagi (Hermandad/Congregación de San Luis Gonzaga) i św. Stanisława Kostki (Hermandad/Congregación de San Estanislao de Kostka). Pierwszych potocznie nazywano „los Luises”, drugich „los Kostkas”. Pierwszą nazwę stosowano też powszechnie w odniesieniu do grup męskich w Sodalicjach Mariańskich.

Krok po kroku wchodziłem w życie i praktyki Sodalicji. W każdą niedzielę chodziłem na Mszę św., często spowiadałem się u o. Zubiri, codziennie nawiedzałem Najświętszy Sakrament. Potem doszło do odwiedzania chorych i katechezy. W każdą niedzielę wczesnym popołudniem udawaliśmy się do peryferyjnych dzielnic, żeby katechizować miejscowe dzieci i chłopców, którzy w tamtych czasach byli bez wykształcenia i jakiegokolwiek formacji.

Po pewnym czasie moje życie stało się intensywnie związane z działalnością Sodalicji Mariańskiej; praktyki pobożnościowe, proste praktyki apostołskie, wypełniały cały mój wolny czas. W jakimś momencie przyniosłem do domu ocenę niższą niż zwykle (myślę, że to było z fizyki) i moja matka zareagowała odwiedzając o. Zubiri. Powiedziała mu: „Jeśli Fernando przyniesie złą ocenę, będzie musiał zostawić działalność w Sodalicji i przyłożyć się bardziej do nauki”. Nie było szans. Zareagowałem i oceny ponownie stały się satysfakcjonujące.

Następnego roku, w 1944, o. Evencio zorganizował rekolekcje dla członków Sodalicji w pierwszych dniach Wielkiego Tygodnia. Miały się one odbyć w w kolegium Braci Marystów. Zapisalem się, aby odprawić te rekolekcje. Po raz pierwszy w moim życiu. Miałem wtedy czternaście lat. Zaczęłem z pewnymi obawami. Obawiałem się, że w owych dniach Pan poprosi mnie o coś niezwykłego. I tak też się stało. Podczas medytacji nad śmiercią Jezusa moje serce doznało głębokiego wzruszenia. Nie mogąc sobie z tym poradzić, płakałem z wielkiego bólu. Płakałem za moje grzechy i za grzechy świata, płakałem za to, że nie kochałem więcej Jezusa, który umarł za mnie. Od tego momentu nie chciałem opuścić kaplicy. Jedynym moim pragnieniem było zbliżyć się do Jezusa, aby zanurzyć się w jego miłości, odwdziżyć się za jego miłosierdzie, modlić się w imieniu tych, którzy się nie modlą, wypraszać zbawienie dla świata.

Podczas następnych medytacji pojawiła się w moim sercu nowa troska. Coś, czego nigdy nie czułem z taką jasnością i siłą: „Muszę współpracować z Jezusem dla zbawienia świata”. Przed zakończeniem rekolekcji już wiedziałem, że moje życie musi się zmienić. Do tego czasu chciałem zostać nauczycielem, lubiłem się uczyć i lubiłem uczyć innych. Moje rozumowanie było bardzo

proste: „Jeśli lubię uczyć, to cóż jest lepszego od wykorzystania życia dla nauczania innych Ewangelii Jezusa. Cóż lepszego od poświęcenia życia dla uczenia poznawania i kochania Jezusa?”

Z tych uczuć narodziło się bardzo szybko wezwanie Pana: „Musisz zostać misjonarzem. Chcę, żebyś był misjonarzem”. Na początku wydawało mi się to nonsensem, przesadą. Jednak ta myśl stopniowo mnie zdominowała. Opierałem się, byłem przeżony koniecznością nauki, zostawienia rodziny, moich życiowych planów. Ale już nie mogłem żyć spokojnie, Pan wzbudził we mnie tę możliwość, tę potrzebę. Nie mogłem stanąć w jego obecności, żeby się nie pojawiło to wezwanie: „Musisz być misjonarzem. Chcę, żebyś był misjonarzem”. Widziałem moich kolegów, którzy spokojnie realizowali swoje życie i powtarzałam w moim wnętrzu: „Jeśli oni żyją tak spokojnie, dlaczego ja mam te strapienia?” Był to bezużyteczny opór wobec wezwania Pana. Wybrał mnie i nie mogłem żyć spokojnie bez akceptującej odpowiedzi na jego wezwanie. Tak minęły dwa lub trzy miesiące zmagania i udręki. Wszystko ustało dopiero wtedy, gdy pewnego popołudnia poddałem się podczas modlitwy. „Tak, Panie, będę misjonarzem, będę żył z Tobą i dla Ciebie, w służbie twojego Królestwa i dla zbawienia moich braci”.

Następnego dnia poszedłem do spowiedzi do o. Zubiri i powiedziałem mu: „Ojcze, chcę być misjonarzem”. Byłem podniekowany, ale Ojciec przyjął to bardzo spokojnie. „Dobrze, w porządku, to się zobaczy”. Od tego momentu zmieniłem sposób mojego życia. Chodziłem na Mszę św. każdego dnia przed pójściem do Instytutu, spowiadałem się szczerze co tydzień, starannie przygotowywałem moje katechezy. Zacząłem codziennie czytać fragment Ewangelii. Czytałem również życiorysy niektórych świętych, św. Antoniego M. Klareta, św. Franciszka Ksawerego, św. Jana Bosco, św. Filipa Neri.

Minał rok i 18 lipca 1945, wraz z kolegą z Sodalicii, już nieżyjącym Arturo Gonzálezem, wstąpiłem do nowicjatu w Vic. Pożegnanie było trudne i bolesne. Pewnego dnia usłyszałem, jak moja matka mówiła do sąsiadki: „Pan mi go dał, Pan mi go odebrał”. Wiara i hojność mojej matki pomogły mi jednak przetrwać ciężkie cierpienia tamtych dni.

Teraz, z perspektywy siedemdziesięciu lat, dziękuję Bogu za strumień łaski, który otrzymałem w tym czasie. Czuję wielki ból z powodu tamtych rozstań, ale jednocześnie czuję się bezpieczny, szczęśliwy, chciałem odpowiedzieć na wezwanie Pana, chciałem żyć całkowicie dla niego i dla Ewangelii. Najświętsza Maryja Panna była mocno obecna w moim umyśle i w moim sercu. Pod wpływem emocji matka zapytała mnie: „Mój synu, kto się tobą zaopiekuje? Do kogo się przytulisz?” Powiedziałem jej: „Nie martw się, mamo. Dziewica się mną zaopiekuje. Pójdę do Niej każdego dnia”. Mając prawie dziewięćdziesiąt lat mogę powiedzieć, że Dziewica bardzo dobrze wypełniła swoje zadanie matki. Opiekował się mną wyjątkowo dobrze. Ponadto Bóg dał mi łaskę, że mogłem opiekować się moją chorą matką w ostatnich latach jej życia.

Teraz doceniam bardziej niż wtedy prawdziwie niezwykłą łaskę mojego powołania, jasność którą Pan mnie oświecił, moc którą mi dał do przezwyciężenia wszystkich trudności i zmiany mojego życia z taką determinacją i stanowczością. Cenię również hojność moich rodziców i ich zaufanie do Opatrzności Bożej, że dali mi niezbędne pozwolenie na wstąpienie do Zgromadzenia w wieku piętnastu lat, prawie dziecku, wyrzekając się mojej obecności w rodzinie i tak hojnie oddając mnie na służbę Panu i jego Kościołowi. Za to wszystko dziękuję Bogu każdego dnia.

Rok nowicjatu był trudny. W tamtych czasach życie nowicjuszy było dość trudne. Wstawaliśmy wcześniej, zima była dotkliwie chłodna, w Hiszpanii trwały lata niedostatku i wyżywienie nie było zbyt dobre, plan zajęć był drobiazgowy, wymagający, w środowisku nowicjatu pielęgnowano stare tradycje, przesadne, trochę nierealne. Nie rozumiałem zbyt dobrze tego wszystkiego, nie widziałem związku z życiem misyjnym. Wszystko to wydawało mi się zbyt zamknięte, zbyt dziecinne, trochę duszące.

Chciałem odejść i wrócić do domu. Przez pewien czas myślałem, że popełniłem błąd. Poszedłem kilka razy do pokoju ojca superiora, by mu powiedzieć, że chcę wrócić do domu. On z wielką mądrością i nie małą cierpliwością, słuchał mnie i zachęcał do wytrwania jeszcze kilku kolejnych dni, abym się nie spieszył z czymś tak ważnym. Zachęcał do wytrwania mówiąc mi: „A je-

śli Pan chce, abys̄ został? Wytrzymaj trochę dłużej”. Aż pewnego dnia, w dniu święta Wniebowzięcia NMP, obudziłem się rano z nową, bardzo jasną wizją: widziałem, że muszę znosić to wszystko, aby zrealizować moje podstawowe pragnienie, którym było naśladowanie Jezusa Chrystusa, życie dla Niego i służba Ewangelii w Jego Kościele. Tego dnia w czasie porannej medytacji miałem tę modlitwę: „Dzięki Ci, Panie, oto jestem, i tu zostanę, na przekór wszystkim żywiołom³”. To była szczególna łaska Boga. Od tego czasu 15 sierpnia jest dla mnie świętem wielkiej pobożności i zażyłości. Ciągłe dziękuję Bogu i Dziewicy Maryi za to potężne oświecenie.

Wkrótce, podczas pierwszych lat studiów, lat filozofii – jak się wtedy mówiło, z pomocą modlitwy i niektórych lektur, szczególnie dzięki wykładom formacyjnych o. prefekta José Solé⁴ i jego osobistym wskazówkom, oczyściłem moje powołanie i umocniłem ostatecznie moją odpowiedź, z pomocą łaski Pana. Nigdy więcej nie miałem wątpliwości ani niepokoїв, co do mojego powołania.

Przeżyłem ciężkie chwile i przeszedłem przez wiele trudności, ale zawsze było dla mnie oczywiste, dzięki łasce Bożej, że moje życie jest Jezusa Chrystusa i dla Jezusa Chrystusa, Kościoła i dla Kościoła, z prostotą i wiernością Maryi Dziewicy, zawsze w perspektywie misyjnej, w Zgromadzeniu Misjonarzy Klaretynów, podążając za przykładem i śladami św. Antoniego M. Klaretta. Niech Bóg będzie błogosławiony za Jego wielkie miłosierdzie!

tłum. Marek Jeżowski

³ „na przekór wszystkim żywiołom” – w oryg.: „aunque caigan chuzos de punta”. Powiedzenie nie mające bezpośredniego odpowiednika w innych językach. Na angielski tłumaczone jest czasem: „come hell or high water”, na francuski: „contre vents et marées”. Nawet na Kubie w jego miejsce używa się porzekadła: „salga el sol por donde salga”.

⁴ José María Solé Romá CMF (1913-1992) formator, liturgista, homileta, bibliista, rekolekcjonista. Wstąpił do Zgromadzenia mając 9 lat, złożył śluby zakonne mając lat 16, święcenia przyjął mając 22 lata. Prefektem w Solsonie był w latach 1939-1951. Przez trzy dekady (1954-1988) pełnił w Barcelonie różne funkcje w Zarządzie prowincji.

Józef Augustyn SJ

Kraków

Świadectwo

Do Towarzystwa Jezusowego wstąpiłem mając ukończonych piętnaście lat. Kiedy dziś patrzę na piętnastolatków, dziwię się sam sobie, jak to było możliwe... „Czyż piętnastoletni chłopiec może podjąć tak ważną decyzję odnoszącą się do całego życia?” – pytają niekiedy młodzi w czasie spotkań. Ale przecież wiele osób w bardzo młodym wieku dokonuje, odwołując się do intuicji, istotne decyzje odnoszące się do całego życia... Decyzje te wymagają później, w kolejnych etapach życia, rozeznania, konfrontacji, potwierdzenia. W ten sposób dojrzewają, oczyszczają się. Istotna dla młodego człowieka bywa wówczas pomoc rodziców, wychowawców, wspólnoty, przyjaciół.

1. Kiedy pięćdziesiąt lat od tamtej decyzji myślę o moim powołaniu, widzę jasno, iż było ona możliwa dzięki szczególnej atmosferze duchowej i religijnej panującej w domu rodzinnym, w parafii. Szczera, prosta i ofiarna pobożność ojca i matki, wspólna modlitwa, tworzyły klimat dla narodzin pragnienia bycia kapłanem oraz dla wyboru pójścia tą drogą. Również parafia, której proboszczem był człowiek bardzo oddany ludziom, ks. Jan Ślęzak, oraz przykład starszych rodaków seminarzystów i księży, tworzyły naturalne środowisko, w którym dojrzewało moje „pragnienie bycia księdzem”. Nie byłem wówczas świadom różnicy pomiędzy życiem zakonnym i kapłańskim. Pierwsze było kapłaństwo, a jego wcielenie – diecezjalne czy zakonne – było wtórne. Dopiero z czasem uświadomiłem sobie różnicę.

Moja decyzja nie była nagła, przypadkowa. Narastała powoli. „Szczęśliwym przypadkiem”, czy może raczej zrządzeniem Opatrzności, okazał się wybór jezuitów. Zetknąłem się z nimi po raz pierwszy w Nowym Sączu w czasie Koronacji Obrazu Matki Boskiej Pocieszenia [1963], na którą zabrała mnie Matka. Miałem wówczas trzynaście lat. Rok później już sam przyjechałem, by prosić jezuitów o przyjęcie do zakonu. Ojciec Tadeusz Michalik SJ,

przełożony klasztoru, polecił mi zrobić pierwszą klasę szkoły średniej. W tym czasie dyskretnie się mną opiekował i – jak łatwo się domyślić – przyglądał mi się badając moją zdatność. Codziennie służyłem do Mszy świętej w kościele klasztorным. Bardzo bliski był mi Obraz Matki Bożej Pocieszenia. Pamiętam, że w kilku trudnych chwilach, modliłem się przed nim żarliwie. Tak przygotowywałem się do rozpoczęcia nowicjatu.

Moi rodzice posiadali naturalną mądrość prostych ludzi i nie doradzali mi niczego, ani też niczego nie odradzali. Ojciec pomagał w załatwianiu spraw formalnych, ale nie wyrażał żadnych emocji z tym związanych. Mogłem się ich jedynie domyślać. Matka była mniej powściągliwa. I choć wiedziałem, że moja decyzja sprawia jej radość, to jednak była zbyt dyskretna, by mi o niej mówić wprost. O tym, że modliła się o powołanie dla mnie, powiedziała mi po moich prymicjach. Kiedy dwa lata temu, niemal czterdzieści lat od jej śmierci odkryłem jej listy pisane do córek, moich starszych siostr, z uwagą śledziłem, co pisała w nich na mój temat. Wspominała jedynie o pewnych wydarzeniach, ale nie wyrażała przy tym żadnych emocji: „Byłam w październiku u Józia w Starej Wsi. Józio czuje się zdrowy, zadowolony i wesoły jak nigdy w życiu”; „Józio się dobrze sprawuje i przełożeni są z niego zadowoleni”; „Józio jeszcze nie pisał, czy zdał egzaminy, bo jeszcze nie wszystko zdawali”; „Józio przyjechał ze Starej Wsi i zrobił nam niespodziankę. Tak mi go było żal, bo wtedy było bardzo zimno, mróz i śnieg wielki”¹. Same fakty.

2. Nie odczuwałem nigdy jakiegóż szczególnej obawy, że mógłbym zawieść rodziców, ale obawiałem się, że mógłbym zawieść „samego siebie”. Bardzo chciałem żyć w zakonie, być księdzem, ale całą formację towarzyszyła mi świadomość mojej kruchości ludzkiej, duchowej. Moje pojęcie „bycia księdzem” w pierwszym okresie formacji było wyidealizowane, stąd też – świadom swoich ułomności – miałem wątpliwości, czy aby podolał wymaganiom. Mojemu Proboszczowi, o którym wspominałem, zawdzięczam niewątpliwie moje zaufanie do księży, dzięki któremu dwuletni no-

¹ Anna Augustyn, *Listy Matki*, Wydawnictwo M, Kraków 2017.

wicjat w popaulińskim klasztorze w Starej Wsi koło Brzozowa, z wszystkimi jego rygorami, przyjmowałem jako coś oczywistego.

Nie wszystko rozumiałem, co do nas mówili wychowawcy. Od zrozumienia intelektualnego ważniejszy jednak był klimat starowiejskiego klasztoru: skupienie, cisza, modlitwa oraz wypracowany przez dziesięciolecia regularny rytm codziennego życia zakonnego. Jestem świadom, że w pierwszym okresie formacji najważniejszy był ów klimat i dobry przykład współbraci, starych rozmodlonych mnichów, którzy cieszyli się naszą obecnością w zakonie i traktowali nas niemal jak wnuków. Czuliśmy ich życzliwość, duchowe wsparcie.

Dziś po wielu latach od chwili wstąpienia do jezuitów wiem, że istotnym warunkiem dojrzewania do kapłaństwa i życia zakonnego jest świadectwo członków wspólnoty, w której żyje się na co dzień. Ksiądz rośnie przy księdzu, zakonnik przy zakonniku, jak dzieci rosną przy swoich rodzicach. Tak było od początku chrześcijaństwa. I choć wiele zwyczajów i obrzędów zakonnych, w które wprowadzano nas wówczas, należy do przeszłości, to jednak miały one swoje znaczenie dla kształtowania naszej postawy: uczyły umartwienia, skruchy, pokuty, tworzyły klimat modlitwy oraz budowały wspólnotę braterską.

Dzięki temu, iż wstąpiłem do zakonu wcześniej, Bóg w swoim miłosierdziu oszczędził mi wielu pokus i niebezpieczeństw. Rozmawiając dzisiaj z alumnami, myślę, że ich powołanie dojrzewa w znacznie trudniejszych warunkach i okolicznościach, i – jeżeli chcą pozostać wierni – muszą się wykazać determinacją duchową i walką. Aby uchronić wierność Bogu i swemu sumieniu, muszą okazać się mocni. „Napisałem do was, młodzi, że jesteście mocni i że nauka Boża trwa w was, i zwyciężyliście Złego” (1J 2,14) – tylko w takim klimacie może dziś dojrzewać powołanie kapłańskie i zakonne.

3. Pomimo mojego młodego wieku i rygoru, jaki panował w jezuickim nowicjacie w drugiej połowie lat sześćdziesiątych XX wieku, przyznam się, że owe dwa lata nowicjatu zaliczam do najspokojniejszego i najpiękniejszego okresu mojego życia. Od pierwszego dnia po wstąpieniu, nowicjacki dzień był bardzo skrupulatnie

zaplanowany, na wszystko był przewidziany czas. Nie musieliśmy niczego planować. Zegarki były nam niepotrzebne, więc oddawaliśmy je w depozyt wraz z innymi zbędnymi rzeczami. Na wszystko, co wychodziło poza nowicjacki program, należało mieć osobiste pozwolenie ojca magistra lub jego pomocnika, ojca socjusza. I tak, aby napić się wody, udać się do sypialni w ciągu dnia lub też porozmawiać z kimś w czasie zajęć, trzeba było prosić o pozwolenie.

Już po dwu tygodniach ubrano nas w habity. Wszystko było bardzo proste. Rano, przed udaniem się na poranną modlitwę przywdziewaliśmy ofiarowane nam habity. Niektórzy nowicjusze, o wyglądzie nieco dziecięcym, w habitach prezentowali się dość zabawnie, co stawało się okazją do żartów. I choć nie mogliśmy dokazywać, jak nasi rówieśnicy „w świecie”, to jednak znajdowaliśmy sposoby na wyrażanie naszej chłopięcej jeszcze energii.

4. Serdecznie wspominam mojego magistra Ojca Tadeusza Binkowskiego. Prowadzone z nim rozmowy miały charakter nieco formalny, ale był to bardzo dobry zakonnik, rozmodlony, przejrzysty, ciepły, opiekuńczy i bardzo nam życzliwy. Z dużą też wyrozumiałością i cierpliwością traktował nasze młodzieńcze potknięcia i drobne wybryki. Taktował nas prawdziwie po ojcowsku. Pamiętam, jak pewnego razu przespałem pobudkę, medytację i Mszę świętą. Takie rzeczy nie zdarzały się na co dzień. Sam się dziwiłem, jak to było możliwe. Po tym moim „przestępstwie”, ojciec magister wezwał mnie do siebie i zapytał, dlaczego byłem nieobecny na medytacji i na Mszy świętej. Odpowiedziałem po prostu, że zasnęłam. „Czy *carissimus* się dobrze wyspał?” – zapytał życzliwie. Odpowiedziałem, że tak. „No to proszę podziękować za to Panu Bogu” – odrzekł.

W ciągu dwóch lat tylko raz widziałem go zdenerwowanego. Przyszedł kiedyś na wieczorną rekreację, w czasie której byliśmy zobowiązani rozmawiać po łacinie. Słyszając nasze głośne krzyki w języku polskim, z niecierpliwością przypomniał nam o tym, że winniśmy rozmawiać językiem starożytnych Rzymian.

5. Rzecz charakterystyczna, że jezuicki rygor wychowawczy był jednak połączony z wielką przestrzenią wolności duchowej.

Nikt nam nie narzucał żadnych form i schematów modlitwy, nie byliśmy zmuszani do przebywania godzinami w kaplicy. W nowicjacie poranne rozmyślanie odprawialiśmy w *asceterium* przy swoich *pulpitach*, które były naszym stałym miejscem studium, modlitwy, lektury, pisania listów, robienia notatek. Po nowicjacie zaś – przez całą formację – poranne rozmyślanie odprawialiśmy w swoich pokojach. Na początku przekazywano nam ignacjański sposób rozmyślania i rachunku sumienia, codziennie wieczorem dawano nam piętnastominutowe *punkta* do porannej medytacji. Co nowicjusz robił z tym wszystkim później, to była już sprawa jego sumienia.

Klimat wewnętrznej wolności wynikał z tradycji *Ćwiczeń duchownych* św. Ignacego Loyoli, którą żył zakon. Dziś, kiedy widzę, jak w niektórych wspólnotach formacyjnych narzuca się młodym zewnętrzne formy pobożności, doceniam wielkie zaufanie, jakim nas, nastoletnich zakonników, wychowawcy darzyli w starowiejskim klasztorze. W nowicjacie wspólne modlitwy i nabożeństwa były ograniczone do minimum. Większość modlitw miała charakter osobisty i odbywała się w ciszy. Każdy zagospodarowywał sobie czas modlitwy sam, według własnych duchowych potrzeb i pragnień.

Patrząc na styl formacji w pewnych seminariach, nowicjatch, mam wrażenie, że nie docenia się nieraz wielkich duchowych możliwości młodych ludzi, którzy czują się powołani do służby Panu. Wyrazem tego bywa skracanie rozmyślania do minimum... Szkoda nam czasu... Jeśli jako wychowawcy damy młodym przykład osobistej modlitwy i stworzymy im odpowiednie warunki do przedłużonej modlitwy w skupieniu i ciszy, możemy być pewni wielkich owoców ich zaangażowania duchowego.

6. Owoce modlitwy nowicjusza i jego pracy nad sobą były jednak bardzo uważnie sprawdzane przez ojca magistra. Nie dokonywało się to jednak w rozmowach indywidualnych, ponieważ te były rzadkie i raczej formalne, ale w codziennej postawie i zachowaniu. To wychowawcy obserwowali bardzo uważnie. Jeśli ktoś nie zaakceptował stylu życia nowicjackiego, usiłował żyć „po swojemu”, było to natychmiast widoczne. Takie osoby same

odchodziły lub też były usuwane. Częściej były jednak usuwane. Stąd też naszą zmaganiem było wydalanie kolegów z nowicjatu. Dość powiedzieć, iż wstąpiło nas do nowicjatu dziesięciu, pierwsze śluby składało już tylko czterech.

Usuwanie z nowicjatu odbywało się ekspresowo, dosłownie w przeciągu dwóch godzin. A było to tak. Przed rozpoczęciem porannej medytacji ojciec magister wzywał nowicjusza na krótką rozmowę, komunikował mu decyzję, ten się pakował i wyjeżdżał najbliższym autobusem. Na śniadaniu już go nie było między nami. Nie mogliśmy się nawet pożegnać. Przyjmowaliśmy to jako pewną konieczność, choć było to bardzo przykre. Byliśmy jednak na tyle krytyczni, by zdawać sobie sprawę, że pewne osoby nie nadawały się do życia zakonnego lub też zachowywały się w sposób, który nie licuje z klasztorem.

W innych sytuacjach nie mieliśmy należytego rozeznania. Rodziło to więc poczucie zagrożenia. Skoro usunięto dziś zaprzyjaźnionego kolegę, jutro mogą usunąć mnie. Jeżeli komuś zależało na życiu zakonnym, sytuacja była trudna do przyjęcia. Odchodzącego określano łacińskim przyimkiem: *ex*. Liczba mnoga brzmiała: *exi*. Młodość ma jednak to do siebie, że nie rozczuła się nad tym, co było wczoraj, ale wybiega ku przyszłości. I to nas trzymało.

7. Po ukończeniu dwuletniego nowicjatu jezuici składają wieczyste śluby zakonne ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Są to śluby proste. Było we mnie jeszcze wiele obaw. I choć niepewność związana z moją kruchością tliła się gdzieś na dnie duszy, to jednak miałem świadomość, że śluby po nowicjacie nie zamykają formacji, ale raczej ją otwierają. Do kapłaństwa miałem jeszcze około dziesięciu lat, a do ostatnich ślubów prawie dwadzieścia. Pierwsze śluby składałem z całym spokojem. Z jednej strony odwoływałem się do zaufania, jakim zakon mnie obdarza, dopuszczając mnie do nich, z drugiej zaś do mojego zaangażowania i otwartości.

Pierwsze śluby odbywały się w tamtych czasach – podobnie zresztą jak obłóczyny – bez żadnej szczególnej oprawy zewnętrznej. Śluby składaliśmy w uroczystość św. Ignacego Loyoli.

Skromny obrzęd liturgiczny, bez udziału rodziny, miał miejsce w kaplicy domowej, w czasie Mszy świętej. Nasze ślubowania odbierał rektor kolegium. Przed komunią świętą, przy podniesionej przez celebransa hostii, wypowiadaliśmy kolejno formułę ślubów, każdy osobno, przyrzekając uroczyście „wobec Majestatu Bożego, Matki Bożej i całego dworu niebieskiego”, że „choćbyśmy ze wszech miar niegodni”, chcemy zachować wiernie czystość, ubóstwo i posłuszeństwo zakonne.

Jezuickie śluby składane po nowicjacie – na mocy przywileju Stolicy Apostolskiej – mają charakter ślubów wieczystych. Po Mszy świętej były skromne życzenia wspólnoty nowicjackiej. Od zaprzyjaźnionych kolegów otrzymałem kilka obrazków. Po śniadaniu udaliśmy się wspólnie „na wille”, dzień wypoczynku. Tak zakończył się pierwszy etap jezuickiej formacji.

8. W dalszych etapach mojej formacji zakonnej i kapłańskiej nie były mi oszczędzone kryzysy i wątpliwości. Były one związane, zarówno z moim dorastaniem ludzkim i duchowym, jak też z rozeznaniem powołania i podjęcia ostatecznej decyzji o przyjęciu święceń kapłańskich. I choć do tej decyzji przygotowywałem się przez jedenaście lat i mojej decyzji byłem wewnętrznie pewien, to jednak na kilka dni przed przyjęciem diakonatu miałem w sobie wiele niepokoju, chodziłem po ogrodzie klasztornym pełen napięcia, zadając sobie pytanie, czy aby podjąłem dobrą decyzję. Czułem moje ludzkie i duchowe granice.

Z pewnością za mało było we mnie miłości i zaufania do Jezusa. Liczyłem zbyt na siebie. Zawsze było mi bliskie stwierdzenie, że dar kapłaństwa nosimy w glinianych naczyniach. Wraz z przyjęciem diakonatu w Sanktuarium św. Andrzeja Boboli w Warszawie wszelkie wątpliwości i cała niepewność opuściły mnie raz na zawsze. Może też zabrakło mi wówczas wsparcia osoby doświadczonej, której mógłbym powierzyć moje wewnętrzne zmaganie. Stąd też dzisiaj, jako szczególną łaskę, poczytuję sobie fakt, że mogę towarzyszyć w rozeznaniu powołania młodym ludziom, którzy mnie o to proszą.

Od chwili święceń kapłaństwo było i jest wielką radością mojego życia. Doświadczam go szczególnie poprzez posługę sło-

wa głoszonego i pisanego, sprawowanie Eucharystii, spowiedź. Otrzymuję „stokrotnie więcej”, co obiecał Chrystus tym, którzy pójdą za Nim. Odpowiedzialność jednak za Jego dary bywa nieraz brzemieniem. Z czasem odkryłem, że gdy człowiek godzi się na swoje granice, słabość i kruchość, stają się miejscem objawienia czułości Boga i wielką pomocą w spotkaniach z ludźmi. Ciężar posługi staje się wówczas lżejszy. Szczególnie cenię sobie duchowe ojcostwo, którego doświadczam poprzez posługę sakramentu pojednania, kierownictwa duchowego i dawania ćwiczeń duchownych.

* * *

W *Notatniku* ks. Stanisława Musiała, mojego współbrata, który był również wychowankiem jezuitów sądeckich i wstąpił do zakonu mając czternaście lat, spotkałem piękną modlitwę do Matki Bożej Pocieszenia, która jest mi bliska. Tą modlitwą chciałbym zakończyć świadectwo.

„Matko Najświętsza, Matko Pocieszenia, Pani Pięknej Miłości w Obrazie Nowosądeckim, staję przed Tobą, jak niegdyś, przed wieloma laty; modliłem się całym sercem przed Tobą. [...] Wyprowadź mnie z mych zaułków życiowych i wprowadź w bezbrzeżne Królestwo Miłości Twego Syna. Oddaję Ci się bez reszty z moimi nędzami, ograniczeniami, uwarunkowaniami. Przez Ciebie w służbę Twego Syna: w służbę wierną, radosną – wszystkim, czym jestem. [...] Daj mi przyłgnąć do Twego Syna – poprzez Ciebie, niepodzielnym sercem, a czas utracony na drogach nieprawości nadrobić gorliwą służbą dla Boga”².

² *Notatnik* ks. Stanisława Musiała, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009, s. 65.

Wiesław Dawidowski OSA

Łomianki

Skok w nieznane

Gdy pytają, dlaczego i jak doszło do tego, że zostałem augustianinem i kapłanem, zazwyczaj odpowiadam – to cud. I nie ma w tym krzty kokieterii. Znam siebie na tyle dobrze, aby patrząc na własne przywary, wady, potknięcia, grzechy móc powiedzieć: po ludzku, projekt o nazwie Wiesław w zakonie nie miał prawa ani się wydarzyć, ani udać. Owszem, wychowano mnie w tradycyjnej rodzinie katolickiej, na pewnym etapie młodzieńczego życia zaangażowałem się w życie Kościoła, byłem animatorem oazowym, chodziłem na pielgrzymki, w porywie fantazji uczestniczyłem nawet w rekolekcjach powołaniowych oo. Jezuitów, ale intrygowało mnie życie, które mogłoby być naznaczone jakąś oryginalnością.

Byłem prostym i ambitnym chłopakiem z Chylonii nie stroniącym od koncertów, dyskotek, uwielbiałem teatr i książki, imprezowanie w grupie przyjaciół, paliłem papierosy, pijałem piwo, łamałem serca dziewczynom z oazy recytujący wiersze, marzyłem o karierze aktorskiej i grze na gitarze w kapeli z prawdziwego zdarzenia. Byłem antysystemowym buntownikiem. Wprawdzie nie chciałem być hippisem czy punkiem (wtedy bardzo popularne subkultury), ale zaangażowałem się w działalność podziemną, miałem za sobą półroczny areszt, roczne śledztwo w prokuraturze Marynarki Wojennej w Gdyni i oskarżenie o działalność na szkodę ustroju. Wywalony ze szkoły, pracowałem w warsztacie samochodowym. Przywrócony do szkoły powtarzałem klasę, byłem inwigilowany przez milicję, czasem chodziłem do szkoły ciągnąc za sobą ubecki ogon, a maturę zdawałem w towarzystwie smutnych panów z SB. Sporo jak na dwadzieścia lat życia.

Z takim oto bagażem, w 1984, krótko po maturze siedząc na gdyńskiej plaży, mając za plecami Teatr Muzyczny (obiekt marzeń sławy aktorskiej), wpatrywałem się w horyzont i zadałem pytanie mojemu przyjacielowi, który świeżo poznał augustianów: „opowiedz mi o tych augustianach”. Wtedy, w roku 1984, w Polsce żył tylko jeden augustianin, legendarny o. William Faix oraz gru-

pa młodych aspirantów, z których nieliczni wiedzieli czego chcą od życia. A przecież augustianie przybyli do Polski już w 1342 roku. W dobie największego rozkwitu, w XVI wieku, augustianie posiadali w Polsce 23 klasztory z liczbą ok. 300 zakonników. Oczywiście wtedy tego jednak nie wiedziałem. Dowiedziałem się tylko, że zakon został skasowany w 1950 r. i jakiś ekscentryczny amerykański ksiądz, szuka młodych ludzi, którzy chcieliby mówić o Chrystusie i Kościele inaczej niż polscy księża. To znaczy mówi o tym samym, ale w inny sposób. Jak to powiedział Jan XXIII otwierając obrady Vaticanum II: *modus novum sed res non nova*. Ale ja wtedy nic nie wiedziałem o św. Augustynie i wielkiej teologii. Ja nic nie wiedziałem o augustianach! Czy mógł być w tym Pan Bóg?

Tak czy owak, opowiadanie o Ojcu Williamie i jego charyzmie wciągnęło mnie na tyle, że postanowiłem wybrać się na rekonesans do Łomianek pod Warszawą. Ubogi dom, pod żadnym względem nie kojarzył się z klasztorem. Przy domu rozwalający się płot, pole ziemniaków, ogród, czyli wszystko to, czego w życiu nie lubiłem. Prosta kaplica na strychu i małe pokoiki. Zero luksusów. Ojciec William zaczął mnie wypytywać, a ja musiałem się kontrolować, żeby nie parsknąć śmiechem, bo jego język polski był momentami komiczny. Z tamtej rozmowy pamiętam właściwie tylko opowieść o św. Augustynie, o zakonie augustiańskim rozsiały po świecie, o legendarnych 70 świętych i błogosławionych zakoncu. Wtedy Ojciec mówił też, że nadchodzi inny czas dla Kościoła. Opowiadał o sekularyzacji w USA i uświadamiał, że przyjdzie czas na Kościół małych, ubogich wspólnot, w których zakonnicy nie będą pracować na zasadzie „co mi każe przełożony to zrobię”, ale dla których zakon będzie wspólnotą odkrywającą Jezusa. Ojciec William napomknął też mimochodem o trudnej historii powojennej augustianów polskich, wspominał o kasacji zakonu w 1950 roku i zachęcił, abym „trzymał kontakt” (był to wymyślony przez niego polski zwrot). Doznań św. Faustyny nie miałem, niemniej do Gdyni wracałem już z innym sercem. Postanowiłem więc spróbować i udać się po opinię do mojego proboszcza, ks. Tadeusza Rogatki. I znowu pytanie, czy w tamtych poszukiwaniach był Pan Bóg?

No i tu się zaczęło. „Człowieku, gdzie cię niesie? Toż to są synowie Lutra! Liberałem zostaniesz, protestantem. Musisz wiedzieć, że wśród nich byli księża patrioci! I ty do nich? Chcesz się angażować w coś, co nie ma żadnego fundamentu?” Uderzyło mnie wtedy słowo fundament. Nic nie odpowiedziałem, chociaż przemknęło mi przez myśl, że może to właśnie ja mam się stać fundamentem? Dziś wiem, że fundament jest jeden – mój Pan, którego szukać miałem jeszcze wiele lat, i właściwie cały czas go szukam. Myśl by samemu stać się fundamentem, pochodziła z pychy podpowiadającej, że lepiej coś stworzyć od początku i mieć na to wpływ, niż wstępować w szeregi ułożone gdzie indziej. Po latach miałem się przekonać jak trudno jest zbudować jakąś rzeczywistość. Trzeba ciągle zaczynać od siebie.

Zakon augustianów to naprawdę był i jest skok w nieznanne. Pamiętam pewien wieczór i moją modlitwę o rozeznanie powołania. Miałem świadomość, że zakon to śluby, a więc poważna rzecz. Oczywiście, młodego chłopaka martwił ślub czystości, ale wtedy w jakiejś szalonej ekstazie pomyślałem sobie: życie jest krótkie, w sumie masz do przeżycia jeszcze jakieś 50, może 60 lat więc, się nie przejmuj, bo długo bolało nie będzie. Tu musiałem się nauczyć wielkiej pokory. Ale trudnością był też ślub ubóstwa, bo idea wspólnoty dóbr jakoś do mnie nie przemawiała. Z trudem, po latach nauczyłem się, że jeśli jesteśmy transparentni w finansach to wszystkim nam wiedzie się lepiej. O posłuszeństwie nie miałem zielonego pojęcia, a będąc wrogiem komunizmu, miałem tutaj największe obawy. One niestety stały się prawdziwe, chociaż nigdy nie miałem problemu z przenosinami z jednego miejsca na drugie.

Tak czy owak, przy kolejnej wizycie w Łomiankach przeżyłem rekolekcje, które prowadził nie kto inny, jak sam ks. Bronisław Bozowski, legendarny warszawski duszpasterz chuliganów, milicjantów i różnych zagubionych ludzi. Po jednej z konferencji „Wujcio” odkrył we mnie pozera i zaproponował rozmowę osobistą, na której zapytał o moją drogę życia, a ja otworzyłem przed nim całe swoje serce. Bronek był księdzem starej daty i uważał, że jeśli ktoś powziął myśl o kapłaństwie, czy o życiu zakonnym, to ta myśl nie wzięła się znikąd, ale została dana przez Ducha

Świętego i trzeba ją podsycać modlitwą. To właśnie „Wujcio” powiedział mi, że zakon augustianów jest najlepszym miejscem dla mnie, bo mam niespokojne serce, a Augustyn to przecież patron ludzi niespokojnych serc.

Moje powołanie zawisło na słowie dwóch księży: Bronka Bzowski i Kazimierz Orzechowski. Ten drugi został moim spowiednikiem po śmierci ks. Bronka i to jemu zawdzięczam naukę poznania siebie oraz podejmowania ostatecznych, wiążących decyzji. Mówiąc szczerze, wstąpiłem do Zakonu, aby spróbować, czy to jest moja droga życia. Na tej drodze zostałem czyniąc prosty zakład: jeżeli Pan Bóg mnie tu chce, to będę, a jeśli nie chce, to mnie wywałą, a ja innego zakonu czy diecezji szukać nie będę. Posłuchałem też mądrzejszych od siebie i dałem się prowadzić Bogu wierząc ślepo w jedną zasadę: Bóg mówi do mnie poprzez swoich posłańców. Na dobrą sprawę dopiero po latach znamy odpowiedź, dlaczego. Lata życia zakonnego oczyszczają nasze pierwsze motywy. Jeśli jesteśmy otwarci na przygodę z Bogiem, na nieustanne codzienne prowadzenie przez Ducha Świętego podpowiadającego nam w sumieniu jak naśladować Jezusa, to wtedy otwiera się przed nami prawda o nas samych i poznajemy, dlaczego Bóg nas wezwał. Nie chodzi o to, aby wiedzieć, dlaczego ja wybrałem taką drogę życia, ale dlaczego On mnie na tę drogę życia wezwał. To nie moje cele się liczą, ale jedynie Boże plany mają znaczenie. Nawet jeśli nasze życie jest usłane bolesnymi doświadczeniami – a może właśnie wtedy – kiedy czujemy się odrzuceni i poranieni, wtedy Bóg pokazuje nam dlaczego nas wezwał. I także wtedy, gdy na tej drodze upadamy, to po kolejnym powstaniu z upadku odkrywamy, że On nas wezwał nie dlatego, iż jesteśmy mistrzami świata w sportach duchowych, ale dlatego, że jesteśmy słabi. Kto odkrywa tę prawidłowość, ten jest bezpiecznie ukryty w rękach Boga.

To oczywiście nie znaczy, że Bóg odbiera nam możliwość czerpania satysfakcji z naszego życia. Często myślę, jak bardzo zostałem przez Boga obdarowany dzięki mojemu augustiańskiemu powołaniu. I kto by pomyślał, że ten chłopiec z Gdyni Chyloni pewnego dnia zostanie duszpasterzem obcokrajowców, skończy studia na prestiżowej uczelni, zostanie proboszczem, przeorem,

będzie wykładał w teologię, zaangażuje się w media, zostanie prowincjałem i członkiem Konsulty Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich w Polsce. To dzięki zakonowi i Kościołowi mam przyjaciół i znajomych na każdym kontynencie, zostałem obsypany przyjaźniami, o których wiem, że z mojej strony są absolutnie niezasłużone. Ileż to nazwisk ludzi znanych i nieznanymi pojawiło się w moim życiu. Gdybym miał układać moje życie, sam nigdy bym go lepiej nie ułożył.

Ludzie często chlubią się zdobytymi tytułami naukowymi. Sam na jakiś czas wpadłem w takie sidła, uważając, że liczy się to co stoi przed nazwiskiem. Tymczasem dzisiaj muszę wyznać, że w życiu zakonnika liczy się to, co stoi za nazwiskiem, a w moim wypadku jest to skrót OSA – Ordo Sancti Augustini. Ten skrót określa tożsamość i jest prawie równoznaczny z nazwiskiem. Jestem w zakonie dla braci i nie wyobrażam sobie mojej egzystencji bez wspólnoty życia z nimi. Myślę czasem o tym czego doświadczyli nasi bracia, którzy w czasie II WŚ zostali wywiezieni do Auschwitz. Myślę, też o tych, którzy po wojnie zostali wyrzuceni z klasztoru i musieli borykać się z życiem w Kościele, będąc nastygmatyzowani winą za grzechy, które przecież były nie tylko ich udziałem. Dla braci kochających Zakon, życie w samotności, życie w poczuciu oderwania od całego Zakonu, musiało być bolesnym i dojmującym doświadczeniem.

Pan Bóg dał mi wielką radość budowania tradycji Zakonu, którego życie w Polsce zostało niesprawiedliwie przerwane. Moi współbracia i ja mamy świadomość dojmującego braku bogactwa tych zakonów, gdzie młodzi zakonnicy uczą się od starszych ojców i braci jak trwać w powołaniu. To tak jakbyśmy byli rodziną pozbawioną rodziców i dziadków. Musieliśmy całe nasze życie, całą naszą tradycję zbudować od podstaw. Parę lat temu, na początku mojej posługi jako prowincjała, zorganizowałem dla braci dzień skupienia w Oświęcimiu, gdzie zginął ostatni Prowincjał Augustianów XX wieku, o. Wilhelm Gaczek i jego Towarzysze. Dyrektor Muzeum obozu Auschwitz, umożliwił nam odprawienie Mszy św. w baraku szpitalnym, gdzie został zabity zastrzykiem z fenolu br. Kazimierz Lipka OSA. I wtedy stała się rzecz niezwykła. Jeden z braci, śpiewając psalm responsoryjny

wzruszył się głęboko i zapłakał tak rzewnie, że nie mógł dokończyć śpiewu. Nie było Alleluja. I wtedy odkryłem, że dla wielu z nas istnieje niewidzialna nić braterstwa łącząca nas z bohaterami augustiańskiego powołania, wyłaniającymi się z mroków historii. Tego dnia odkryłem, że mimo różnic jesteśmy jedną rodziną i ona jest moim największym skarbem. Modłę się codziennie, aby Pan dał mi umrzeć w tej jedności.

Jolanta Hernik RMI

Warszawa

Zacząło się w rodzinie

1. W czasach dzieciństwa

Pamiętam ten dzień. Miałam pięć lat i szłam drogą z moją babcią Marią, która codziennie odmawiała cały różaniec i przyjmowała Jezusa w Komunii św. Zatrzymałyśmy się przy przydrożnym krzyżu i wówczas powiedziałam do babci: *Babciu, chciałabym uczyć dzieci o Jezusie*. Babcia potraktowała te słowa bardzo poważnie. Nie wiem, czy od tego momentu, ale faktem jest to, że ona była „ambasadorką” mojego powołania zakonnego. Do ostatnich chwil życia (żyła 98 lat) codziennie modliła za mnie. Mój dziadek Franciszek nauczył mnie wszystkich kołęd, które śpiewaliśmy w okresie Bożego Narodzenia, nim zasnęliśmy. Nie było telewizora. Niestety dziadek odszedł do Pana, gdy miałam dziesięć lat. Bardzo przeżyłam to rozstanie, bo dziadek nauczył mnie w wieku pięciu lat czytać i liczyć. Był „moim światem”. Kiedy rodzice wyprowadzili się do miasta, czas spędzany z dziadkami wyznaczały odwiedziny, potem wakacje i ferie. To byli święci ludzie!

Moi rodzice czuwali, bym jako dziecko codziennie modliła się z moimi dwoma starszymi braćmi. Codziennie wieczorem klękaliśmy razem do modlitwy. Całą rodziną chodziliśmy w niedzielę na Mszę świętą i trzeba było być grzecznymi. Od dziecka lubiłam nabożeństwa: majowe i różańcowe.

Każde spotkanie rodzinne – było ich bardzo dużo, bo moja rodzina lubiła się spotykać – rozpoczynało się Mszą świętą. W ten sposób narodził się w moim sercu obraz Boga, który gromadzi.

2. Czas nastoletni

Poznałam Ruch Światło-Życie. W tym ruchu nauczyłam się czytać i zgłębiać Słowo Boże. Pogłębiałam moją duchowość maryjną. Pokochałam świadomie Kościół i czułam jego bolączki. „Kościół” – to słowo nosiłam w głębi serca. To był etap, kiedy nosiłam w sercu obraz Jezusa jako Przyjaciela, obraz Boga Miłości.

Poznałam dzięki oazom letnim Siostry Salezjanki. Zafascynowało mnie życie świętych Założycieli tego zgromadzenia.

Pewnego razu jako grupa animatorów oazowych przygotowaliśmy spektakl pożegnalny dla naszego moderatora ks. Andrzeja Głąby, który wyjeżdżał na misje, na Wybrzeże Kości Słoniowej. To wydarzenie rozbudziło we mnie pragnienie pracy w krajach misyjnych.

Motywowana przez moje koleżanki, od 15 roku życia zaczęłam chodzić na piesze pielgrzymki wrocławskie na Jasną Górę. Zawsze chodziłam w grupie, którą opiekowali się Misjonarze Klaretyni. Byłam współodpowiedzialna za animację muzyczną. Na pielgrzymkach rozeznawałam w ciszy serca drogę życia.

Pamiętam jak rok przed maturą podczas pielgrzymiego marszu o. Jan Opala CMF – przewodnik naszej grupy pielgrzymkowej, pewnego dnia powiedział do mnie: *Jolka, ty masz powołanie zakonne. Czuję, że będziesz klaretynką.* Jak to?! Absolutnie! – wykrzyczałam. To prawda, że chciałam wyjechać na misje ale jako osoba świecka a nie zakonna. A poza tym KLARETYNKI?! To istnieje takie zgromadzenie? O. Jan zasiał ferment w moim sercu. Oczywiście ja zaprzeczyłam i czyniłam wszystko, by te słowa nie doszły do głębi mego serca.

Na kolejnej pielgrzymce o. Antoni Badura CMF opowiadał o św. Antonim Marii Klarecie. Czynił to tak żarliwie, że każde słowo mocno zapadało mi w pamięci. Do serca dotarły słowa: *Święty Antonii Maria Klaret był człowiekiem niskiego wzrostu, ale wielkim duchem.* Po pielgrzymce poprosiłam Misjonarzy Klaretynów, by pożyczili mi autobiografię tego Świętego. Słabe tłumaczenie na język polski nie przeszkodziło, by dotrzeć do sedna. Tak zaczęła moja przygoda z wielkim Misjonarzem.

Nie chciałam jednak nic słyszeć o Misjonarkach Klaretynkach. Wiedziałam, że nie było ich w Polsce. Misjonarze Klaretyni zadbali jednak o to, bym poznała trzy pierwsze Polki, które odbywały formację w Rzymie.

3. Kryzys wiary

Miałam 20 lat, byłam po formacji oazowej i w tym Ruchu pełniłam funkcję animatorki. Nadszedł jednak moment oczysz-

czenia wiary. Wiele spraw przyczyniło się do tego, że zwątpiłam i odrzuciłam wszystko to, co otrzymałam w rodzinie i oazie. Byłam pełnoletnia. Od lat fascynowała mnie filozofia. Czytałam dużo książek. Rodzice przyglądali się „z boku” i nie pouczali. Podśledzałam raz rozmowę między rodzicami: *Pozwólmy jej wybrać, choć boli.*

Odeszłam od sakramentów, od wspólnoty Kościoła. Praco- wałam w Bibliotece Głównej Politechniki Wrocławskiej w moim wyuczonym zawodzie jako bibliotekarka. Szukałam wytrwale PRAWDY. Poszłam do kościoła anglikanów, zielonoświątkowców, a nawet prawosławnego. Wciąż czegoś mi brakowało. Zaczęłam czytać Edytę Stein. Potem św. Teresę Wielką. Dzięki Edycie Stein jeszcze bardziej weszłam w świat fenomenologii. Ta kobieta poprowadziła mnie w kierunku, który tak dobrze znałam. Po- znałam też Karmel.

Po dwóch latach poszukiwań... wracając z klubu sporto- wego, zamyślona i jakby przypadkowo, weszłam do mojego ko- ścioła parafialnego. Była odprawiana Msza święta. Weszłam na moment, gdy była rozdawana Komunia święta. Nigdy tego nie za- pomnę. Rozplakałam się jak małe dziecko. Dotarło do mnie, że właśnie Jezusa w Eucharystii bardzo pragnie moje serce. Roz- począł się nowy etap w moim życiu. Dopuszczałam do siebie fakt, że Bóg może mnie powoływać na drogę życia zakonnego. Dopus- ciłam, co nie znaczy, że akceptowałam.

4. Bóg dawał namacalne znaki

Długo walczyłam z powołaniem zakonnym. Prosiłam Boga o konkretne znaki. Rozważałam życie w Karmelu lub jako Salez- janka. Jeden i drugi styl bardzo mnie pociągał. Mądra ówczes- na przełożona Karmelu wrocławskiego, matka Teresa Rozborska, z którą rozeznawałam powołanie, powiedziała do mnie: *Jolu, ty masz powołanie. Jednak do życia apostołskiego, nie do Karme- lu.* Byłam wdzięczna za te słowa.

Siostry Salezjanki, z którymi miałam kontakt a listownie to- warzyszyła mi przez wiele lat s. Jolanta Odor, były gotowe mnie przyjąć. Jednak kiedy byłam umówiona na rozmowę z Przełożoną Prowincjalną i stanęłam przed bramą na ul. Sienkiewicza

we Wrocławiu, nie wiedzieć czemu, nie mogłam podnieść ręki do dzwonka przy furcie. Walczyłam chwilę i zasmucona odeszłam. Nie wiedziałam, co się dzieje. Dopiero czas pokazał, dlaczego tak się stało.

Wiedziałam, co chcę robić, wiedziałam, że chcę być misjonarką, ale jako osoba świecka, a nie zakonna. Chodziłam codziennie na Mszę świętą, bo moje serce potrzebowało Eucharystii..., jednak tak bardzo nie chciałam być zakonnica. Miałam swoje przyjaźnie. Mieliśmy plan małżeński z wyjazdem na misje. Jednak w sercu było dużo niepokoju.

Bóg dawał mi wciąż namacalne znaki. Misjonarze Klaretyni: o. Jan Opala, o. Antonii Badura, o. Grzegorz Wrodarczyk i o. Darek Białek, każdy inaczej i każdy w innym czasie zatroszczyli się o to, bym stosownie odczytała Boży plan wobec mnie. Zaaranżowali spotkanie z Klaretynkami, które były w Polsce na wakacjach. Byłam pewna, że to tylko zwykłe spotkanie. Okazało się, że to spotkanie stało się niezwykle. Na tyle, że po nim pojechałam na Jasną Górę. Bo przecież Maryję prosiłam przez tyle lat o pomoc w odpowiednim odczytaniu woli Bożej. To tam, w częstochowskim Karmelu modliłam się w kaplicy i prosiłam Boga, tym razem o matematyczne znaki powołania, jakby jeszcze ich było za mało. Wychodząc z kaplicy, stanął przede mną ks. Biskup (nie pamiętam godności) i nie znając mnie powiedział: *Dziewczyno, ty masz powołanie. Ale nie do Karmelu, lecz do życia apostołskiego.* Zamarłam. Przecież już to kiedyś słyszałam! To niemożliwe, by ktoś kto mnie nie zna tak powiedział! Nie chciałam tego słyszeć, ale usłyszałam. Nie dałam za wygraną. Poszłam na Jasną Górę na Mszę św. i usłyszałam Ewangelię wyznaczoną na ten dzień: *Pójdź za Mną.* Nie miałam już siły dłużej walczyć. Wiedziałam, że chcę podjąć decyzję, by po prostu żyć tym, do czego Bóg mnie powołuje. Po latach walki z powołaniem, podjęłam na Jasnej Górze decyzję. Po podjęciu decyzji poczułam ogromny pokój i radość. To mnie przekonało, że decyzja jest słuszna.

5. Poszłam za Jezusem

By realizować drogę powołania musiałam wyjechać do Rzymu. Zgromadzenia Misjonek Klaretynek nie było jeszcze w Pol-

sce. Zaczęły się duże kłopoty związane z otrzymaniem wizy do Włoch. Pomógł śp. o. Stanisław Piórkowski CMF. Mimo to, potrzebowałam pozwolenia z Episkopatu Polski, bo dano mi wizę „nieprzedłużaną”.

Rodzice? Mama nie akceptowała mojego wyboru. Dawała mi to odczuć całą sobą. Tata powiedział: *Jeśli będziesz na tej drodze szczęśliwa, to idź. Ale jeśli będziesz czuła, że się pomyliłaś, to wracaj. Drzwi domu będą zawsze otwarte.* Odczytałam te słowa jako błogosławieństwo. Choć tata też zmagał się z moim wyborem. W akceptacji mojego powołania pomogli moim rodzicom Misjonarze Klaretyni, którzy ich odwiedzali, szczególnie o. Jan Opala.

Chcę powiedzieć, że Bóg postawił na mojej drodze wielu ludzi, którzy życiem pokazywali mi to, co słuszne, prawdziwe, godne naśladowania. Wśród nich, włącznie z moją rodziną, są moi nauczyciele, wychowawcy i katecheci. Na szczególną uwagę zasługuje pani prof. Bożena Orleańska – polonistka, która pomogła mi odważnie i po imieniu nazywać mój świat wartości. Mam wobec wszystkich tych osób ogromny dług wdzięczności. Spłacam codzienną modlitwą.

Zakończenie

Poszłam za Jezusem i nie zawiodłam się. Zaufałam temu, czego nauczono mnie w oazie: „Bóg ma dla twojego życia wspaniałe plany”. To prawda. Nie wiem, czy sama napisałabym lepszy scenariusz dla własnego życia. Dziękuję Bogu za tylu wspaniałych ludzi, dzięki którym jestem Misjonarką Klaretynką.

Barbara Latocha, Zgromadzenie Sług Jezusa

Warszawa

Jak to się stało? Nie wiem do dziś...

Jak tylko sięgnę pamięcią, widzę, że Pan Bóg ciągle mnie zadziwia i zaskakuje w swojej trosce i miłości. Doświadczałam tego już w dzieciństwie, chociaż nie było ono łatwe. Byłyśmy tylko z Mamą i siostrą, bo gdy miałam 9 miesięcy zmarł mi Tato. Byłyśmy same, ale Mama starała się zastąpić Tatę i dać nam wychowanie jako matka i ojciec. Zwracała uwagę na to, abyśmy żyły po chrześcijańsku. Miałyśmy gospodarstwo, a mama pracowała także zawodowo, więc z siostrą włączałyśmy się, stosownie do swoich możliwości, w prace i obowiązki domowe. Nie było nam łatwo, żyłyśmy bardzo skromnie i nauczyłam się z wielu rzeczy rezygnować, bo w domu nie było na to finansów. Mama uczyła nas uczciwości, pracowitości, właściwych postaw wobec ludzi, jak ich kochać, jak przebaczać. Takie wychowanie nauczyło mnie koncentrowania się nie na rzeczach, ale na relacjach i to one były najważniejsze w naszej rodzinie. Dzisiaj z perspektywy wielu lat widzę, że te domowe trudności pomogły mi potem w pokonywaniu wielu trudności w Zgromadzeniu.

Kiedy chcę opisać początek mojej przygody z Panem Jezusem i początek mojego powołania, wracam wspomnieniami do szkoły średniej. Chodziłam do klasy, w której były same dziewczęta. Katechizowała mnie siostra niehabitowa. W moim środowisku taki rodzaj życia był zupełnie nieznany i dlatego z wielkim dystansem i nawet trochę nieufnością podchodziłam do jej osoby, jak również do jej rodzaju życia. Bardzo często zapraszała nas do siebie, do swojej wspólnoty na różne spotkania dla dziewcząt: dni skupienia, rekolekcje. Siostra zapraszała nas wytrwale każdego miesiąca przez trzy lata, ale my byłyśmy bardzo, bardzo odporne. Pamiętam, że niechętnie słuchałam tych zaproszeń i nie miałam ochoty na nie odpowiadać, ale katechetka była tak wytrwała w zapraszaniu, że pod koniec trzeciej klasy poszłyśmy z koleżankami na takie spotkanie dla świętego spokoju. Okazało się, że spotkanie było bardzo ciekawe, było miło i wesoło. Był

to czas spędzony na wspólnej modlitwie, podczas której była Msza św., niby taka jak w parafii, a jednak trochę inna. Ta inność polegała na tym, że byliśmy bardzo blisko ołtarza, że mogliśmy włączyć się w oprawę liturgii i ksiądz modląc się z nami był otwarty na nasze pytania i z zainteresowaniem nas słuchał. Oprócz tego był czas na wspólne pogadanki na temat wiary, godności kobiety i naszej odpowiedzialności za swoje życie. Nie zabrakło czasu na wspólny śpiew i zabawy integracyjne, w które włączały się siostry i ksiądz. Przez ten czas zobaczyłam, że siostry i księża to „normalni” ludzie, którzy łączą modlitwę z rozrywką.

W latach dziewczęcych nie byłam zbyt pobożna, co prawda chodziłam do kościoła w niedziele i na różne nabożeństwa, ale dlatego, że mama tak nas uczyła i tego wymagała. Ale o zakonie wtedy zupełnie nie myślałam. Chciałam, jak każda normalna dziewczyna, mieć męża, dzieci i domek z ogródkiem. Dlatego chodziłam czasem na zabawy, wesela i spotykałam się z moimi rówieśnikami.

Przyszły wakacje, nasza wytrwała katechetka zachęcała nas, byśmy pojechały na rekolekcje do ich domu do Otwocka pod Warszawą. Z koleżankami doszłyśmy do wniosku, że właściwie nie mamy co robić w wakacje, więc dla zabicia czasu pojedziemy na te rekolekcje.

Na tych kilkudniowych rekolekcjach spodobało mi się już nie tylko to, że było wesoło, ale pociągnęła mnie też cisza, proponowane przez siostry formy modlitwy, adoracja... Poznałam więcej sióstr, podobał mi się ich styl bycia, życia..., ukrytego powołania przed ludźmi, a jednak wyłącznie oddanego Panu Bogu i zaangażowanego w pomoc potrzebującym. I tak natręctwo katechetki dało mi okazję, by poznać formę życia ukrytego sióstr niehabitowych, a także pragnienie bycia bliżej z Jezusem. Przyszła mi wtedy pierwszy raz myśl, że ja też bym chciała żyć dla Pana Jezusa, a jednocześnie, żeby nikt nie wiedział o moim powołaniu. Chowałam tę myśl w sercu, nie zdradzałam się z nią nikomu. Nosiałam tę tajemnicę w swoim sercu. Moja motywacja chodzenia na Msze św. się zmieniła. Uczestnictwo w nich dawało mi siłę, napełniało pokojem. Zaczęłam też systematycznie się spowiadać. Nie miałam kierownika duchowego, ale spotkanie

z Jezusem w sakramencie pokuty umacniało mnie w przekonaniu, że powinnam wstąpić do tej wspólnoty sióstr życia ukrytego. Być dla Jezusa, ale być niewidoczna, nieznana z powołania. Pomyślałam, że jeśli tego Pan Bóg też chce, to jakoś pouklada moją sytuację rodzinną. W tym czasie odwiedzałam siostry, mogłam się pomodlić z nimi, przyglądałam się ich życiu, pracy, obowiązkom i po roku zgłosiłam się na aspirację. Kiedy byłam już aspirantką przyszły pokusy, wewnętrzne oschłości, niechęć do odwiedzania sióstr, do uczestnictwa w rekolekcjach, wątpliwości czy ja dam radę tak żyć: wcześniej wstawać, wszystko robić według ustalonego porządku, chodzić w spódnicy (do tej pory chodziłam w spodniach i bardzo mi ten styl odpowiadał). Zaczęły się też piętrzyć zewnętrzne trudności, by pojechać na skupienie czy rekolekcje: rodzina, brak czasu, inne zajęcia. Nawet ksiądz w parafii zabraniał mi jechać na rekolekcje do tych sióstr, mówił, że to jakieś dziwne siostry, bo nie mają habitu. Pojawiały się wewnętrzne rozterki: po co ja jadę do tego zakonu? Ale ostatecznie zawsze jechałam i gdy byłam już z siostrami, gdy nadchodził czas wyciszenia i dłuższej modlitwy, pokusy mijały, wracał pokój serca i pewność, że to jest to miejsce, gdzie mam być szczęśliwa.

Tak przyszła klasa maturalna, czas studniówek. Zostałam zaproszona przez kolegę na studniówkę, poszłam z nim chętnie, ponieważ lubiłam się bawić, tańczyć. Potem była moja studniówka, na którą poszłam z kolegą. Po studniówce zauważyłam, że on coraz bardziej się mną interesuje. Nie ukrywam, że mi się to podobało. W sercu zaczęła się walka, czego właściwie ja chcę w życiu? Przecież miałam inne plany... Stałam przed ponownym wyborem. On przyjeżdżał po mnie do szkoły samochodem, zawsze na mnie czekał pod kościołem po Mszy św. dla młodzieży lub po spotkaniu grupy muzycznej w parafii. Zaczęłam go unikać, byłam tchórzem i nie potrafiłam mu powiedzieć osobiście, że ja wybieram Kogoś innego. Robiłam wszystko, aby go zniechęcić do siebie. I chyba się udało, bo po kilku miesiącach dał mi spokój.

Dokonałam ostatecznego wyboru: ukryte życie zakonne. Po maturze dotrwałam do sierpnia i postanowiłam wyjechać już na stałe do zakonu. Bałam się reakcji mojej Mamy, bo wymarzyła sobie dla mnie życie małżeńskie i że to ja będę się nią na sta-

rość opiekować. Dlatego dopiero na 2 tygodnie przed wyjazdem do Zakonu, powiedziałam Mamie o mojej decyzji. Oczywiście nie chciała słuchać i nie chciała się zgodzić na moją decyzję. Doświadczylałm wtedy wielkiej mocy Bożej. Ja, która byłam bardzo zżyta z Mamą, miałam siłę zostawić ją, przeciwstawić się jej woli i wybrać bycie tylko dla Pana Boga. Księdzu Proboszczowi też powiedziałam w ostatniej chwili, bo bałam się, że w niedzielę powie o tym w ogłoszeniach, a ja chciałam być ukryta w swoim powołaniu. Pojechałam do Zakonu bez błogosławieństwa Mamy, która powiedziała, że nie chce mnie znać, że nie ma już córki. Przeżywałam to bardzo. Dużym wsparciem była wtedy dla mnie moja siostra, która zapewniła mnie, że zajmie się Mamą i że Mamie to przejdzie. Rzeczywiście! Po tygodniu Mama nie wytrzymała i przyjechała do mnie, by zobaczyć, gdzie jestem i jak się czuję. Nadal nie była zadowolona, nawet mogę powiedzieć, że była niemila dla Sióstr, które bardzo starały się ją zrozumieć. Zgromadzenie postrzegala jako więzienie. I tak aż do ślubów wieczystych nie akceptowała mojego wyboru. Chciała, bym wróciła do domu, bym wyjechała z nią za granicę. Ja jednak miałam przekonanie, że moje miejsce jest we wspólnocie Zgromadzenia. Po ślubach wieczystych Mama zobaczyła, że jestem szczęśliwa i zrealizowana. Wtedy pogodziła się z moim wyborem i była już dla mnie wsparciem przez modlitwę i zrozumienie. Modliła się za mnie i siostry.

Gdy wspominam początki mojego powołania, widzę, jak Pan Bóg działał w mojej duszy i dotykał delikatnie miejsc, w których umacniał ideały mojego życia. Zachwycił mnie życiem ukrytym, tym, że gdy nie opowiadam innym o mojej tajemnicy, to mogę jednocześnie być osobą konsekrowaną w życiu zakonnym, mogę być Mu całkowicie oddana, jakby bardziej dla Niego. Przykładem piękna w życiu ukrytym były dla mnie inne siostry, nawet nasza katechetka, o której na początku nie wiedziałam, że jest siostrą zakonną. Potem dowiadywałam się, że siostry pracują w różnych środowiskach i że nie wszyscy wiedzą o ich powołaniu. Znajdowałam w tym piękno naśladowania Najświętszej Rodziny z Nazaretu, bo o Niej też nie wiedziano, jak wielką tajemnicę bliskości Boga przeżywa. Byłam pod wrażeniem życia sióstr w różnych wspólnotach, żyjących podobnie do innych lu-

dzi, normalnie, ubogo i w serdecznych relacjach z otoczeniem. Pan Jezus pociągał mnie właśnie do charyzmatu Zgromadzenia, które w ukryciu przed światem daje świadectwo Jego obecności. Zobaczyłam, że nie jest łatwo żyć tym rodzajem życia. Bywa, że spotykam się z niezrozumieniem ze strony nie tylko ludzi świeckich, ale też osób duchownych, którzy uważają ten rodzaj życia za „gorszy” od sióstr habitowych. Ale pomimo to, ukryta służba Bogu w życiu zakonnym stała się moją pasją.

Dzisiaj, po 25 latach życia we wspólnocie Zgromadzenia dziękuję Bogu za to, że zechciał mnie wybrać, powołać i tak hojnie obdarzyć tyloma łaskami. Że pozwolił mi się rozpoznać, jako kochający Ojciec i pomógł mi odkryć siebie, jako ukochane Jego dziecko. Dziękuję, że moje życie konsekrowane uczynił dla mnie życiem rodzinnym. Dziękuję za dni, które były trudne, które wymagały ode mnie nowego opowiedzenia się za tym, Komu chcę służyć, dla kogo żyć. I za chwile pełne radości, uniesienia i Jego cichego bycia ze mną. Pan Bóg zawsze spogląda z miłością na swoje dzieci i chce by były szczęśliwe na drodze swojego życia. Daje znaki, wydarzenia, ludzi, którzy pomagają rozpoznać, jaki kierunek życia obrać, do jakiego rodzaju życia mamy powołanie.

„Twoje Słowo jest pochodnią dla stóp moich i światłem na mojej ścieżce” (Ps 119,105).

Piotr Liszka CMF

Wrocław

O tym, jak zostałem Misjonarzem Klaretynem

Znałem wiele zgromadzeń zakonnych. Z moją rodzinną parafią sąsiadują Franciszkanie. Osobiście znałem Oblatów i Werbistów. Zafascynowany byłem Jezuitami.

Nie myślałem o życiu zakonnym, o wspólnocie i specyficznym stylu życia. Odczuwałem, że Bóg powołuje mnie do kapłaństwa. Gdy zdawałem maturę, nie byłem jeszcze zdecydowany, aczkolwiek myślałem już o terenach misyjnych. Słaby wzrok i konieczność noszenia okularów mogły przeszkadzać w krajach tropikalnych, gdzie często padają deszcze, trzeba przebywać w dżungli, a nie zawsze jest możliwość noszenia parasola. Odczuwałem, że powinienem iść do tych krajów, gdzie brakuje kapłanów i trzeba dużo chodzić. Nogi mam zdrowe, a do dziś nie mam prawa jazdy. Z tego względu myślałem o Ameryce Łacińskiej, o gęsto zaludnionych przedmieściach wielkich miast albo o trudno dostępnych terenach górskich.

Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki, rozpocząłem studia: matematyka, kierunek – pedagogika. Niestety, skończyłem je i tak straciłem kilka lat. Myślałem, że w różnych krajach misyjnych potrzeba specjalistów z różnych dziedzin świeckich: lekarze, inżynierowie, nauczyciele, itp. W praktyce jednak specjalistów świeckich jest wiele, natomiast brakuje kapłanów. Z pewnością pedagogika jest przydatna kapłanowi-katechecie. Podczas studiów powołanie się utwierdziło i skryształowało. Chcąc się już w jakiś sposób przygotować, nauczyłem się języka hiszpańskiego.

O moim powołaniu rozmawiałem z księdzem proboszczem, który mnie wspierał i ostatecznie wskazał drogę do Misjonarzy Klaretynów. Tuż po II wojnie światowej był on kanclerzem kurii w diecezji wrocławskiej. Wyrzucony przez ówczesne władze państwowe, został proboszczem w parafii Najświętszego Serca pana Jezusa w Chorzowie-Batorym. W roku 1973 zaprosił na rekolekcje wielkopostne Misjonarza Klaretyna, który kilka miesięcy

wcześniej kupił dom we Wrocławiu, aby założyć tam pierwsze seminarium Misjonarzy Klaretynów w Polsce. Podczas rekolekcji ksiądz proboszcz powiedział mi: „szukasz zgromadzenia misyjnego, a zgromadzenie przychodzi do ciebie”. Po tych słowach podjąłem decyzję i pod koniec sierpnia 1974 roku przybyłem do Wrocławia i trwam w jednym i tym samym klasztorze do dziś. W tym domu po raz pierwszy byłem już w roku 1973.

Najpierw przez pierwszy semestr chodziłem na wykłady do Wyższego Seminarium Archidiecezji Wrocławskiej. Dnia 2 lutego 1975 roku rozpocząłem nowicjat. Pierwsze śluby złożyłem 1 lutego 1976 roku, w naszej parafii, w Paczynie niedaleko Gliwic. Śluby wieczyste złożyłem 1 lutego 1979 roku w dolnym kościele nowej parafii we Wrocławiu, pod wezwaniem Ducha Świętego. Świecenia kapłańskie były 23 maja 1981 roku, dziesięć dni po zamachu na ojca świętego Jana Pawła II. W dniu moich pry micji – 28 maja 1981 roku – zmarł kardynał Stefan Wyszyński.

Losy życia misjonarskiego potoczyły się zupełnie inaczej niż to sobie wcześniej wyobrażałem. Przekonano mnie, że ważniejsze od wewnętrznego odczuwania woli Bożej wobec mnie jest posłuszeństwo władzom zakonnym. Pierwsze przekwalifikowanie nastąpiło już w latach seminaryjnych. Ponieważ w całej Ameryce łacińskiej było ok. 700 Misjonarzy Klaretynów a w Polsce było tylko czterech kapłanów z naszego zgromadzenia, to – zgodnie z kryterium braku kapłanów – moim miejscem posługi miała być Polska. Nie była to tylko idea. Do naszej wspólnoty seminaryjnej przychodzili nowi kandydaci, również z seminariów diecezjalnych, których pociągała nasza duchowość. Tak się złożyło, że w roku 1981 było pięciu nowych kapłanów. Pojawił się projekt wielkiej parafii w Warszawie. Wszyscy mieli tam rozpocząć swoją posługę kapłańską. Poważnie się do tej pracy przygotowywałem. Okazało się jednak, że parafii nie będzie. Oznaczało to zmianę profilu działalności po raz drugi. Mogłem w tej sytuacji wyjechać na misje, lecz przełożeni przekonali mnie, że za kilka lat, gdy zwiększy się liczba seminarzystów, potrzebny będzie dobrze przygotowany wychowawca. Posłano mnie na studia na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Mogłem sobie wybrać specjalizację, wybrałem teologią dogmatyczną.

Przewidywania spełniły się wcześniej, niż było to planowane. W roku 1983 zostałem wychowawcą w naszym seminarium. Skończyłem jednak studia doktoranckie i 1 października 1985 roku zacząłem wykładać na Papieskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu. Miałem tylko kilka godzin zajęć, ale to wystarczyło, abym znał na bieżąco rodzaj wykładów oraz wykładowców. Pomagało to znacząco w spełnianiu funkcji wychowawcy naszej wspólnoty studenckiej. Funkcję tę wykonywałem ponad dziesięć lat. W nowej sytuacji otrzymałem pełny etat na Wydziale Teologicznym. Była to czwarta zmiana profilu przygotowań i konkretnej działalności, która trwa do dziś.

Kazimierz Lubowicki OMI

Wrocław

Wszystko było takie zwyczajne

Największy i najistotniejszy wpływ na moje powołanie kapłańskie i zakonne miał dom rodzinny, a w nim rodzice Jadwiga i Józef oraz dziadkowie ze strony mamy, Kazimiera i Bolesław Bolesta, którzy mieszkali razem z nami. Nie mam co do tego najmniejszej wątpliwości.

Gdy byłem małym dzieckiem, wszystko, czym żyliśmy w naszym domu wydawało mi się zwyczajne i oczywiste, a wręcz przeciętne. Nie było tam żadnych nadzwyczajności. Myślałem, że w każdym domu dzieje się podobnie. Dzisiaj myślę o naszym domu rodzinnym z wdzięcznością dla Boga i dla moich najbliższych.

W naszym domu Mamusia i Tatuś klękali wspólnie do pacierz. W każdą niedzielę i święto szliśmy całą rodziną na Eucharystię o godzinie 10. Wychodziliśmy pół godziny wcześniej. Ja, jako ministrant, biegłem do zakrystii, a rodzice szli do kościoła, aby pomodlić się przed liturgią. Po Mszy czekałem na nich przed kościołem i wracaliśmy wspólnie do domu. Moja mama ciężko pracowała w domu i na polu. Codziennie jechała rowem ponad 5 kilometrów, by wydoić krowy i przywieźć mleko, a odpoczynkiem była dla niej adoracja, Msza i różaniec. Dzisiaj ma 80 lat i nie wypuszcza różańca z ręki. Mój tatuś pracował na trzy zmiany w piekarni oraz prowadził gospodarstwo rolne – orał, siał i sadił, kosił i zwoził plony, a dosłownie każdego dnia widziałem go jak klęczał z różańcem w rękę. Tak pozostało do dzisiaj, chociaż ma 87 lat. Gdy zmarła jego mama, postanowił odmawiać za nią jedną część różańca. Teraz odmawia trzy części – za swoich rodziców, za dzieci, za mnie specjalnie, abym był dobrym kapłanem i jeszcze dziesiątkę za poczęte dziecko, w ramach duchowej adopcji.

Rytm naszemu życiu wyznaczał rok liturgiczny. Skoro świt chodziliśmy z rodzicami na roraty. Z mamusią i z babcią robiliśmy z kolorowej bibuły przeróżne ozdoby na choinkę. Tatuś przynosił prosto z lasu pachnące drzewko. Z dziadkiem szedłem

po wieczery wigilijnej do obory zanieść koniowi i krowom specjalny, czerwony opłatek. Wieczorami śpiewaliśmy w domu kolędy. Cała rodzina pomagała mi przygotować strój do występu w jasełkach. W Wielkim Poście – gdy byłem młodszy, co tydzień ktoś mnie prowadził na drogę krzyżową, a potem chodziłem sam. Z katechetkami – bezhabitowymi siostrami sercankami – przygotowywaliśmy grób Pański. Później podczas Triduum byłem ceremoniarzem, a z rodzicami szliśmy na adorację zarówno w ciągu dnia jak i późną nocą. U nas w Brańsku adoracja przez trzy dni Triduum była codziennie do północy, a w Wielką Sobotą aż do rezurekcji odprawianej o szóstej rano. Na nabożeństwo majowe, czerwcowe i październikowe chodziliśmy każdego dnia. Tatuś czasami nie mógł, bo pracował w systemie trzymianowym. Boże Ciało i kolejne dni oktawy – ja i brat – uprasowane komże, siostra z koszyczkiem do sypania kwiatków. Komże najpierw prasowała mamusia, potem ja sam.

Babcia Kazimiera krzając się po kuchni śpiewała Godzinki. Raz w miesiącu zabierała mnie na spotkanie róży różańcowej, na tzw. zmianę tajemniczki. Często zabierała mnie w odwiedziny do państwa Nowickich. W ich domu spotykało się niemal każdego dnia kilka osób, aby czytać *Żywoty Świętych*, a potem rozmawiać na ich temat. Inna koleżanka babci, pani Płońska prenumerowała *Gość niedzielnny* (w tamtych czasach w takiej zgrzebnej szacie graficznej) oraz kolorowy tygodnik *Za i Przeciw*. Gdy przeczytała – przynosiła nam. Wprawdzie *Za i Przeciw* wydawane było przez koncesjonowane w PRL Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne, ale tam właśnie odkryłem teksty Ks. Tymoteusza, które uczyły mnie przyjaźni z Bogiem i pokazywały Jego ciepłą, przyjazną twarz. Od małego dziecka chodziłem z rodzicami i dziadkami na pogrzeby naszych sąsiadów i znajomych. W dzień przed pogrzebem otwarta trumna wystawiana była w domu zmarłego, a ludzie trwali na modlitwie. Tak w moim sercu zagościła świadomość śmierci i życia wiecznego. Zmarli nigdy nie kojarzyli mi się z kościotrupami i czaszkami, ale mieli znajome twarze znanych mi ludzi. Często to byli ci sami, do których wcześniej towarzyszyłem jako ministrant kapłanowi, który szedł do nich – jak mówiliśmy – „z Panem Bogiem”. Niosłem wtedy latarnię z pło-

nącą świecą, a gdy mijaliśmy przechodniów, dzwoniłem dzwonkiem i widziałem, jak wszyscy klękali z głębokim szacunkiem.

Babcia Kazimiera ma jeszcze kilka zasług wobec mojego kapłaństwa, za które jej nigdy nie zdołałem podziękować. Po pierwsze, gdy miałem trzy-cztery lata, dziadek Bolesław zbudował mi „ołtarz” w ogródku, przed domem, a babcia pomagała mi ubierać się w obrusy i koce do „liturgii”. Gdy trochę podrosłem i miałem już własną komeżkę, pożyczała mi czarnej spódnicy i obwiązywała mi ją sznurkiem, aby nie spadła. Przede wszystkim zaś zawsze uczestniczyła w moich „mszach”, była na nich ministrantem, słuchała moich – kilkuletniego dziecka – kazań, przyjmowała „komunię” za którą służył cienki plasterek „bułki wrocławskiej”. Po drugie, babcia dała mi do ręki pierwszy różaniec i nauczyła się na nim modlić. Pamiętam go do dzisiaj. Był piękny, masywny, z kamiennych paciorków, zakończony krzyżykiem bardzo podobnym do krzyża oblackiego, jaki dzisiaj noszę na piersi. Niestety zgubiłem go, sam nie wiem czy na łące pełnej stokrotek, czy na polu na którym, jak pamiętam do dzisiaj, właśnie kwitły kartofle. Szukaliśmy go potem, ale jak to babcia powiedziała: „gdzieś go posiałem”. O, żebyś wiedziała, babciu! Ten różaniec się przyjął i owocuje. Po trzecie, nigdy się już nie dowiem, dlaczego babcia mnie nie skrzyczała „jak Święty Michał Diabła” (miała takie powiedzenie) albo nie sprząła mi porządnie skóry, gdy zniszczyłem jej książeczkę do nabożeństwa. To nie była zwyczajna książeczka, kupiona w jakim sklepie. Dzisiaj byśmy powiedzieli, że to była książeczka spersonalizowana. Otóż babcia zebrała w niej kilkanaście równej wielkości broszur z jej ulubionymi modlitwami i dała oprawić w piękną, czarną skórę. Introligator wycisnął z przodu na okładce wielki krzyż. A ja gdzieś w ostatnich tygodniach wielkiego postu znalazłem tam broszurę, która mniej więcej nosiła tytuł *Zegarek Męki Pańskiej*. Bardzo chciałem w omówionych tam godzinach jednoczyć się z Panem Jezusem. Pamiętam, jak zabierałem tę broszurę na adorację w Wielki Piątek i Wielką Sobotę. Babcina książeczka miała jednak ok. 7 cm grubości. Gdy więc zauważyłem, że poszczególne broszury są zszyte nicią introligatorską, wziąłem żyłkę od tatusia z szafki i bezmyślnie wyciąłem tę broszurę z całości. Jak łatwo przewidzieć – oprawa

odpadła, książeczka się rozsypała. Miałem wtedy może 15 lat. Gdy babcia to zobaczyła, nie zrobiła mi najmniejszego wyrzutu, tylko powiedziała, że bardzo lubi to nabożeństwo.

Mój dziadek Bolesław, to ten, którego mądre a dosadne myśli często cytuję podczas przeróżnych konferencji. Razem z nim pasłem krowy w dąbrowie, poganiałem mu konia w kieracie, gdy przygotowywał sieczkę. Pokazał mi kępę drzew, gdzie zawsze można znaleźć grzyby. Nauczył mnie robić z wierzbowych gałązek fu-jarki – z jedną i z wieloma dziurkami – oraz robić ozdoby z sitowia. Zaprowadził mnie na bagna, gdzie rosną najpiękniejsze pełniki europejskie, które on nazywał „wole oczy”. Z nim zbierałem fiołki, przylaszczki, zawilce i stokrotki. Pokazywał mi piękno świata.

Jedno wzrusza mnie w niewypowiedziany sposób. Otóż mój dziadek własnymi rękami karczował ziemię, aby mogła na niej rosnać pszenica. Gdy któregoś dnia jeden worek z pszenicą spadał z wozu na ziemię, dziadek przechwycił go na brzuch, aby ochronić pszenicę. Ochronił, ale dostał przepukliny, z którą chodził do końca życia, bo bał się operacji. Mój ojciec z kolei był piekarzem. Z pszenicy wypiekał chleb. Zapach piekarni i świeżego chleba to najwyraźniejszy zapach z mojego dzieciństwa, który chłonałem zanosząc tatusiowi jedzenie do piekarni. A ja...? Ja, wnuk rolnika Bolesława i syn piekarza Józefa, taki pszeniczny chleb codziennie konsekruję i przemieniam w Ciało Pańskie. Oto przedziwna sztafeta pokoleń.

Patrząc szerzej, należałoby powiedzieć, że wychowałem się w Brańsku na Podlasiu – ukształtowała mnie atmosfera tego miasta i każdy jego mieszkaniec. Ci, których spotykałem w kościele, w sklepach, w szkole, na ulicy. Krawcowe i krawcy, którzy szyli mi spodnie, garnitury i płaszcze, jako dziecku a potem jako klerykowi. Piekarze, z którymi tatuś pracował, sąsiedzi, znajomi rodziców. Mieszkańcy Brańska wychowywali mnie zupełnie o tym nie wiedząc. Patrzyłem na ich styl życia i pracy, słuchałem co i jak mówili o innych ludziach, o przeszłości, o księżach i o Kościele. Miałem szczęście żyć w świecie scalonym. To, co śpiewa Mietek Szcześniak, że „Niebo chodzi po Ziemi, Ziemia chodzi po Niebie. Nie ma dwóch światów. Jest jeden....” w latach dzieciństwa i dorastania było dla mnie zwyczajną oczywistością.

Duży wpływ wywarli na mnie księża pracujący w naszej rodzinnej parafii. Byli różni. Nie byłem ich pupilem. Byłem jednym z grupy. Wprowadzali mnie jednak w umiłowanie liturgii oraz otwierali oczy na rzeczywistość Kościoła powszechnego. Muszę powiedzieć, że nie mam tutaj na myśli księży katechetów, bo ci nie pozostawili we mnie specjalnego śladu. Mam na myśli przede wszystkim kolejnych opiekunów ministrantów. Byli blisko ministrantów i scholanek oraz byli z nami każdego dnia po Mszy Świętej wieczornej. Siedzieli z nami na drewnianych ławach wokół wielkiego stołu na plebanii, rozmawiali, grali w piłkarzyki, a czasami po prostu grzebieniem strzelali pieniążkami do bramki. Do dzisiaj pamiętam to, co opowiadali na zbiórkach ministranckich, często posiłkując się skryptami przepisywanymi wówczas na tzw. przebitkowym papierze, które nawet młode oczy czytały z trudem, bo była to np. dziesiąta odbitka. Przeżrocza o ojcu Maksymilianie Kolbe wyświetlane w ramach przygotowania do jego beatyfikacji w 1971 roku ożywiły moje życie duchowe i w szczególny sposób związały z Niepokalaną. Podobnie kilka słów o prześladowaniach Kościoła w Meksyku i męczeństwo ojca Pro, posłyszane na zbiórce ministranckiej przy okazji historii pozdrowienia „Króluj nam Chryste”, żyją we mnie do dzisiaj. Księża w naszej parafii mieli też piękny zwyczaj, aby co pewien czas zabierać ze sobą kilku ministrantów i kilka dziewcząt ze scholi, i jechać do okolicznych wsi odwiedzać poszczególnych chorych. Odprawialiśmy wtedy Mszę w domu chorego, śpiewaliśmy i rozmawialiśmy z domownikami. Chodziliśmy wtedy do szkoły podstawowej, ale pasjonował nas taki Kościół bliski ludzi.

Urodziłem się w diecezji drohiczyńskiej. Tam od samego początku bardzo dobrze działała Oaza Nowego Życia. Mieliśmy naprawdę wspaniałego moderatora diecezjalnego, ks. Mariana Świerczyńskiego. Oaza działała na poziomie parafii, regularnie odbywały się coraz to w i innym dekanacie dni wspólnoty ogólnodiecezjalne. To właśnie ks. Świerczyński podczas rekolekcji oazowych pogłębił moje umiłowanie liturgii, zapalił do uroczystych celebracji, nauczył modlitwy spontanicznej i odmawiania różańca „z dopowiedzeniami”, wprowadził w ideę nabożeństwa biblijnego i namiotu spotkania. To właśnie podczas rekolekcji oazowych w latach 1971-1977 spotkałem wiele uroczych dziewcząt „do tań-

ca i do różańca”, dla których „Nowy Człowiek”, „Nowa Kultura”, „Nowe Życie” to nie były puste słowa. Wtedy to, w wieku licealnym, nauczyłem się przyjaźnić z dziewczętami, odkryłem urok świata wewnętrznego opartego na miłości Agape, skupionego na liturgii, służbie i świadectwie.

Powołanie do życia zakonnego odnalazło mnie w dość zaskakujący sposób. Od tak dawna, jak sięgam pamięcią, marzyłem by zostać kapłanem. Nigdy nie miałem co do tego najmniejszej wątpliwości. W naszej parafii, a nawet w całej diecezji drohiczyńskiej pracowali jednak wyłącznie kapłani diecezjalni. Czymś zatem oczywistym było dla mnie, że zdobędę maturę i wstąpię do seminarium w Drohiczynie. W 1971 roku rekolekcje wielkopostne głosił w naszej parafii o. Walenty Zapłata, Oblat Maryi Niepokalanej. Byłem wtedy w szóstej klasie szkoły podstawowej. Kazań nie pamiętam. Misjonarz jednak każdemu ministrantowi wręczył lichy obrazek – malutką czarno-białą fotografię z modlitwą Pawła VI o powołania. Powiedział, żebyśmy ją codziennie odmawiali, więc odmawiałem zawsze w ramach dziękczynienia po Mszy Świętej. Na samym dole obrazka znajdował się adres do Sekretariatu Powołań Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej. Ten adres zmienił moje życie.

A może nie adres, tylko moja siostra Elżunia? Otóż miałem taki zwyczaj, że jak wracałem ze szkoły, to najpierw zaglądałem do kredensu, bo tam mamusia często zostawiała jakieś słodkości. Któregoś dnia, ponieważ nie dostałem od rodziców pieniędzy na spektakl teatrzyku lalkowego, który przyjechał do naszej szkoły z Białegostoku, wróciłem wcześniej do domu. Otwieram kredens, a tam leży otwarta niebieska koperta zaadresowana w następujący sposób: „Obywatelka ciężarna Jadwiga Lubowicka”. Tak wtedy wysyłano wezwania na badania lekarskie. Przeczytałem to z radością kilka razy, dla pewności. Hura! Będę miał rodzeństwo! Radość w sercu. Równocześnie jednak zauważyłem, że znaczek na kopercie nie jest opieczętowany. Pomyślałem: Można by wysłać z tym znaczkiem list. Tylko dokąd? Ja nie mam żadnego adresu. I nagle: mam adres! Sekretariat Powołań... Ale o czym pisać w liście do księdza? Postanowiłem zapytać, czy Misjonarze Oblaci Maryi Niepokalanej nie mają w Kodniu, czyli bliżej mego domu rodzinnego, seminarium. Pytanie jak pytanie. Ono

jednak rozpoczęło korespondencję, która mnie zaprowadziła do niższego seminarium duchownego w Markowicach k. Strzelna.

W Markowicach spotkałem trzy kobiety, które wywarły wpływ na moje życie. Pierwsza z nich to św. Teresa z Lisieux. Ona wywarła wpływ największy. Ukształtowała moją duchowość i do dzisiaj pozostała moją wielką przyjaciółką. Spotkałem ją bardzo zwyczajnie. Któregoś dnia – a był rok 1973, a zatem setna rocznica jej urodzin – w świetlicy zobaczyłem zdjęcie uroczej dziewczyny. Zainteresowałem się, co to za dziewczyna w seminarium. Przeczytałem o niej wszystko, co było do przeczytania. Cztery lata później, w klasie maturalnej, zacząłem sam o niej pisać. Przygotowałem materiały duszpasterskie dla całej prowincji z racji 50 rocznicy ogłoszenia Św. Teresy od Dzieciątka Jezus patronką misji. Gdy po latach, w 1985 miałem wybrać uczelnię w Rzymie, gdzie miałbym studiować teologię duchowości – wybrałem oczywiście Teresianum, a w konsekwencji karmelitańskie podejście do duchowości.

W Markowicach spotkałem też panią Helenę Zakrzewską, współzałożycielkę Instytutu Prymasowskiego, która zajmowała się duszpasterstwem dziewcząt pracujących. Jako licealistę zaprosiła mnie do współpracy. Jako licealista głosiłem tym dziewczętom konferencje, a Hala – jak ją nazywaliśmy – otworzyła moje oczy i serce na Matkę Bożą Jasnogórską, tłumacząc idee Ślubów Jasnogórskich, peregrynacji i aktu oddania w macierzyńską niewolę miłości. Przysyłała mi wielkie paczki z książkami Prymasa Tysiąclecia a równocześnie trudnodostępne wtedy książki przygotowujące do duszpasterstwa. Nauczyła mnie kochać, rozumieć i służyć kobietom. Zaszczepiła przekonanie Stefana Kardynała Wyszyńskiego, że „taka będzie rodzina, jaka będzie kobieta”. Zaprosiła, bym pisał teksty do dzisiejszego *Listu do Pani*, który wówczas miał skromniejszą szatę i nazywał się po prostu *List*. W imieniu ówczesnej Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Kobiet zamówiła u mnie tekst misterium pt. *Kielich, który jest wezwaniem*, które była wystawiane podczas pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1982 r. Razem z Janiną Michalską były na moich prymicjach, i aż do śmierci uczyły mnie patrzeć na Kościół oczyma i sercem kobiet. Podczas ostatniego spotkania Hala mi powiedziała, szczęśliwa z siebie: „Kazik, ty otwar-

tym tekstem mówisz dzisiaj o tym, o co my musiałyśmy walczyć i mówić półsłówkami”.

Trzeba też wspomnieć panią Jadwigę Gielwanowską z Inowrocławia, polonistkę w Markowicach. To od niej otrzymałem pierwszy tomik wierszy księdza Jana Twardowskiego pt. *Niebieskie okulary*. To rozpoczęło moją wielką fascynację jego poezją, która pomogła mi spotkać Boga bardzo uroczego, czułego i bliskiego, jak tysiące drobniaków obecnych w poezji księdza Jana, a równocześnie głębokiego i zaskakującego, jak puenty jego wierszy.

Wiele trzeba byłoby napisać o ludziach spotkanych na Terecianum w Rzymie. Zarówno o studentach – szczególnie tych pokornie przyjacielskich z Ameryki Łacińskiej – jak i o profesorach. Niezapomniane wrażenie zrobił na mnie o. Ermano Ancilli OCD, który mimo swojej ogromnej erudycji naukowej, a raczej właśnie dzięki niej, ufał Panu Bogu jak dziecko i umierając powtarzał: „Święć się Imię Twoje”. Promotor mego doktoratu, o. Jesus Castellano Cervera OCD, konsultor kilku kongregacji watykańskich, którego gdy zasłabł idąc przez Gianiculum wzięto za kłoszarda, pozostanie jako wzór przyjaznej bliskości ze studentami i prostoty niestwarzającej dystansu.

Na koniec wspomnę jeszcze o. Jean Drouarta OMI, Francuza, z którym przyjaźniłem się jeszcze jako kleryk, a z którym spędziłem sześć lat w naszym domu generalnym w Rzymie. Był moim spowiednikiem. Słuchał, nie narzucał. Dopiero, gdy któregoś dnia zacząłem się dzielić z nim moim zachwytem nad komentarzem Orygenesza do *Pieśni nad Pieśniami*, powiedział: wczoraj wróciłem z rekolekcji na temat tej Księgi. Prowadził je o. Blaise Arminjon TJ. I pokazał mi jego książkę pt. *La cantate de l'Amour* – Kantata Miłości. Systematyczna lektura *Pieśni nad Pieśniami*. Do dzisiaj uważam ją za najlepszą z przeczytanych na ten temat. On umierał z tą książką pod poduszką. Byłem przy jego łóżku kilka minut przed jego śmiercią.

Widziałem też, jak sześćdziesięcio-, siedemdziesięcio- a wreszcie osiemdziesięcioletniego o. Drouarta otaczała młodzież, zapatrzona w niego i szczerze go kochająca. Dzisiaj zaczynam lepiej rozumieć, kim udało się jemu być dla tych młodych, i kim ja mam być.

Teresa Maciaszek ZSAPU

Kraków

Świadectwo

Powołanie jest tajemnicą, nie próbuję jej nawet zrozumieć. Żyję prawdą, którą podaje mi Słowo Boże: „przywołał do siebie tych, których sam chciał” (Mk 3,13). Powołanie jest darem darmo danym, niezasłużonym i w moim przypadku nieoczekiwanym. Mówiąc o łasce powołania, sięgam pamięcią do lat z dzieciństwa, aby w szczerości serca zobaczyć, jak Pan Bóg przygotował mnie do przyjęcia daru powołania albertyńskiego.

Pochodzę z dużej rodziny, miałam sześcioro rodzeństwa, w domu rodzinnym doznałam wiele ciepła i rodzicielskiej troski. Mimo, że była nas gromadka, jako dziecko zawsze siedziałam u Taty na kolanach, lubiłam wkładać moje małe rączki do jego dużych dłoni. Tato chodził ze mną do Kościoła, musieliśmy pokonać trzy kilometry. A po Mszy św. zawsze zapraszał mnie na oranżadę albo dobre lody. Mama zajmowała się młodszym o rok bratem, który w wieku dwóch lat musiał mieć wykonany zabieg na wyrostek robaczkowy. Pamiętam dobrze tę sytuację, jak rodzice i rodzeństwo, łącznie ze mną, płakali z powodu pobytu Bogusia w szpitalu. Po wyjściu ze szpitala, Boguś musiał wszystkim pokazywać bliznę po operacji. Gdy miał sześć lat, a ja siedem, podczas Mszy św. przychodził do mojej ławki i mówił po cichu „siusiu”. Wstydziałam się okropnie, ale maszerowałam z nim przez cały kościół.

Pamiętam również, że gdy miałam dziewięć lat, mój starszy brat przez pomyłkę podał swojemu dwutygodniowemu synkowi lekarstwa, które były przeznaczone dla jego mamy. Mały Pawełek trafił nieprzytomny do szpitala. Cała rodzina gorąco modliła się o łaskę zdrowia, zamówiona była również Msza św. Pawełek wyzdrowiał. Od tamtego momentu wiedziałam, co trzeba robić i do Kogo się zwracać, gdy są trudne sytuacje. Ta nauka przydała mi się dziesięć lat później, gdy byłam świadkiem wypadku rocznego chłopca – Tomka, który został przejechany traktorem. Tomek trafił do szpitala, a ja z jego bratem i siostrą modliliśmy

się kilka godzin na kolanach powtarzając: „Zdrowaś Maryjo”. Po tygodniu Tomek został wypisany ze szpitala bez żadnych obrażeń, nie miał nawet żadnego siniaka. To cud Matki Bożej. Obiecałam Matce Bożej, że pieniądze z pierwszej mojej pensji ofiaruję na potrzeby kościoła parafialnego. Tak zrobiłam. Rodzice nauczyli mnie, że jak się prosi, to trzeba umieć również dziękować.

W wieku szkolnym trzy razy trafiłam do szpitala. Przyglądałam się wówczas pilnie pracy pielęgniarek i już wtedy wiedziałam, co chcę robić w życiu. Podczas pierwszych praktyk pielęgniarskich na oddziale chirurgicznym, u pacjenta, którym się opiekowałam, został zdiagnozowany nowotwór żołądka. Przyjechałam do domu i bardzo płakałam. Mama stanowczo powiedziała, że więcej już tam nie pojedę. Stało się jednak inaczej. Skończyłam szkołę pielęgniarską i rozpoczęłam pracę na oddziale otolaryngologii w Poznaniu. Czas szkoły średniej był czasem wielkiego nabożeństwa do Matki Bożej, każdą chwilę wykorzystywałam na modlitwę różańcową: w drodze na przystanek autobusowy, w wolnym czasie zamiast iść na miasto, jak to robiły moje koleżanki, wchodziłam do kościoła na modlitwę. Przed zajęciami w szkole, jak również po zajęciach, zawsze na chwilę wchodziłam do kościoła, aby prosić o Boże błogosławieństwo. Doświadczylam prawdy, że Matka Boża nie zatrzymuje nikogo przy sobie, ale kieruje do Chrystusa.

Praca na oddziale otolaryngologii bardzo mi się podobała. Było 50 pacjentów z nowotworami krtani i migdałków, i było bardzo dużo pracy. Czułam się na swoim miejscu. Pojawiły się myśli o medycynie, zaczęłam uczyć się do egzaminu. Starym zwyczajem przed pracą, jak również po pracy, nawiedzałam Najświętszy Sakrament. Niekiedy w kościele była Msza św. lub pogrzeb. Pewnego dnia moja koleżanka, która należała do duszpasterstwa akademickiego przy parafii św. Jana Kantego w Poznaniu, powiedziała mi, że jakiś ksiądz szuka dziewczyny, którą często widuje w kościele. Opis wyglądu pasował do mnie. Zdziwiona tym i z dużą dozą niedowierzania, odpowiedziałam, że ja żadnego księdza nie znam. Kiedy się z nim spotkałam, on rozpoznał we mnie dziewczynę, której szukał, i zaprosił mnie na spotkania młodzieżowe. I tak to się zaczęło.

Do domu rodzinnego przyjeżdżałam zawsze, jak miałam kil-

ka dni wolnego. Zbliżają się pierwsze święta Bożego Narodzenia, patrzę na grafik – w święta mam dyżury nocne. Poczułam przykrość w sercu, że nie będę z rodzicami i rodzeństwem przeżywać Bożego Narodzenia. Podzieliłam się tym z księdzem i otrzymałam adres, pod który miałam się udać po dyżurze nocnym z zapewnieniem, że będę się tam czuła, jak w domu. Byłam przekonana, że mieszkają tam starsi samotni ludzie. Wcześniej odwiedzałam takie osoby i pomagałam im materialnie.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia idę pod wskazany adres. Dzisiaj dziwię się mojej naiwności, że bez żadnego sprawdzenia poszłam pod nieznaną adres. Dzwonię domofonem, otwiera mi młoda uśmiechnięta dziewczyna, która jest zorientowana w mojej sytuacji. Zdziwiłam się, ale wchodzę do kamienicy i słyszę śpiew kołęd. Jestem zapraszana, aby wejść dalej i nagle znajduję się w kaplicy, w której sprawowana jest Msza św. Okazało się, że ksiądz skierował mnie do sióstr albertynek. Po Mszy św. siostry kazały mi iść spać. Posłusznie to zrobiłam. Obudziłam się wieczorem, siostry bardzo serdecznie mnie przyjęły. Zdumiewałam się ich radością, uśmiech nie schodził z ich ust. Siostry zrobiły mi kanapki na następny dyżur nocny. Po tym dyżurze już tak długo nie spałam. Wieczorem, w drugie święto, w kaplicy sióstr wspomniany wcześniej ksiądz wystawił Najświętszy Sakrament. Bardzo mnie dotknęła modlitwa sióstr, a szczególnie księdza, który głośno modlił się za mnie. Byłam bardzo wzruszona, nie mogłam wyjść z kaplicy, spóźniłam się na dyżur.

To był ten moment, w którym Pan Bóg bardzo mocno mnie pociągnął. Trudno powiedzieć dlaczego, ale coś mnie ciągnęło, żeby przychodzić do sióstr. Wspólna modlitwa brewiarzowa, różaniec, wspólne bycie ze sobą, ale i wspólna praca. Dom sióstr był w remoncie, więc pracy porządkowej było bardzo dużo. Cenię sobie, że siostry nigdy nie sugerowały mi wstąpienia do Zgromadzenia. Kilka miesięcy później miałam pewność, że chcę być albertynką. Nie jestem w stanie dzisiaj odpowiedzieć, dlaczego moje plany na życie stały się tak szybko mało ważne. Chciałam być lekarzem, chciałam mieć rodzinę i to dużą, na wzór mojej rodziny. Rodzice liczyli, że będę z nimi do końca ich dni. To wszystko stało się w jednej chwili mało ważne.

Kiedy rozpoczęłam pierwszy etap formacji, napisałam do rodziców list, w którym były tylko 2 słowa: „Jestem szczęśliwa”. Dzisiaj, gdyby żyli moi rodzice, napisałabym to samo. Drugi list, który do nich napisałam, brzmiał: „Moi Kochani Rodzice, od dzisiaj już nie jestem Terenią, tylko siostrą Teresą”. Oczywiście dla nich nie byłam żadną siostrą, ale zawsze Tenią lub Terenią. W Zgromadzeniu jestem już 33 lata i proszę mi wierzyć, nie wiem, jak to się stało, że to już 33 lata.

Podzielę się jeszcze świadectwem, którego doświadczyłam. Będąc na studiach teologicznych w Poznaniu, jechałam autobusem, pamiętam był listopad, padał deszcz. W piątkowe popołudnie na przystanku stało dużo ludzi. Po wyjściu z autobusu w kałuży leżał człowiek, podeszłam do niego, był pijany. Próbo wałam go podnieść, ale nie udało się, z wielkim trudem obróciłam go na plecy i otarłam twarz z błota. Kiedy mnie zobaczył, ucałował moją dłoń i rozplakał się. Po pewnej chwili zmobilizował się i przy mojej pomocy wstał. Posadziłam go na ławce i odeszłam. Często o nim myślałam. Po 7 latach, będąc na jednym z rynków poznańskich, zauważyłam mężczyznę, który w dziwny sposób mi się przyglądał. Podeszedł do mnie a ja już rozpoznałam te same oczy, pan z kałuży. Powtórzył gest ucałowania dłoni i podziękował za uratowanie mu życia. Tak naprawdę, to nic nie zrobiłam. Tylko zainteresowałam się człowiekiem.

Życie konsekrowane jest piękne pod jednym warunkiem, że będziemy w nim kierować się miłością. Miłość prowadzi do ofiarności, przez pryzmat miłości, wszystko co nas spotyka odczytujemy jako dar. Prawdziwa miłość nie przywiązuje i nie wymusza. Lekarzem nie zostałam, ale wiele lat spędziłam przy łóżku chorego. Wstępując do Zgromadzenia nie miałam planów, jak to życie zakonne chcę przeżyć, byłam otwarta na działanie Pana Boga w moim życiu. Najważniejsze, to pragnienie służby Bogu, a w jaki sposób, to już sam Bóg się zatroszczy. W życiu zakonnym Pan Bóg niczego mi nie zabrał, wszystko czego pragnęłam w życiu świeckim ofiarował mi, tylko w nieco inny sposób.

Trzeba nieustannie słuchać Boga, który mówi poprzez ludzi, wydarzenia, otaczający świat, mówi bardzo dużo. Trzeba słuchać i dziękować za wszystko, uwielbiać Pana Boga we wszystkim, cze-

go doświadczamy, uwielbiać i zawierzać siebie, wszystkim których spotykamy, zawierzać trudne sprawy, sytuacje bez wyjścia. Często towarzyszą mi słowa Pana Krzysztofa Ziemca: „wszystko jest po coś”. Nie ma przypadków, nie ma sytuacji bez sensu, nie ma spotkań przypadkowych, wszystko jest dobrze przemyślane i zaplanowane przez Pana Boga, trzeba tylko słuchać i iść za tym, co Bóg mówi. W Zgromadzeniu jestem szczęśliwa, ponieważ doświadczyłam, jak Panu Bogu na mnie zależy, zobaczyłam, jak mnie prowadzi, jak prostuje moje krzywe drogi, na które niekiedy wchodzę. Jestem Panu Bogu wdzięczna, że mogę chodzić w albertyńskim habicie, który bardzo zobowiązuje. Nasz habit jest bardzo rozpoznawalny i kojarzy się ze służbą tym, którym po ludzku się nie udało, którzy próbują odnaleźć w sobie godność człowieka, którzy noszą w sobie ciężar odrzucenia. Cieszę się, że mogę wraz z siostrami towarzyszyć i w miarę możliwości pomagać tym osobom. Niekiedy jestem pytana, szczególnie w porze letniej, gdy temperatura jest wysoka, czy nie jest mi gorąco. Oczywiście, jest mi gorąco i noszenie habitu jest trudne, ale zawsze towarzyszy mi intencja, że ten trud ofiaruję Panu Bogu za kobiety, które nie szanują swojej godności.

Życie zakonne jest dla wielu osób niezrozumiałe, ale sam Pan Jezus mówił, że nie wszyscy to pojmują. Ważne jest, aby każdy człowiek odkrył swoją drogę, drogę, którą przygotował dla niego Pan Bóg. Przykładem cierpliwego szukania właściwej drogi jest nasz Założyciel św. Brat Albert. Dopiero po 40 latach życia odnalazł to, do czego Bóg go wezwał. Malarstwo nie było jego drogą, życie w klasztorze jezuickim również. Warunkiem szczęścia jest bycie na właściwym miejscu i czynienie tego, co jest w zamiarach Bożych.

Czesław Parzyszek SAC

Warszawa

„Od pasienia krów powołał mnie Pan...”

Na prośbę ks. Marka Jeżowskiego, redaktora naczelnego dwumiesięcznika „Życie Konsekwane”, przekazuję świadectwo o moim powołaniu do życia konsekwanego w Rodzinie Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (Księża Pallotyni).

1. Kilka zdań o sobie

Pochodzę z małej wioski w powiecie garwolińskim (woj. mazowieckie). Jestem siódmym (najmłodszym) dzieckiem... Rodzice mieli duże gospodarstwo i byli bardzo przywiązani do roli. Byli głęboko wierzący. Dom nasz oddychał Panem Bogiem. Od wczesnego dzieciństwa, razem z rodzeństwem, śpiewaliśmy w domu Godzinki ku czci NMP, Gorzkie Żale i pieśni religijne. Pozdrowienia chrześcijańskie były na porządku dziennym. Nie trzeba wiele pisać. W domu było skromnie, ale ciepło – rodzinnie. Moją mamę zabił piorun, gdy miałem zaledwie siedem lat. Jako najmłodszy w rodzinie miałem obowiązek zająć się gospodarstwem. Uprosiłem Tatusia, abym mógł pójść do Liceum w Garwolinie. Ostatecznie wyraził zgodę, pod warunkiem, że po szkole będę pomagał w gospodarstwie. I tak było... Po przyjściu ze szkoły trzeba było szybko zabrać się do pracy na gospodarstwie, również do pasienia krów i nie tylko. Tata odszedł do Pana (prawie nagle), gdy uczeźczałem do Liceum...

2. Rozeznanie powołania

Jeśli można mówić o rodzajach odczytania powołania, to należę do tej kategorii powołanych, którzy od dzieciństwa mieli świadomość powołania do kapłaństwa (pasąc krowy, bawiłem się w księdza). Nie miałem też wątpliwości, że nie będę kapłanem diecezjalnym, jestem bowiem „*animal sociale*” – lubiłem życie rodzinne. Czuję też, że nie mam powołania do życia ściśle zakonnego.

Mój starszy brat był już alumnem Wyższego Seminarium Duchownego Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (Księża Pal-

lotyni) w Ołtarzewie. Nie jeden raz przyjeżdżał do naszego domu ze swoimi współbraćmi. Imponowało mi ich zachowanie: bezpośredniość, radość, autentyczność życia. I chociaż mój brat mówił mi: „jeśli chcesz iść do seminarium zakonnego, to idź do innego, niż ja”, odpowiadało mi to, że Pallotyni to „pomost” między klerem diecezjalnym i zakonnym (bez ślubów, a tylko z przyrzeczeniami jako stowarzyszenie życia apostołskiego). Zatem po zdaniu matury (choć nie przyszło to łatwo z racji pracy w gospodarstwie), zawiązałem do Pallotynów.

3. Było i pewne *ale*

Pewne *ale* dotyczyło mojej motywacji powołaniowej. Oczywiście zasadnicze motywy pójścia drogą powołania do życia konsekrowanego były autentyczne. Chciałem służyć ludziom, głosić Ewangelię i realizować dany charyzmat. Jednak ukrytym motywem była chęć ucieczki przed wojskiem. Pan Bóg jednak potrafi wyprostować niezdrowe motywacje.

Lata sześćdziesiąte, w których przyszło mi przygotowywać się do kapłaństwa to lata ciemnego komunizmu, którego zasadniczym celem była walka z Kościołem. Przypuszczono też atak na seminaria duchowne. Nasyłano odpowiednie komisje do zbadania programu nauczania seminaryjnego. Wielki Przywódca naszego narodu – kard. Stefan Wyszyński, Prymas Tysiąclecia wskazał jasno, aby takich komisji nie dopuszczać do sal wykładowych, gdyż ludzie w nich pracujący są niekompetentni w kwestii nauczania seminaryjnego i oczywiście mają wiadomy cel. Nasz ówczesny Przełożony Prowincjalny, posłuszny wskazaniom Prymasa, nie zezwolił Komisji, która przybyła do naszego Ołtarzewskiego Seminarium, aby weszła na sale wykładowe. Skutek takiego zachowania był natychmiastowy. Ponad 50% alumnów naszego Seminarium otrzymało karty wcielenia do wojska. Wśród nich byłem i ja. Nie można porównywać ówczesnej atmosfery seminaryjnej z atmosferą panującą w wojsku. Służba wojskowa trwała dwa lata. Pierwszy okres służby wojskowej odbywałem w „normalnej” jednostce wojskowej, ale pod dwóch miesięcy alumnów zgrupowano w specjalnych jednostkach kleryckich. Wiadomo, że celem takich jednostek wojskowych było „odciągnięcie” alumnów od kapłaństwa.

Dlaczego o tym wspominam? Nie było mi łatwo tę decyzję przyjąć. Nieraz było ogromnie trudno. W murach wojskowych brakowało mi seminaryjnej ciszy, a szczególnie codziennej Eucharystii. Oczywiście, po odbyciu dwuletniej służby wojskowej, wróciłem do Seminarium z jeszcze większą radością, umocniony w powołaniu i zrozumiałem, jak Bóg potrafi oczyścić motywacje powołaniowe. Ponadto wojsko nauczyło mnie wiele, mimo trudnych codziennych przeżyć... Do dziś sądzę, że gdyby służba wojskowa trwała jeden rok byłbym za tym, aby wszyscy alumni przeszli taką „szkołę wojskową”.

4. Bóg potrafi wytyczać szlak poprzez przełożonych

Moim marzeniem była praca kapłańska w posłudze duszpasterskiej wśród ludzi. Czekałem z upragnieniem na święcenia kapłańskie. Po ich przyjęciu (1969) mój prowincjał przysłał mi dekret kierujący na studia teologii na KUL. Buntowałem się wewnętrznie, ale cóż: posłuszeństwo i basta. Studiowałem teologię dogmatyczną, ale jednocześnie z moim współbratem kursowym postanowiliśmy zaangażować się duszpastersko (w ograniczonym zakresie podjęliśmy katechezę, dyżur spowiedzi i spotkania z młodzieżą). Nawet studiowanie w takim wydaniu mi się spodobało, zwłaszcza, że moim przewodnikiem był ówczesny rektor KUL, ks. prof. Wincenty Granat – profesor wielkiej klasy (dziś wielebny sługa Boży).

Pod koniec trzeciego roku studiów, po „magisterce” i egzaminie licencjackim ks. prof. Granat zaproponował mi studia doktoranckie. Spodobało mi się to. Ale przełożony prowincjalny, pomimo moich argumentów zasugerował mi powrót do Seminarium jako prefekt alumnów i wykładowca. Sugestia przełożonego oznaczała dla mnie „wolę Bożą”. Dekret przełożonego był jasny – proszę stawić się w Seminarium, podjąć wskazane zadania z możliwością robienia doktoratu w wolnym czasie. Niestety przy wielu zajęciach w seminarium wolnego czasu nie było. I tak przeszło sześć lat.

Tuż przed zakończeniem tego czasu stwierdzono, że nadszedł czas, bym powrócił do Lublina i zajął się doktoratem. Przyjąłem tę wieść z radością. Niestety, w tym czasie zmienił się wyższy

przełożony, który przekonywał mnie, że jest „zapotrzebowanie” na mistrza nowicjatu, sugerując, że jestem jedynym kandydatem na to stanowisko. Z trudem powiedziałem „tak”. Mistrzem nowicjatu byłem tylko trzy lata, bo już w trzecim roku tej posługi zostałem wybrany na urząd Wyższego Przełożonego. I aż strach powiedzieć, pełniłem tę funkcję przez 30 lat (18 lat jako Prowincjał i 12 lat jako Wice-prowincjał).

Wygląda, jak bym chciał się chwalić. Jednak chcę tym świadectwem pokazać, że Bóg potrafi wszelkie zamysły człowieka poprowadzić dla dobra człowieka. Dlaczego tak twierdzę?

Po pierwsze, bycie prefektem i mistrzem nowicjatu dało mi bardzo wiele. Nie wiem, jakim zostałbym kapłanem i pallotynem, gdyby nie bogactwo osobowości tych, którym służyłem. Poznanie bogatych wewnętrznie młodych kandydatów, ich wnętrza, talentów uczyniło mnie bardziej pokornym wobec własnych słabości.

Po drugie, mimo podjętych funkcji, po dłuższym czasie udało mi się jednak osiągnąć stopień doktora duchowości i doktora habilitowanego teologii dogmatycznej a nawet profesora „belwiderskiego” nauk teologicznych. Wydaje mi się, że wtedy było to bardziej dojrzałe i bardziej w służbie powierzonemu ludowi, któremu – jak mogłem – starałem się służyć.

A więc, o dziwo, Bóg oderwał mnie „od pasienia krów” i obdarzył tak wieloma niespodziankami. Bliski jest mi zawsze św. Wincenty Pallotti z jego niesamowitą duchowością, którą mogłem bardziej zgłębić poprzez spełnianą posługę. Bliski jest mi sługa Boży – ks. prof. Wincenty Granat z jego ludzkim podejściem do studenta. Bliski pozostanie mi zawsze mój mistrz nowicjatu – ks. Wiktor Bartkowiak z jego ciągłym przypominaniem, że „pallotyn nie może być cymbałem” i wielu „różnobarwnych” profesorów, wychowawców i przełożonych seminaryjnych, którzy – oprócz domu rodzinnego – zasiewali ziarna autentycznego człowieczeństwa, mądrości życiowej i bogactwa kultury duchowej. Wspomnę tylko rektora seminarium ołtarzewskiego, który asystował przy moich święceniach kapłańskich – ks. dra Józefa Wróbla, który często powtarzał: „zdolności wielkich nie miałem, ale pracą można wiele”. Te słowa często towarzyszyły mi na mojej drodze kapłańskiej i pallotyńskiej aż do dziś oraz sta-

ły się i moim zawołaniem. I tak zrodziła się moja dewiza posługi kapłańskiej i pallotyńskiej, którą wypisałem na swoim obrazku prymicyjnym: „*uśmiechem – rozstrzygać; milczeniem – uciszać; słowem – leczyć*”.

5. Radości życia wspólnotowego

Nigdy nie żałowałem, że wybrałem życie wspólnotowe, które należy do jednego z istotnych elementów życia konsekrowanego. Oczywiście bywało różnie, jak w każdej zdrowej wspólnotcie, której członkami są ludzie w tak dużym przedziale wiekowym (najmłodszy, przychodzący do Stowarzyszenia mają ok. 18 lat, a najstarsi współbracia osiągają prawie 100 lat).

Dużym zainteresowaniem w naszej pallotyńskiej rodzinie cieszyły się spotkania tzw. wieczornice, gdzie mogliśmy słuchać ciekawych opowiadań starszych współbraci. Dotyczyły one historii naszej Ojczyzny, historii pallotyńskiej tradycji czy osobistych przeżyć z czasów komunistycznych oraz szczególnych zwyczajów z życia dawnych pallotynów. Dużą radością było świętowanie uroczystości, świąt pallotyńskich czy jubileuszy naszych współbraci. Przy tej okazji słyszałem wiele ciekawych, osobistych anegdotek dotyczących niektórych barwnych osobistości.

Przytoczę jedną z nich. W nowicjacie, oprócz mistrza nowicjatu we wspólnotcie był też ojciec duchowny, który prowadził dni skupienia dla całej wspólnoty. Dość często przytaczał opowieść o starszym, bardzo pobożnym zakonniku, przynależącym do zakonu, w którym reguła nie pozwalała spożywać mięsa. Ten pobożny zakonnik pewnego dnia siedząc na ławce w parku zauważył pięknego „ptaszka”, który siedział na drzewie w pobliżu i zrodziła się w nim pokusa: pogłaskaj tego ptaszka. Zakonnik tak go pogłaskał, że aż go zadusił. Przyszła następna pokusa: stworzenie Boże nie może się marnować, pójdź do kuchni, usmaż go sobie i zjedz. Poszedł do kuchni bez pozwolenia przełożonego, usmażył „ptaszka” i zjadł. A był to piątek. Z kolei przyszła następna pokusa: nie spowiadaj się z tego, bo cię wyrzucą z zakonu, a najlepiej sam odejdziesz, a wtedy będziesz sobie mógł codziennie spożywać takiego „ptaszka”. I po wielu latach wystąpił z zakonu ten gorliwy zakonnik. Ojciec duchowny kończył tę opowiastkę przestro-

gą: „Drodzy Współbracia nie ulegać pokusie!” Sęk w tym, że tę powiastkę przytaczał prawie za każdym razem, głosząc comiesięczne konferencje. Dla nas młodych był to niesamowity ubaw.

Inny ojciec duchowny głosząc konferencję do sióstr zakonnych mówił do nich: „kiedy będziesz Pana Boga kochała? – kiedy ci zębiska wylecą, kiedy gruźlica płuca zeżre?” Był on bardzo cenionym i pracowitym rekolekcjonistą. Gdy stawialiśmy mu pytanie: czy ojciec nie jest zmęczony podejmując tyle zadań, on odpowiadał nam: „chłopcy, skończmy z histerią zmęczenia”. Jego konferencje były jasne i mocne. Mówił często hasłami: „pał złu w łeb... wierz w zwyczajstwa... zauważaj każdego człowieka w każdym czasie i za każdą cenę... kapłan przy ołtarzy powinien być jak anioł, na ambonie jak lew, a w konfesjonale jak baranek”. Takich maksym się nie zapomina.

6. Dlaczego trwam, mimo różnych przeciwności

Życie zakonne nie byłoby prawdziwe, gdyby były w nim obecne jedynie radosne chwile. Nieraz, w chwilach trudnych przychodzą pokusy, by zostawić wszystko i pójść do świata. Co mi osobiście pomaga trwać z radością w pallotyńskim świecie?

Najpierw, gdy przychodzą przeróżne pokusy, sięgam pamięcią do domu rodzinnego, do postawy rodziców, rodzeństwa, do głębokich przeżyć okresów liturgicznych w domu, do śpiewów pieśni, do nabożeństw majowych przy pobliskim krzyżu, do opowieści zimowych przy kominku. To wszystko daje nadzieję.

Z kolei, pozostają przeżycia z czasu formacji. Nasz mistrz nowicjatu prosił, by każdy nas założył sobie „sekretnik”, w którym będzie zapisywał najskrytsze słowa odzwierciedlające różne przeżycia. Czyniłem to przez cały czas formacji podstawowej. Do dziś go zachowałem i gdy przychodzą kryzysy sięgam do poczynionych zapisów z młodzieńczych czasów. To pozwala mi je przewycięzać. Również dewiza zapisana na obrazku prymicyjnym, o której wspomniałem, każe mi być wiernym.

Można by pisać o innych źródłach trwania w powołaniu: o modlitwie prywatnej czy brewiarzowej, o nocnych czuwaniach, o przeżyciach zrodzonych podczas święceń młodszych współbraci czy przeżywanych jubileuszach starszych współbraci, itd. Ale

na koniec chciałbym mocno podkreślić, że źródłem mojej wierności jest postawa wielu ludzi świeckich, wśród których pracuję i których spowiadam. Moje problemy ogromnie maleją, gdy patrzę na postawę tych, którzy są „męczennikami dnia codziennego”.

Gdy było trudno, najczęściej wracałam do postawy św. Wincentego Pallottiego, który mimo niemałych przeciwności życiowych wypowiadał słowa: „Zachwyca mnie mój Bóg. Nie rozum, nie zdolności, nie bogactwa. Bóg zawsze, we wszystkim mój Bóg”. Przypominałem sobie też słowa poety: „Tobie musi wystarczyć Chrystus, skoro Jemu wystarczyło Twoje tak”.

7. Zamiast zakończenia

Coraz bardziej rozumiem, że Bóg powołując do życia konsekrowanego daje mi bardzo dużo – więcej, niż jako powołany mogłem się spodziewać. Odpowiadając na powołanie otrzymałem niesamowicie wiele. I wiem jak wielu ludzi modli się za mnie codziennie, abym trwał i owocował w Bogu. Za wszelki dar – uświędomiony i ten do dziś nieodczytany – niech Bóg będzie uwielbiony!

Maksymilla Pliszka SBDNP

Dębica

Świadectwo

Tajemnica mojego powołania ukryta jest w Sercu Maryi. Odkrywałam ją powoli przez lata i nadal odkrywam w moim życiu zakonnym każdego dnia. Jestem przekonana, że do tej formy życia i to w Zgromadzeniu Sióstr Służebniczek Bogarodzicy Dziewicy Niepokalanie Poczętej przygotowywał mnie Pan Bóg od dzieciństwa, ale myśl, a później pragnienie realizacji powołania zakonnego pojawiło się w moim sercu, gdy miałam 19 lat.

Byłam zwyczajną, młodą wiejską dziewczyną, którą kształtowały przekazywane przez rodziców wartości i ideały, wśród których ważne miejsce zajmowała rodzina. Szczęśliwe rodzinne życie rozbudzało we mnie, od wczesnych lat, pragnienie założenia rodziny. Wówczas życie zakonne było mi zupełnie nieznane. Nigdy bowiem nie miałam bezpośredniego, bliższego kontaktu z siostrami zakonnymi. Znałam je jedynie z filmów, czasem, choć bardzo rzadko widziałam je krzątające się w kościele. Nigdy jednak nie zatrzymywałam na nich swej myśli. Świat mej młodości wypełniały relacje z najbliższymi i z rówieśnikami, okraszone prostą tradycyjną pobożnością. Byłam mało otwarta na szeroki świat i ludzi, nieśmiała, raczej lękliwa, w rodzinie szukająca oparcia i zabezpieczenia. Tak zwyczajnie i raczej spokojnie spędzałam swe życie, kończąc średnią szkołę ekonomiczną, a później Studium Wychowania Przedszkolnego, gdyż praca z małymi dziećmi była od zawsze moim marzeniem.

Pierwszą myśl o życiu zakonnym pamiętam bardzo dobrze, ponieważ mnie zaskoczyła, a nawet wystraszyła. Pojawiła się bowiem... w autobusie, którym jechałam na zajęcia: *a może ja mam być siostrą zakonną...* Od tej chwili rozpoczęła się moja droga rozeznawania prawdziwości Bożego wołania. Był to czas odczytywania znaków i rozwiązywania dylematów, czas pytań zadawanych Panu Bogu i refleksji, które podejmowałam w swym sercu, czas w którym radość z odkrywania powołania mieszała się z lękiem przed nieznanym. Czas niepewności i niedowierza-

nia, że Bóg tak chce i obaw, jak tę decyzję przyjmą Rodzice, jak przeżyje rozstanie z kochanym rodzeństwem. Czas doświadczeń i prób, które sama sobie stawiałam i podejmowałam dla sprawdzenia siebie. Wówczas przeżywałam je bardzo poważnie, a dziś patrzę na nie z uśmiechem.

Jak w swej miłości Pan Bóg zaskoczył mnie myślą o życiu zakonnym, tak zaskakiwał mnie wydarzeniami, przez które prowadził mnie do Zgromadzenia Służebniczek.

Tajemnicę Bożego wezwania długo nosiłam w sercu, nie dzieląc się nią z nikim. Szukałam Zgromadzenia, zaglądając do różnych ksiązek i do kościelnych przedsióneków, gdzie znajdowałam informacje o różnych wspólnotach zakonnych. Internet wówczas jeszcze nie funkcjonował. Moja młodzieńcza kapryśność nie miała granic, a skupiała się przede wszystkim na zakonnym habicie. Temat charyzmatu zakonnego, duchowości i misji był mi zupełnie niezny i na rozeznawanie oraz wybór Zgromadzenia nie miały żadnego wpływu.

Moją wewnętrzną reakcją przy pierwszym spotkaniu z siostrą mojego dziś Zgromadzenia była myśl „na pewno nie tu”. A jednak Pan Bóg chciał mnie mieć właśnie tutaj. Dlaczego? – nie wiem, ale jestem przekonana, że On tak chciał. Rąbek tej tajemnicy uchylił się dla mnie w dniu, w którym przekroczyłam progi klasztoru, by rozpocząć życie zakonne. Gdy rodzice, którzy przywieźli mnie do Dębicy, pokonując niemal 400 km weszli do kaplicy Domu Generalnego, lży z ich oczu wycisnęła duża figura Maryi Niepokalanej umieszczona w prezbiterium, a później usłyszałam „teraz już wszystko jest jasne”.

Moje życie, odkąd pamiętam związane było z Maryją, jednak dotąd nie wiedziałam, że gdy jako kilkutygodniowe niemowlę chorowałam, a lekarze byli bezradni wobec mego złego stanu zdrowia, Rodzice ofiarowali mnie Niepokalanej, kładąc u Jej stóp w małej, wiejskiej kapliczce dedykowanej Niepokalanemu Sercu Maryi. Wierzę, że właśnie wtedy Maryja wzięła mnie w swą szczególną opiekę i przez życie mnie prowadzi, wspiera, ochrania i w codzienności uczy żyć jak Ona. Mam przekonanie, że tu tkwi tajemnica mojego powołania do życia duchem Maryi Służebnicy Pańskiej w Zgromadzeniu Służebniczek.

Jak przy rozeznawaniu drogi mojego powołania, tak w całym moim dotychczasowym życiu doświadczam tej prawdy, że Bóg ma na moje życie swój własny pomysł, który pozwala i pomaga mi stopniowo odkrywać, objawiając równocześnie swoją miłość. Być służebniczką Maryi to dla mnie niezwykła droga, której sama dla siebie bym nie wymyśliła. Bóg przeprowadza mnie przez wydarzenia i posługi, których bym nie wybrała. W swoim życiu przeżywam drogę, przez którą prowadzi mnie maryjne „FIAT” wpisane w moje zakonne śluby. Praca katechetki, studia pedagogiczne, posługa formatorki, a później przełożonej wspólnoty – żadna z tych posług nie była nigdy moim pragnieniem. Zawsze pragnęłam pracować z małymi dziećmi i pomimo tego, że jedynie przez bardzo krótki czas było mi to dane, to brak ulubionego zajęcia nie był dla mnie powodem frustracji czy niezadowolenia. Służebniczka bowiem, według myśli naszego Założyciela bł. Edmunda Bojanowskiego, na wszelki możliwy sposób służy najbardziej potrzebującym dzieciom. Na ile potrafię chcę i staram się żyć tym duchem w każdej powierzzonej mi posłudze i czuję się szczęśliwą, spełnioną Służebniczką.

Składając śluby zakonne wybrałam Jezusa na swojego Obłubieńca i On jest źródłem mojego szczęścia. Jemu oddałam życie, ufam Mu i każdego dnia staram się, jak potrafię, oddawać mu siebie i wszystko co mnie stanowi. Wierzę, że droga, którą idę jest drogą, którą On dla mnie wybrał. Doświadczam, że jest to droga do mojego szczęścia z Nim.

Jeżeli ktoś zapyta mnie czy spełniły się moje marzenia z którymi wchodziłam w życie zakonne – odpowiem „nie”, ale jestem szczęśliwa. Jeżeli ktoś postawi mi pytanie czy życie zakonne jest trudem – odpowiem „tak”, ale chyba nie większym, tylko nieco innym niż trud życia rodzinnego – ale pomimo trudu jestem szczęśliwa; Na pytanie, czy w życiu zakonnym się nie rozczarowałam – odpowiem, że ludźmi tak, Jezusem nie i dlatego jestem szczęśliwa.

Patrząc na swoje powołanie z perspektywy 34 lat zakonnego życia w Zgromadzeniu Sióstr Służebniczek wiem, że powołanie to tajemnica miłości Boga do człowieka i do świata. To On zaprasza do życia konsekrowanego i wybiera Zgromadzenie, On

wskazuje drogę i prowadzi, On daje światło i moc, by pokonać pojawiające się trudności i przeszkody, które mogą zniweczyć Jego plan wobec naszego życia, Boży plan, który jest drogą do szczęścia, zarówno doczesnego, jak i wiecznego. Tego doświadczyłam i doświadczam w codzienności.

Z perspektywy czasu widzę, jak często, rozeznając i realizując drogę powołania zatrzymywałam się na sobie, a przecież to Bóg jest Inicjatorem każdego życiowego powołania. To On pozwolił mi usłyszeć Jego Słowo zapraszające do pozostawienia swoich planów na życie. Wiem, że wybrał mnie bez żadnych zasług i chce bym Jego miłość niosła ludziom. On mnie zaprosił, ale również oświecił i uzdolnił do tego, bym powoli wypuszczała moje życie ze swoich rąk i powierzała się Jego zbawczym zamysłom. On mnie konsekrował, bym żyła Jego życiem czystym, ubogim i posłusznym, bym jak Maryja stała się Jego Służebnicą. Znam swoją słabość i grzeszność i wiem, że On ją zna. Wiem, że moja słabość nie przeszkadza Bogu, a dla mnie jest wyzwaniem, by uczyć się kochać Jego miłością, by żyć logiką Krzyża i ciągle zgłębiać Boże Słowo, które kształtuje we mnie ewangeliczną mentalność. Boże zamysły często wydają mi się szalone i przerastające moje możliwości, ale chcę je przeżywać z Maryją i jak Ona, i wiem, że stają się moją drogą do szczęścia, którego doświadczam również wtedy, gdy pełnię posługi i zadania, które mnie przerastają oraz te, których po prostu nie lubię.

Dziś żyję w zakonnej wspólnotcie i doświadczam tego, że jestem szczęśliwa tym bardziej, im bardziej dzielę się z innymi moim życiem, które do Boga należy, bo gdy w duchu miłości i służby oddaję bliźnim mój czas i możliwości, Bóg daje mi siebie. Wierzę też, że gdy staram się służyć Bogu w bliźnich, On przeze mnie daje im siebie, dotyka ich swoją zbawczą miłością. Wierzę w to, chociaż nie zawsze dostrzegam owoce.

Oto moja recepta na szczęście, którą odnalazłam w życiu zakonnym i próbuję realizować każdego dnia od nowa:

- Być w kontakcie z Bogiem, by doświadczać Jego miłującej obecności
- Słuchać Bożego Słowa jak Maryja
- Ufać bardziej Bogu niż sobie

- Trudności przeżywać jako tajemnice, przez które Bóg nas prowadzi ku sobie
- Dostrzegać dobro w każdym człowieku, którego Bóg stawia obok nas
- Oddawać siebie, bo „więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu”
- Plan na swoje życie oddać Bogu i ufać, że On prowadzi nas najlepszą drogą i nigdy nie zostawia samych.

Radostawa Podgórska FSK

Warszawa

Każdy dzień – nowym zadziwieniem i dziękczynieniem

W bieżącym roku mija 35 lat od rozpoczęcia mojego życia we wspólnocie Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża. Zaproszenie do napisania świadectwa stało się dla mnie ważnym wyzwaniem. Odpowiedź rodziła się bardzo długo. Jak napisać o najistotniejszych chwilach młodości, ważnych chwilach rozmów i wyborów, które stały się początkiem nowego życia? Najbardziej bliskie jest głębokie dziękczynienie i uwielbienie Boga, za Jego dobroć i fantazję, za Jego spojrzenie w kierunku bogatego młodzieńca.

Nie mogę napisać, że powołanie do życia zakonnego towarzyszyło mi od dzieciństwa. Późno pojawiła się myśl o takiej formie życia, ponieważ moi rodzice wprowadzili mnie raczej w religijność tradycyjną. Pierwszych modlitw nauczyła mnie Babunia i ona była dla mnie świadkiem umiłowania Pana Boga. Słyszałam jak krzątając się przy kuchni śpiewała Godzinki lub w wolnej chwili odmawiała różaniec. W dni powszednie bardzo często chodziła na Mszę św. wieczorną i z czasem zaczęłam coraz częściej dołączać do Babuni. Choć nie modliliśmy się wspólnie w domu, wiedziałam, że każdy z nas ma swoją chwilę przed Panem Bogiem.

Pierwszy raz o powołaniu do życia zakonnego usłyszałam od mojego księdza katechety gdy byłam w siódmej klasie. Były to słowa wypowiedziane raczej w formie delikatnego wyrzutu. Podczas lekcji o wyborze drogi życia byłam pewna, że tak jak moi rodzice zostanę ogrodnikiem. Bardzo pragnęłam w przyszłości ozdabiać kwiatami ołtarz w kościele parafialnym. Do dziś pamiętam moje zaskoczenie: ściągnięte brwi księdza i jego słowa: *Szefuńciu – byłam wtedy gospodarzem klasy – a ja myślałam, że ty pójdziesz do zakonu!* Moja odpowiedź była bardzo spontaniczna: *Nie!* Byłam głęboko zadziwiona taką postawą Księdza, ponieważ myślałam sobie wtedy, że żeby iść do zgromadzenia trzeba być o wiele bardziej pobożnym i dobrym niż ja.

Po tym epizodzie odłożyłam myśl na około pięć lat. Wiernie uczestniczyłam w katechizacji, należałam do służby liturgicznej dziewcząt i śpiewałam w chórze młodzieżowym. Mieliśmy szczęście do dobrych duszpasterzy. Księża dawali świadectwo życiem, z wielkim skupieniem celebrowali Eucharystię, oprócz cotygodniowych prób śpiewu zapraszali na spotkania z Pismem Świętym. Także podczas wyjazdów wakacyjnych lub podczas pielgrzymki na Jasną Górę, Pismo Święte było w plecaku każdego uczestnika i oczywiście było czytane. Powoli uczyłam się słuchać Boga w Jego Słowie i uczyłam się modlitwy.

W połowie szkoły średniej – do matury miałam „kolegę od serca” i bardzo konkretnie myśleliśmy o powołaniu do małżeństwa. Dużo rozmawialiśmy o przyszłości, ponieważ mieliśmy różne zdania w niektórych ważnych kwestiach, dotyczących także czystości przedmałżeńskiej. Zaczęłam więc stawiać pytanie: a może nie tak i jeszcze nie teraz? Po wewnętrznej walce nastąpiło trudne młodzieńcze rozstanie.

Moja rogata młodzieńcza dusza była coraz bardziej dziwnie niespokojna, stawiała dużo pytań, wystawiając na próbę cierpliwość także młodych duszpasterzy, którzy tłumaczyli i dyskretnie czuwali. Stopniowo zaczęły powracać słowa księdza katechety sprzed około pięciu lat. Chyba na krótko przed maturą, po raz pierwszy moja modlitwa stawała się naprawdę modlitwą sługi chcącego usłyszeć głos Pana Boga. Byłam jednak jak *bogaty młodzieniec* i trochę jak *łękliwy Jeremiasz*. O moim wahaniu się wiedział tylko mój spowiednik, któremu jestem ogromnie wdzięczna za towarzyszenie. W międzyczasie dwóch kolegów z grupy parafialnej podjęło decyzję wstąpienia do różnych seminariów. Jeden z nich, na obrazku napisał mi tekst modlitwy Michaela Quista: *boję się powiedzieć „tak”, dokąd mnie zaprowadzisz? Boję się złożyć podpis na dole białej kartki...* Nie pamiętam dokładnie tekstu, a obrazek gdzieś zaginął...

Stopniowo i bardzo powoli zaczęłam rozumieć, że chyba spodobało się Panu Bogu powołać tę rogatą duszę. Opór i argumentacje na „nie” były czasem wręcz dramatyczne z mojej strony, łącznie z ucieczką w podjęcie studiów zaocznych na SGGW. Jednak słowa Pisma Świętego w tym czasie i modlitwa Psalmów wpro-

wadzała delikatnie w relację z Mistrzem, któremu coraz trudniej było się opierać. Szukałam dramatycznie wsparcia w tych tygodniach i miesiącach. Byłam bardzo wdzięczna, że jednemu z moich kolegów, obecnemu ks. Zenonowi SAC, który wówczas był w nowicjacie, nie zabroniono kontynuowania korespondencji ze mną. Dzieliłam się wtedy moimi „sporami” z Jezusem oraz trudem decyzji z tego powodu. Z rozmów z rodzicami o powołaniu moich kolegów wiedziałam, że choć szanują ich wybory, to są one rozumiane w kontekście: „nas nie dotyczy”. Nie wiedzieli wtedy, że nadchodzi czas, kiedy ich ukochana córka, która nigdy nie miała przed nimi tajemnic i była im zawsze posłuszna, doprowadzi do bolesnej konfrontacji różniących się decyzji i postaw.

Decyzję o pójściu za Jezusem podjęłam nie wiedząc dokąd iść. Nie znałam bliżej żadnego zgromadzenia, choć w Warszawie łatwo było spotkać siostry na ulicach. Czytałam parę niewielkich książek o założycielkach różnych zgromadzeń, ale jakoś nie stały się inspiracją. Głęboko w sercu miałam pragnienie służby osobom niepełnosprawnym. Kiedyś, podczas wagarów na Starejwówie, weszłam do kościoła św. Marcina, którym opiekują się franciszkanki Służebnice Krzyża z Lasek. Małe promyki światła nie dawały mi smugi światła w niepewnym poszukiwaniu. Moim „zawieszeniem” w wyborze podzieliłam się z drugim kolegą klerikiem, obecnie ks. Dariuszem. Na słowa, że chcę służyć Panu Bogu, tylko nie wiem gdzie, on odpowiedział prosto z mostu (taki jest do dzisiaj) *ty głupia, powiedz, że idziesz do Lasek*. Zatkło mnie wtedy, bo faktycznie, kiedyś czytałam o Laskach, zachodziłam do kościoła św. Marcina i uzmysłowiłam sobie, że wtedy chyba serce inaczej biło... Odpowiedziałam mu tylko: *masz rację* i poczułam, że to krótkie stwierdzenie jakby otworzyło zamknięte ciężkie wrota.

Bardzo przeżywałam, jak powiedzieć rodzicom. Bałam się bardzo. W tej intencji pielgrzymowałam z grupą parafialną i naszym duszpasterzem, ks. Kazimierzem, na czuwanie nocne na Jasną Górę pod koniec kwietnia 1983. Prosiłam Matkę Bożą o potwierdzenie powołania i o siłę wierności. Napięcie tej nocy modlitwy było tak duże, że przyplącałam je bardzo złym samopoczuciem następnego ranka. Odczytałam ten fakt jako pełne mi-

łości „powalenie opornika”. Dopiero wtedy podjęłam konkretne kroki. W drodze powrotnej z czuwania, w pociągu, poprosiłam moją koleżankę Anię o pomoc w nawiązaniu kontaktu z siostrami z Lasek. Wiedziałam, że koresponduje z jedną z sióstr. Pamiętam do dziś jej zdziwione oczy, bo jak powiedziała: *wszystkiego mogła spodziewać się po mnie, ale nie tego*. Ania – s. Aurora jest teraz siostrą Misjonarką Miłości.

Po tygodniu czy dwóch, w maju, nie mówiąc rodzicom o dokładnym celu naszego wyjazdu do Warszawy, pojechałyśmy na spotkanie z siostrą franciszkanką Służebnicą Krzyża. Natomiast tydzień później, już bez Ani, pojechałam z s. Terezją do Lasek moim fiatem 126p. Podczas jazdy siostra trzymała się dyskretnie fotela i odmawiałyśmy różaniec. Po pewnym czasie wyznała, że bała się jechać z tak młodym kierowcą, a poza tym myślała: *co to za kandydatka z samochodem?* Coś w rodzaju bogatego młodzieńca...

Pierwsze spotkania z siostrami w Laskach pozwoliły mi poczuć, że to tutaj czeka na mnie Pan Jezus. Nie było uniesień ani fajerwerków, ale pokój pomimo narastającego drżenia: *Jak powiem rodzicom?* Nie było już czasu do stracenia, a ja nadal nie wiedziałam jak.

Najłatwiej było mi powiedzieć mojemu bratu, że idę do Zgromadzenia. Choć miał wtedy tylko 11 lat, przyjął moją wiadomość bardzo poważnie. Poprosiłam go, żeby nie mówił rodzicom i do dziś wspominamy, jak wiernie dotrzymał obietnicy. Chciałam znaleźć odpowiedni moment, by powiedzieć rodzicom, ale ciągle nie wychodziło. Bardzo dużo modliłam się wieczorami w pokoju i trudno było zasnąć. Pewnego czerwcowego ranka ktoś (do dziś nie wiem kto) uczynił to za mnie, dzwoniąc z zapytaniem, czy to prawda, że idę do zakonu. Rodzice zapytali mnie i wszystko stało się jasne, choć bardzo trudne dla obu stron. Rodzice płakali i tłumaczyli swój sposób widzenia, a Babunia, choć w głębi serca wspierała mnie, na zewnątrz „trzymała” ich stronę. Wspólnie, jakby po dwóch stronach barykady przeżyliśmy niesamowicie trudne tygodnie. Zaczęłam łamać się, że może odłożyć wstąpienie na rok. Może uda nam się dojść do kompromisu.

Następna rozmowa z siostrą odpowiedzialną za postulat odbyła się dwa tygodnie później. Gdy łamałam się wobec trudności

w domu, siostra powiedziała: *Daję ci dwa miesiące czasu. Jeżeli nic nie zrobisz w tym czasie, to nie licz, że uda ci się w ciągu roku.* Siostra opowiedziała też kilka trudnych przykładów z historii powołania innych sióstr. To była wielka pomoc.

Moją ostatnią (szóstą) pieszą pielgrzymkę Warszawską na Jasną Górę ofiarowałam za rodziców, by nie cierpieli i zrozumieli, że to nie ja wybieram lecz jestem tylko jedną z wybranych. Rozstanie z rodzicami we wrześniu 1983 było smutne i trudne.

Gdy byłam w postulacie lody już trochę topniały. Pomogły odwiedziny. Rodzice zobaczyli, choć jakoś nie dowierzali, że jestem naprawdę szczęśliwa razem z moimi sześcioma siostrami z rocznika. Bardzo pomógł również wspólny nowicjacki wyjazd do rodziców w październiku 1984 r. i późniejsze spotkanie rodziców nowicjuszek po Nowym Roku 1985. Pamiętam, jak rodzice najpierw przy wspólnym stole, a potem we wzajemnych spotkaniach, ponarzekali z powodu wyboru ich córek, a potem poczuli się jakoś razem i odczuli pokój, którego świat nie daje. Panu Bogu nie przestaję dziękować, że dał rodzicom zrozumienie i dar zgody na Jego wolę, choć, jak sami wspominają, nic nie pamiętają z pierwszych ślubów, bo bardzo płakali.

Każdy rok przynosi nowe doświadczenia związane z tajemnicą, którą wybrałam: od Zwiastowania Pańskiego. Wobec różnych zadań, które były mi powierzone i których często lękałam się, stawałam pomiędzy pytaniem „jakże się to stanie?” i odpowiedzią „oto ja, służebnica Pańska”. Między pytaniem a odpowiedzią pozostawał czas słuchania i zaufania Panu Bogu, pomimo tego, że na zewnątrz nie brakowało mi „wrodzonej pewności siebie”.

Pan Bóg miał odwagę złożyć i składa nieustannie ten skarb w kruchym naczyniu. On podtrzymuje każdy mój dzień życia w konsekracji, On prowadzi drogą szczęścia: w radości i doświadczeniu krzyża – do Zmartwychwstania. On jest Drogą, Prawdą i Życiem. On jest Źródłem i Pokarmem dla każdej wspólnoty Kościoła, wiary, nadziei i miłości Boga i bliźniego.

Wielbi dusza moja Pana...

Marian Zawada OCD

Kraków

Boska metafora: życie złożone w ognistym Sercu Miłości Niestrudzonej

Długo szukałem właściwego mianownika dla powołania, w końcu zdecydowałem: historia mojego powołania jest metaforyczna. Ale nie chodzi o językowy środek stylistyczny, tworzenie związków frazeologicznych. Mam na myśli boską metaforę, gdy człowiek staje się słowem (logos, sens), wyrażeniem czy obrazem Boga, co dzięki często oryginalnemu odniesieniu kojarzone jest z inną sferą, dzięki czemu zyskuje nowe znaczenie. Dlatego boską, ponieważ okoliczności życia tworzą kształt, zrąb spraw, ale to Bóg wlewa w nie swój sens.

Powołany jest nie tylko dla Chrystusa, ale i przez Chrystusa. W jego początkach kryje się w jakiejś formie „dotyk” Boga. Ten dotyk jest jak wskazanie palcem. Każde ma swą historię, swe miejsce, jakieś „imię”. Jest to imię przynależności do Niego, a w końcu – staje się imieniem gościnności.

Powołanie można porównać do życia na fali, raz widoczne, z horyzontem spraw, pewnie rozchylasz żagiel i niesie cię jak żeglarzy „for the wind”, czyli wieje w plecy, od rufy. Innym razem – ładujesz w głębinach, rośnie ciśnienie – i niewiele widzisz. Jak wypływasz, chwytasz powietrze pod skłębionym niebem. Życie miota i rzuca, a ty bracie jakby bez steru w garści. Na szczęście do Pana należą szlaki na wodach życia.

Zapewne wielki wpływ na moje powołanie miała moja mama, pobożna i przykładna, z dobrej podkarpackiej szkoły pobożności sprawdzonej w pracowitym życiu. Podejrzewam też, że równie znaczący wpływ miała „babcia Anielcia”, samotna dusza, która potrafiła codziennie dreptać do kościoła prawie trzy kilometry, nie licząc omijania zimowych zasp. Być może po części, był to swego rodzaju „rodziny przydział”, bo jak byłem klerykiem, to brat mamy mi się przyznał, że myślał o michaelitach, ale „poległ” w sprawach z ojcowizną.

Pierwszy zwiastun powołaniowy był nieco później niż w niemowlęctwie przy ssaniu piersi. Byłem w trzeciej klasie, kiedy pani wychowawczyni zapytała, kim kto chciałby być. Wtedy wszyscy chcieli być astronautami (jak Gagarin), albo milicjantami. A ja, wypaliłem jak z rury, wbrew wszelkim spodziewanym socjalistycznym aspiracjom (o zgrozo!), że chyba będę księdzem. I skończyła się moja klasowa idylla – z dnia na dzień przestałem dostawać piątki i pochwały. Tu mnie szarpnął pazur proletariackiej „sprawiedliwości”.

Jednakże dorastaniem zawładnęły prawa podwórka, czy też blokowych „placów” z nowego osiedla w Katowicach-Ligocie.

W czasie nastoletnim i „małodorosłym” można by rzec wrastałem na dwóch poziomach. Osobiście, w skrywanych zainteresowaniach i intuicjach, zapamiętałem jedno – bardzo lubiłem samotne spacerować. Wielu moich rówieśników uganiało się za wrażeniami młodości, a ja raczej chadzałem drogami medytacji, ciszy, ukrycia. Ale było w tym dużo niepewności, bo wołałem raczej oddawać innym, którzy chcieli wszystko zmieniać i układać świat po swojemu.

Drugi poziom to wartkie życie zewnętrzne, zwłaszcza w czasach studiów (Akademia Ekonomiczna w Katowicach). Pamiętam to „wielkie zmęczenie” zaraz na ich początku, po zachłyśnięciu się bohemą studencką. W tym czasie schodziłem góry od Śnieżki po Bieszczady, żeglowałem na Mazurach, drapałem się po skałkach, robiąc też wiele głupich rzeczy.

Pod koniec studiów ta wewnętrzna strona zaczęła przeważać. Wiele na pewno ofiarowała mi FODA (Franciszkański Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego) w Katowicach – Panewnikach. Symbolem tego przechodzenia na jasną stronę powołania może być podjęcie studiów na ledwo co otwartym studium teologicznym w Katowicach. Ale powołanie jeszcze nie miało konkretnego imienia, było raczej przecuciem, które praktycznie funkcjonowało jako niedopasowanie do czasu. Znajomi zakładali rodziny, wyjeżdżali z kraju, coś z sobą „robili”, ja natomiast zostałem „z tyłu” w jakimś poślizgu. Zacząłem pracę w tzw. OBR, czyli ośrodku badawczo-rozwojowym. Od początku miałem wrażenie, że to był taki komunistyczny pomysł na bezużyteczną pracę.

Powołanie dojrzało w dość dziwnym miejscu: na poligonach w okolicach Kołobrzegu, gdzie chronilem chwalebnie Ojczyznę przed drapieżnym „imperializmem Zachodu” w ramach służby wojskowej. Poczulem pierwsze wyraźne pociągnięcie boskiego pędzla. Wziąłem parę książek, a na tapecie miałem i Junga, i yogasutry, i mistykę karmelitańską, bo objadałem się wszystkim, co miało posmak duchowości. W wojsku służyłem w sztabie, w zaopatrzeniu – tzn. w wojskach kwatermistrzowskich. Potem zrozumiałem, że to też nie był przypadek, bo w tej formacji się nie strzela, ale działa na zapleczu frontu. Takie miejsce miałem zająć w Kościele. Nie na pierwszej linii apologetów, apostołów nowych areopagów, ale gdzieś w głębi, na zapleczu, wspierając pierwszą linię modlitwą i ukrytym życiem.

Kiedyś przyszedł oficer i wplątał się ze mną w gawędę, co czytam, no i zrobiłem mu krótki wykład o duchowych sprawach. Posłuchał, pokręcił głową i zadał niewinne pytanie: czy ja w to wszystko wierzę? i sobie poszedł. A ja z tym pytaniem zostałem. Wierzyłem, ale uświadomiłem sobie, że za wiarą trzeba pójść.

Szczęśliwie pomogła mi pielgrzymka Jana Pawła II w czerwcu 1983 roku. Siedząc w koszarach w Kołobrzegu, nasłuchiwałem całe noce „Głosu Ameryki”, kazań papieża i sprawozdań z pielgrzymki, za co groziły w wojsku surowe sankcje. Ale atmosfera, a właściwie euforia tego czasu zrobiły swoje. Przestał się bać...

Tak się złożyło, że święcenia otrzymałem w roku 1989, który okazał się rokiem przełomów. Upadło i rozsypało się na naszych oczach coś, co wydawało się nie do zwyciężenia. Potem się dowiedziałem, że Maryja potrzebowała pięć lat, żeby to zdemontować, gdy JP II ofiarował Jej Sercu w 1984 cały świat. Dyskretny demontaż zła to znakomita strategia.

Pod koniec służby już byłem pewny, że trzeba „wstąpić”. Po lekturach Edyty Stein, Jana od Krzyża i Teresy z Lisieux byłem intuicyjnie nakierowany na Karmel. Ale jak to zrobić? Na szczęście Pan już to przygotował. Znajoma z FODY wstąpiła do Karmelu w Elblągu, więc nie bez kozery zjawiłem się tam na rekolekcjach. Razem z o. Bronisławem Mokrzyckim SJ, który wtedy posługiwał wspólnocie, rozeznałem Karmel jako moją przyszłą drogę.

„Tylko się spiesz” – usłyszałem na pożegnanie. Więc zastosowałem tryb przyspieszony.

Na przeszkodzie stały jednak przepisy stanu wojennego (był to rok 1983), które przedłużały formalności ze zwolnieniem z pracy do dziewięciu miesięcy. Ja chciałem tego dokonać w miesiąc. Nie zamierzałem też, ze „względów bezpieczeństwa”, wprowadzać mojego zespołu w pracy w szczegóły. Poszedłem do szefa i tłumaczę w trzech punktach: „Szefie, zmieniam stan, wyprowadzam się na wieś i bardzo mi się spieszy”. Zostało to zrozumiane w sposób zupełnie naturalny (jak to w wojsku) i szef okazał „męską” solidarność, wydzwanając i pisząc prośby, gdzie trzeba. A wtedy wszystko chyba szło przez ministerstwa, bo „ruch” obywateli był „zamrożony”.

Nie byłem tego świadom, że podczas wspomnianej pielgrzymki papież beatyfikował o. Rafała Kalinowskiego, bohatera narodowego powstania styczniowego, a później „bosaka”. Należałem do tej fali, która narosła do 23 nowicjuszy, co było niezłym kłopotem dla Zakonu, bo mieli tylko 12 cel, a entuzjastom dawnych pustelników z Karmelu chciano zagwarantować pojedyncze cele.

Na Chrystusa Króla 1983 roku otworzyły się przed mną bramy Czernej, karmelitańskiego nowicjatu. Pierwsze wrażenie, że człowiek nie jest „na miarę”. Wiele rzeczy przytłaczało: powaga murów, świętych tradycji, atmosfera. Za klauzurę wpada się jak na głęboką wodę. I po pierwszym zachłyśnięciu chodzi się po niej cicho, „na paluszkach”, żeby nie naruszać świętości.

Taka była moja wewnętrzna oczywistość. Nie zmieniać, nie naruszać, nie przestawiać, nie „majsterkować”, ale wejść z powagą i uszanować. Może też było w tym trochę młodego lęku. Rozumienie przyszło później. Miałem jakieś dziwne przeświadczenie, że wszystko jest takie, jak ma być, tylko trzeba to odkryć. Później wyczytałem zdanie tłumaczące wiele: gdy człowiek coś poznaje i nie ma potrzeby tego zmieniać, znaczy, że obcuje z pięknem. A je trzeba chronić. To wewnętrzny „logos” spraw i rzeczy. Splatały się sprawy życiowe z łaską.

Jestem synem górnika. Mój ojciec pracował na „Wujku”. Był na tej zmianie, gdy 16 grudnia 1981 masakrowano górników. Stanowiło to później część domowego etosu. Ale i później,

w Karmelu, gdy z upodobaniem nurkowałem w głębinach Ducha, stwierdziłem, że duchowość ma męski, twardy charakter „duchowego górnictwa”. I taka jest potrzebna Kościołowi. W kopalni, na przodku, „śleper” czyli kopalniany nowicjusz, zanim zostanie doświadczone „bergmonem” i zanim wydobędzie na powierzchnię cenny kruszec – węgiel, który daje ludziom światło i ciepło, musi się przyzwyczaić do schodzenia w ciemności, gdzie rośnie temperatura i trzeba dostarczać tlenu, by żyć. Warunki nie są przyjazne dla natury. By pozyskać kopalinę, trzeba się dobrze napocić. W posłudze duchowości jest podobnie. Nie ma tam miejsca dla lekkoduchów, a warunki dyktuje Bóg i trzeba mieć twarde usposobienie. Takiej duchowości, jak św. Jana od Krzyża, potrzebuje Kościół dzisiaj, zwłaszcza, gdy rozmywa się granica pomiędzy religią a terapią, czy estetyką. Przez lata uprawiałem ten „zawód”, czerpiąc z głębin Kościoła, by ludziom dać klarowną nadzieję, jasność i ciepłem sycić serca.

Przekształciło się to w notoryczne życie pisarskie, nie naukowe, ale intelektualne. W tym również pewien naturalny scenariusz zrealizował się w formie duchowej. Debiutowałem w 1988 roku w „Tygodniku powszechnym” z tekstem na 10-lecie pontyfikatu Jana Pawła II o jego „dystygowanej” samotności. Pióro okazało apostołstwem „szerszego” zasięgu niż praca z grupami ludzi.

W moim powołaniu jest jeszcze inny wątek. Z wykształcenia byłem ekonomistą, oczywiście trzeba z ironią dodać – mieliśmy do czynienia głównie z ekonomią polityczną w tamtych „marnych” czasach komuny. Potem odkryłem Bożą ekonomię, jako coś absolutnie bardziej „opłacalnego”, gdyż dobra niebieskie nie podlegają kryzysom czy dewaluacji. Z sympatią kiedyś odkryłem, że rodząc się 21 września, byłem pod szczególną kuratelą św. Mateusza. Ponieważ był on celnikiem, znał się jak nikt na pieniądzach i zasadach tezauryzacji. Pewnie miał już tego dość, ale nie wiedział jak się wyrwać ze swej komory celnej, która wyścielona była pieniądzem. Ale na szczęście niedaleko przechodził Pan. Podobnie było u mnie. Obecnie przygotowuję kolejny zbiór przemyśleń, pod sugestywnym tytułem „duchowość ekonomiczna”: nowe spojrzenie na format ludzkiego istnienia (podmiot gospodarczy), pojęcie pracy (przede wszystkim duchowej),

kapitału (czytaj: zasobów duchowych) i ewangelicznych zasad mnożenia i rachunku zysków i strat. Ale długo musiałem się wyzbywać ekonomicznej maniery – interesowności, przetargów, czy brokerstwa – kupczenia i zajmowania się czymś, co do mnie nie należało. To historia niemych i zdziczałych głodów, które człowiek obiera za „duchowe doładowania” i marnuje się nadal. U św. Mateusza widziałem podobną drogę: z jednej ekonomii do drugiej, a zwieńczeniem dróg było spisanie Ewangelii. Szukałem wielu języków głoszenia Dobrej nowiny: estetycznego, wojskowego, ekonomicznego czy języka wielkich metafor.

Wstępując do Zakonu nosiłem w sercu przecucia, które później dojrzywały i nabierały wyrazu. Zawsze mnie dziwiło nastawienie na doświadczenie, przeładowanie nim. Jeśli człowiek rozpycha swe doświadczenie przeżyciami, to gromadzi głównie siebie, swe odczucia i Bóg nie może w nim swobodnie zamieszkać. Moje życie duchowe po lekturze św. Jana od Krzyża, polegało w większości na wyrzucaniu mebli z serca, które z taką dumą człowiek gromadził. Zagracone serce to nie bogactwo doświadczenia, ale przede wszystkim brak przestrzeni dla Boga. A takie doświadczenie to w istocie unikanie prawdziwego Boga, który przecież nie mieszka w zasłonach naszych uczuć, przecuć czy pragnień. To tylko duchowe przedszkolne malowanki. Remont polegał na zdrapaniu tego wszystkiego.

Na początku mego życia duchowego, a na pewno powołania, spotkałem Maryję i jej powiernicę – św. Teresę od Dzieciątka Jezus. Potrzebne mi były te „lekcje z edukacji słabości”. Każdy jest mniej lub bardziej pokiereszowany duchowo. Czy to z powodu grzechów młodości, uporczywej głupoty czy ślepoty duchowej. Słabość poza tym wstydliwie się ukrywa, nawet przed Bogiem, a zwłaszcza przed sobą. Jesteśmy mistrzami kamuflażu. Udrapowana duchowość to nie tylko faryzeizm, to nade wszystko kreacja. Później określiłem to jako „homo decēptus” (człowiek oszukany, wyrażenie bodajże Owidiusza). Według mnie to ktoś, kto gdzieś w głębi ma potrzebę oszukiwania, życia nieautentycznego, koczującego na krawędzi spraw, dlatego, że sam został kiedyś oszukany na początku historii przez Przebiegłego.

W Karmelu rozumiałem, dzięki Teresie z Lisieux, że Bóg kocha nas zasadniczo ze względu na słabość, gdy przychodzi my bezradni, przegrani, bezbronni. Gdy już nie mamy rozwiązań i wyjść. Wtedy może wszystko się zacząć. Dlatego uważam, że trzeba zmienić sposób myślenia. To nie my dojrzewamy do powołania, by podjąć pewne kroki czy decyzje. To nasz wewnętrzny logos, zamiar Boży wpisany w nasze istnienie, historię.

Wreszcie sprawa podstawowa, najważniejsza, decydująca. Moje imię, Marian – mój los, maryjny kształt. Obecność Maryi tak dyskretna, tak ukryta, tak niezauważalna i tak oczywista. Sięgając do własnych notatek nowicjackich, czytam: „konsultuj wszystko z Maryją, bo i tak nie przeforsujesz innego scenariusza”. Tak, to ta droga. Wije się wzdłuż długiego wianuszka nazwisk: Ludwik de Montfort, Maria Petyt, Michał Ballaert, Gabriel Jacquier. Nigdy nie zamierzałem przechytrzyć Maryi, ale dużo było szorstkiej, gniewnej, słowem nie zawsze czulej obecności. Ale wtedy, na początku, była Panią moich najlepszych pragnień. Wstępując do Karmelu wybrałem predykat: od Niepokalanego Serca Maryi. Znów sięgam do własnej modlitwy z początku nowicjatu: „Naucz mnie drogi synostwa ku Miłości Niestrudzonej, bym ucztował z Tobą, o Pani, przy stole Wiecznego Przemienienia. (...) Pani Hetmanko moja, prowadź przeciw temu, który zuchwale i bezlitośnie niszczy dzieła Twego Syna; prowadź przeciw temu, który ogłosił się królem i władcą podniosłym. (...) Broń mnie Pani przed chmurami i mgłą zagubienia, by dla mej wiary paliło się zawsze słońce Twego Serca”. Dziś jest inaczej. Odkrywam tajemnicę dyskretniej obecności już nie Pani, nie Matki, ale Siostry...

Dolores Dorota Zok SSpS

Racibórz

Dar powołania

Moja droga do zakonu była zupełnie naturalna. Urodziłam się w tradycyjnej rodzinie katolickiej. W każdym pokoju był święty obraz, codzienna wspólna modlitwa wieczorna była niemal obowiązkiem, tak samo, oczywiście, Msza święta niedzielna. Wszystko wydawało się proste: wiara, świat, więc pytań nie zadawaliśmy. Rodzice ciężko pracowali, by utrzymać i wykształcić pięcioro dzieci. Kiedy mój najstarszy brat wstąpił do seminarium misyjnego, po raz pierwszy zetknęłam się z życiem zakonnym. Lubiłam zabawy, taniec i życie. Ale świat prostej wiary, pielgrzymki do Częstochowy i rekolekcje pozwoliły mi odkryć swoje miejsce. Pamiętam, że jakoś wakacje szybko mijały i tak bez żadnego dalszego wyjazdu. Brat zaproponował mi ciekawy wyjazd do Raciborza na rekolekcje. Nudziłam się trochę w domu, dlatego decyzja była bardzo szybka. Sam wyjazd poza moje miasto rodzinne wydawał mi się wielką przygodą. Nie miałam wtedy żadnego celu, tylko po to, by trochę pobyc z Bogiem, tak sam na sam... Czułam taką potrzebę. Po powrocie dalej kontynuowałam moje towarzyskie życie. Miałam wielu przyjaciół, znajomych, rodzinę. Sobota to był nasz dzień spotkań towarzyskich i wspólnych wypadów. Ale cichy głos wewnętrznych słów Jezusa, skierowanych właśnie do mnie w Raciborzu, w naszym klasztorze, jakby mnie prześladował... Te dziwne wakacje w klasztorze, zmieniły kompletnie moje życie i moje myślenie. Nigdy przed tym nie myślałam o klasztorze. Wydawało mi się to dziwactwem. Później jednak stało się realną myślą. Nie mogłam się uwolnić od moich nowych pragnień, które pozostały już we mnie. Gdziekolwiek i z kimkolwiek byłam, czułam ten niesamowity głos. Dlatego po prostu zaryzykowałam i postanowiłam spróbować iść za moim wewnętrznym przekonaniem. Pomyślałam wtedy sobie, że jeśli zostanę dwa tygodnie w klasztorze, to już zostanę na zawsze. Początki są zawsze najtrudniejsze. Dziś jestem już wiekową zakonnicą. Decyzja samego wstąpienia do klasztoru, była

naprawdę najtrudniejszą decyzją mego życia... Fakt pożegnania rodziny i przyjaciół był bardzo smutny. Ale dziś wierzę, że to miało sens, bo w Bogu jestem z nimi cały czas i nasze spotkania są bardzo piękne. Życie potem jakoś wynagradza, bo powołanie to dar i zadanie, które mój PAN pokazuje mi każdego dnia przez swoje SŁOWO...

Chciałam, jak mój najstarszy brat, szukać Boga i Nim żyć. Wstępując do zgromadzenia misyjnego, myślałam, że cały świat jest katolicki, że dla wszystkich Papież jest świętością, a każdy ksiądz wielkim autorytetem. Tak byłam wychowywana i w to wierzyłam.

Zaraz po pierwszych ślubach zakonnych wyjechałam do Niemiec Zachodnich, do szkoły pielęgniarskiej, bo bardzo chciałam służyć biednym i chorym w Afryce. Choć większość sióstr w domu była w podeszłym wieku, wymagała opieki, nam, młodym przybywającym z Polski, okazywały dużo serca i dobroci. To chyba w Niemczech pierwszy raz w życiu zobaczyłam, że świat nie jest taki całkiem katolicki, że ludzie krytykują Papieża i wielu z nich nie ma szacunku dla księży. Był to przełomowy i błogosławiony czas w moim życiu. Właściwie w samotności musiałam dojrzywać we własnych wyborach i uczyć się wierności temu, co było zawsze ważne w moim sercu, a mianowicie miłość do Chrystusa i dobro. Codzienna modlitwa i trwanie przy Nim były moją siłą w drodze. Przede wszystkim chciałam widzieć pozytywne strony tego świata, którego jeszcze wtedy nie rozumiałam. Wielkiego świata ludzi bogatych, różnych religii, wyznań, różnych postaw wobec religii i braku powołań zakonnych i kapłańskich. Nie interesowało mnie porównywanie własnej religijności z tą, którą spotykałam na mojej nowej drodze, szczególnie w czasie kursu językowego, gdzie zetknęłam się z ludźmi z Maroka i Pakistanu – wyznawcami Allacha. Wierność muzułmanów zachwycała mnie. Pamiętam, że o godz. 14.00 w każdy piątek mieli wspólne modlitwy. Choć lekcje nie były skończone, wstawali, prosili o przerwę i wychodzili do innego pomieszczenia, by się modlić. Modlitwa była na pierwszym miejscu... Ich postawa przynaglała mnie do tego, by jeszcze bardziej być wierną Chrystusowi, którego chciałam głosić całemu światu. Te spotkania

z inną religią w codziennym życiu muzułmanów ukazywały mi różne jej twarze – z jednej strony wierność przepisany modlitwom, z drugiej zaś dość trudną do zrozumienia dla mnie sytuację muzułmańskich kobiet.

Moje pragnienia misyjne zaczęły się spełniać. Po kursie języka w Portugalii wyjechałam na pierwszą misję do Angoli. Była wojna, a co za tym idzie cierpienie, głód i choroby, więc ważne było okazywanie pomocy i serca. Codzienna modlitwa dawała siłę. Ratowanie ludzkiego życia było codziennością. Pomagaliśmy wszystkim, bez względu na religię czy przynależność partyjną. Pamiętam, że nie było dnia, bym nie nosiła umierającego dziecka w swoich rękach. I zawsze ten sam krzyk ludzi towarzyszył temu wszystkiemu: „Siostró, dlaczego...? Dlaczego moje dziecko?” Tak trudno było znaleźć jakąkolwiek odpowiedź. Były wtedy chwile, kiedy nie rozmawiałam z Bogiem, budził się we mnie żal i niezrozumienie Boga-Miłości. Widziałam młodych chłopców, którzy na swoich barkach nosili broń, czasem większą od nich samych. Spotykałam ludzi bez rąk i nóg. Tylko twarz im się trochę uśmiechała, kiedy pytałam: „Jak się czujesz?” Mogłam wtedy tylko popatrzeć, bo moje bezradne słowa byłyby tylko dodatkowa pomyłka. Modliłam się w milczeniu. Widziałam ludzi umierających na AIDS, leżących na podłodze szpitala, którymi się właściwie nikt nie zajmował, bo unoszący się fetor był nie do zniesienia. I słyszałam krzyki modlitw do Boga... o zmiłowanie. Czułam obecność Chrystusa we mnie, czułam, że milczy, jak ja sama. Późnymi wieczorami zносиłam miniony dzień w modlitwie, choć często nie słyszałam odpowiedzi, którą chciałam usłyszeć. Były momenty, kiedy Chrystus był daleko, nie widziałam Jego obecności pośród tego tak cierpiącego świata, jednak znajdowałam Go w sobie. Czułam siłę, której wtedy nie potrafiłam określić, czułam niewidzialną obecność, którą dziś mogę nazwać Chrystusem w Białej Hostii! To było dla mnie największą siłą. Milczał, tak samo jak ja. Czas z Jezusem Eucharystycznym, był moim powrotem do miłości i źródłem trwania, nawet w najtrudniejszych chwilach.

Po prawie dziesięciu latach pobytu w Angoli zostałam przeniesiona do Republiki Południowej Afryki, aby tam rozpocząć nową misję dla ludzi chorych na AIDS, którzy ponad wszystko

chęć zacząć od nowa i nigdy się nie poddawać. Dziękują Bogu za wszystko, za każdy promyk słońca, ciepło, za dobrą zupę i szklankę herbaty u sąsiada, za ból głowy, który jutro już minie i za niebo, które czeka. I ja dziękuję Bogu za to, że ponownie odkryłam tę niewidzialną siłę we mnie samej – Chrystusa, który zawsze był, tylko że ja Go nie słyszałam, bo zagłuszałam ten cichy głos swoimi żalami, codzienną walką z chorobami i swoim egoizmem. Ponieważ myślałam, że wszystko ode mnie zależy, że wszystkie problemy świata powinny mieć rozwiązania, zapomniałam, że to Chrystus jest ponad wszystkim i wie lepiej niż ja!

Widząc tak wiele niesprawiedliwości i cierpienia, zapomniałam o Bogu. Sama się buntowałam, nie potrafiłam pogodzić w sobie obrazu miłosiernego Boga i tak wielkiego cierpienia świata. Aż pewnego dnia podeszłam do chłopca, który był chory od piętnastu lat. Walczył każdego dnia o życie, brakowało mu właściwie wszystkiego, lekarstw, jedzenia, często wody w domu. Bezradna rodzina też się załamywała. Pamiętam, że był piątek i wszyscy wiedzieliśmy, że chłopak odchodzi z tego świata. Podeszłam do niego i cicho zapytałam, czy mogę coś dla niego zrobić, a on powiedział: „Kochaj Boga i akceptuj moją chorobę i moje odejście, bo miałem krótkie, ale piękne życie. Bóg jest zawsze tak blisko”. I po chwili odszedł. Ten chłopak pokazał mi, że Chrystus jest zawsze, a najbardziej w cierpieniu człowieka. Jest tak blisko. I pokazał mi, że świat cierpiący może być szczęśliwy, choć tego nie widać, bo to inne szczęście... wewnętrzne. Te słowa nieznanego chłopaka zmieniły moje nastawienie do Chrystusa, do świata, nawet do własnego cierpienia. Chrystus stał mi się bliższy i dziś bardziej Go rozumiem poprzez własny bunt, niekończące się pytania bez odpowiedzi, własne poszukiwania. Znalazłam Chrystusa na nowo – w moim życiu i w życiu świata. W takich chwilach ważni są bliscy nam ludzie, którzy kroczą i walczą o Boga podobnie, w tych samych sytuacjach na afrykańskiej ziemi, którzy rozumieją Boga tej czerwonej od bólu ziemi. W takich sytuacjach współsiostry i przyjaciele stają się bliżsi, czasem nawet rozumieją bez słów i jestem wdzięczna Bogu i Afryce za wspaniałych ludzi wiary, których otrzymałam jako największy DAR w najodpowiedniejszym czasie. Bóg wtedy jest blisko w każdym człowieku.

Dziś, żyjąc w Polsce, dziękuję Bogu za dar powołania misyjnego i zakonnego. To niesamowita przygoda, spotkania Jezusa, kroczenia za NIM. To taka przygoda miłości, bo tylko ona może być jedynym sensem i wy tłumaczeniem naszego stylu życia, naszego powołania i trwania, tylko miłość, za którą jestem WDZIĘCZNA...

Cale życie, krótkie czy długie to droga oczyszczenia, to ciągle powstawanie i zaczynanie od nowa, to niekończące się powroty do Boga. Kiedyś powiedziano jednemu z naszych pacjentów, który cale życie był na różnych wojnach w Afryce, że już nie ma wielkich szans, by żył dłużej na tym świecie. Pamiętam, że podszedł wtedy do mnie, i poprosił, bym napisała krótki list do jego Matki. Słowa były bardzo proste: „Wiesz Mamo, chcę byś wiedziała, że nigdy w życiu nie straciłem Boga, bo jako dobry żołnierz, walczyłem o dobro ludzi i Boga w moim własnym życiu. Jedynym sukcesem, jaki sobie mogę przypisać w tym życiu, jest to, że nigdy nie przestałem walczyć o Boga, nigdy się nie poddałem w tej walce, nigdy nie stchórzyłem, zawsze ufałem! Dlatego, kiedy usłyszysz, że już odszedłem z tego świata, to proszę nie płacz, bo to będą moje najszczęśliwsze chwile, będę widział Boga twarzą w twarz. TEGO, o którego zawsze walczyłem, na różnych frontach mego życia i tej jedynej walki nigdy nie przegrałem, dlatego to są moje dni zwycięstwa, więc nie płacz. Ciesz się moim ZWYCIĘSTWEM z CHRYSYSEM i w NIM”.

Myślę, że moje Życie to też ciągła walka o Boga, na różnych frontach życia, które oczyszczają naszą wiarę i czynią z niej JEDYNĄ MIŁOŚĆ, jaką jest Chrystus. Życie samo oczyszcza i uzdalnia do powstania i ciągłego zaczynania od nowa, bo: „Warto w nieznane nawet iść, gdy drogę mgła zasnuwa, idąc przez radość i przez krzyż, wiedząc, że Chrystus czuwa”. Tak, ON zawsze czuwa...



**ŻYCIE
KONSEKROWANE**

***25-lecie „Życia
Konsekrowanego”***

Marek Jeżowski CMF

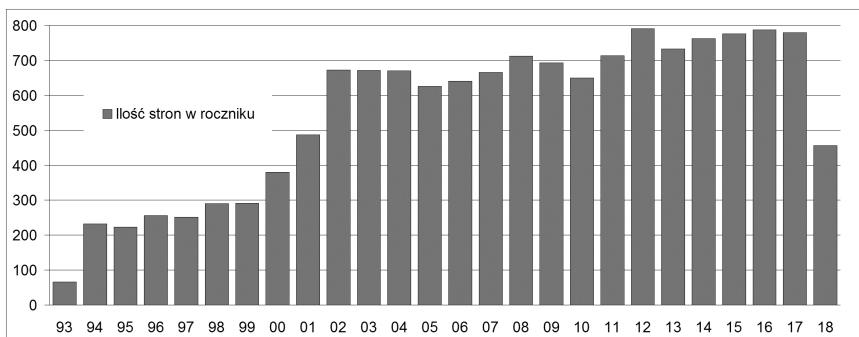
Redaktor naczelny

Dwudziestopięciolecie „Życia Konsekwowanego”

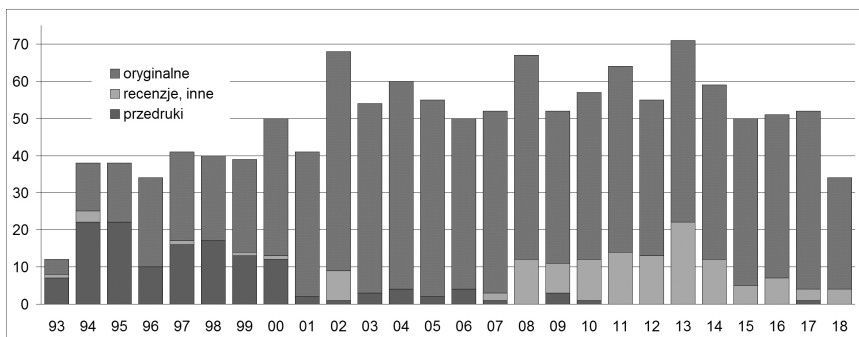
Jubileusz ćwierćwiecza „Życia Konsekwowanego” to dobra okazja do świętowania, ale także zobowiązanie do podsumowania dotychczasowych dokonań i ewentualnych niedociągnięć. Przez pierwsze 8 lat istnienia nasze czasopismo ukazywało się co trzy miesiące, a od numeru 33 przekształciło się z kwartalnika w dwumiesięcznik o łącznej rocznej objętości tekstów oscylującej wokół 700 stron. W ciągu minionego ćwierćwiecza w 132 numerach opublikowaliśmy w sumie 14283 strony tekstu.

Przez cały ten czas zachowaliśmy praktycznie ten sam format pisma (A5), ale dwukrotnie zmieniliśmy sposób edycji tekstu: od numeru 29 zamiast dwóch szpalt składanych czcionką Times wprowadziliśmy jedną kolumnę składaną czcionką Arial, zaś do numeru 93 czcionką Bookman Old Style, rozwiązując w ten sposób wcześniejsze problemy związane z drukiem słów obcojęzycznych. Uwzględniając wynikające z tych zmian różnice dotyczące średniej ilości tekstu przypadającego na każdą zadrukowaną stronę, sumaryczna ilość opublikowanego na 14,3 tys. stron tekstu wynosi 29,7 mln liter bez spacji, czyli tyle co 6 kolejnych tomów *Encyklopedii Katolickiej*, 7 tomów *The New Catholic Encyclopedia*, 8 *Biblii Tysiąclecia*, 16-krotność wszystkich 14 encyklik Jana Pawła II lub 7-krotność całej Trylogii Henryka Sienkiewicza.

• Sumaryczna liczba stron wszystkich numerów w poszczególnych latach:



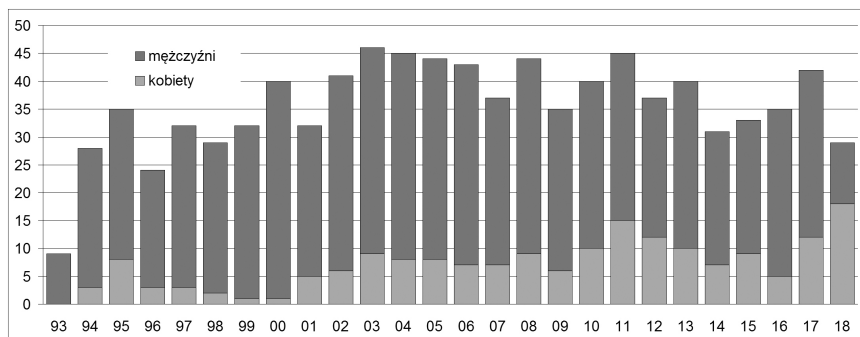
Nie licząc 130 wprowadzeń do lektury każdego numeru *Od Redakcji*, autorstwa sześciu kolejnych redaktorów naczelnych lub sekretarzy redakcji, na łamach „Życia Konsekrowanego” ukazało się 121 recenzji i relacji oraz 1162 artykuły, w tym 140 przedruków, głównie z „Vida Religiosa” wydawanej przez misjonarzy klaretynów w Madrycie.



Tylko część recenzji była zamawiana. Większość z nich została przysłana do redakcji spontanicznie przez 44 autorów. Spośród nich 18 pisało wyłącznie recenzje – w sumie 39. Tylko dwie z tych osób były konsekrowane (zakonnik i zakonnica); pozostali to księża diecezjalni i parę osób świeckich. Pozostałe 82 recenzje napisało 26 innych autorów, którzy przede wszystkim publikowali artykuły – w sumie 310 tekstów. W tej grupie wyjątek stano-

wi ks. Ignacy Dec, który przed nominacją biskupią opublikował jeden artykuł, zaś jako biskup wyłącznie recenzje – w sumie 11.

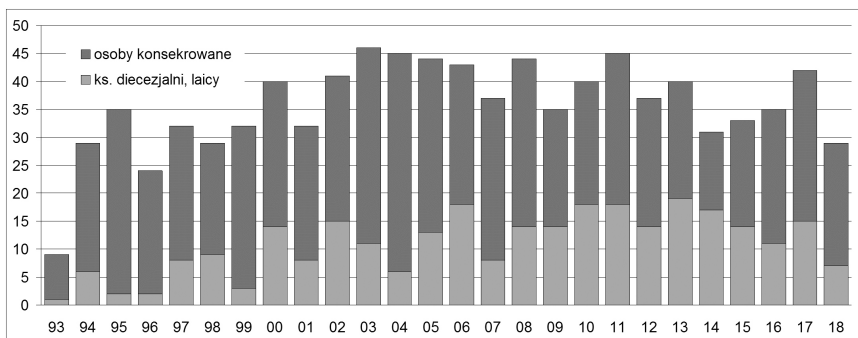
Piszących u nas kobiet było dwukrotnie mniej niż mężczyzn, niespełna 29%, a ponieważ poszczególni mężczyźni pisali więcej tekstów niż kobiety, te ostatnie są autorkami zaledwie co piątego artykułu.



W gronie publikujących na naszych łamach autorów znalazło się:

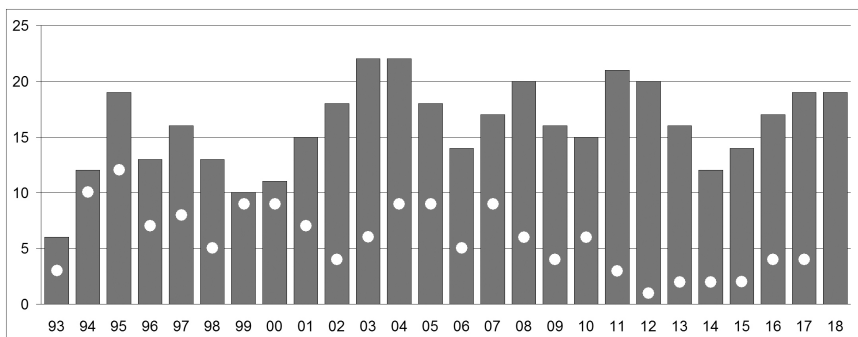
- 91 kobiet konsekrowanych (mniszek, siostr, świeckich, dziewic) z co najmniej 51 instytutów (maksymalnie 55; licząc wszystkie 7 dziewic jako jedną instytucję), w tym 9 z zagranicy; napisały one 186 artykułów i 7 recenzji;
- 167 mężczyzn konsekrowanych: braci, kapłanów i 9 biskupów (w trakcie pisania lub później) z co najmniej 42 instytutów (czterej bracia nie podali przynależności zakonnej), w tym 49 z zagranicy; napisali oni 667 artykułów i 38 recenzji;
- 94 kapłanów diecezjalnych, w tym 11 biskupów (w trakcie pisania lub później; 4 z zagranicy), którzy w sumie napisali 272 artykuły i 68 recenzji;
- 27 osób świeckich niekonsekrowanych: 9 mężczyzn (4 z zagranicy) i 18 kobiet (4 z zagranicy), którzy w sumie napisali 34 artykuły i 9 recenzji.

• Autorzy tekstów według konsekracji:

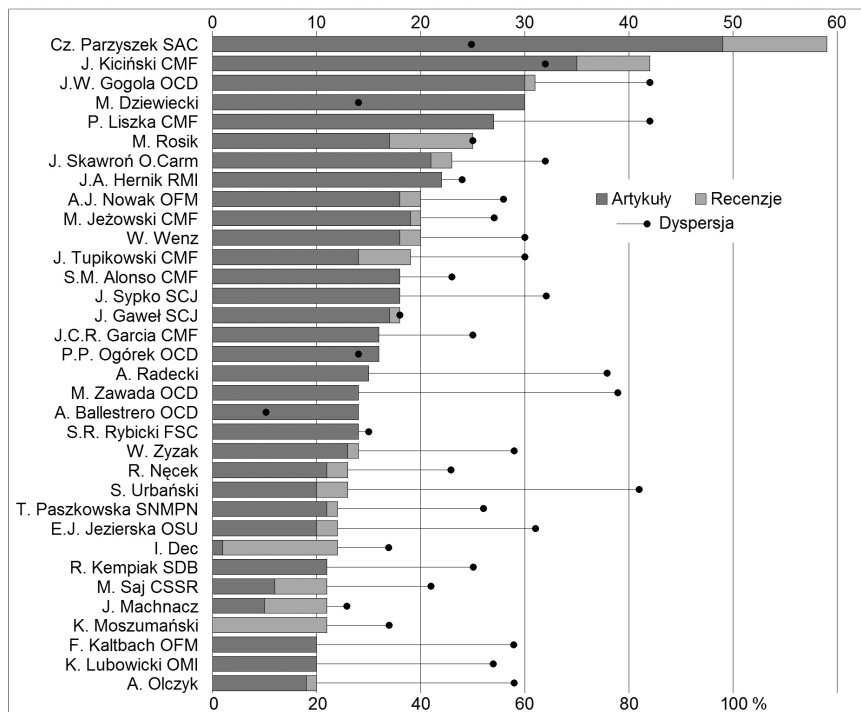


W minionych latach dołożono wiele staranności, aby nasze pismo tworzyli specjaliści prezentujący różne dziedziny i różne charyzmaty zakonne. Zaledwie kilka procent, dosłownie kilkanaście numerów w pierwszych latach ukazywania się „Życia Konsekrowanego” zdominowanych było przez autorów klaretynskich, co wiązało się m.in. z nadreprezentatywnością przedruków tekstów wysokiej klasy ekspertów publikujących w „Vida Religiosa”.

• Różnorodność charyzmatyczna autorów: ilość reprezentowanych przez autorów instytutów życia konsekrowanego (na ich tle wskazano ilość publikujących w danym roku klaretynów):



Z różnorodnością tematyczną poszczególnych numerów wiązało się też poszukiwanie nowych autorów, ekspertów w dziedzinach poruszanych na naszych łamach tematów. Jesteśmy im



Można by długo wyliczać tych, którzy publikowali na naszych łamach w trakcie studiów doktoranckich i dzisiaj są już profesorami. Niektórzy o nas nie zapomnieli i nadal służą naszym Czytelnikom zdobytą wiedzą, ale większość z nich nie znajduje już na to czasu. Duża grupa naszych byłych autorów piastowała bądź piastuje obecnie eksponowane stanowiska w swoich zgromadzeniach zakonnych, a niektórzy nawet zostali biskupami lub kardynałami. Teksty dwóch z tych hierarchów publikujemy również w bieżącym numerze.

Wypada też wspomnieć o blisko 40 zmarłych autorach. Ostatnio (10 maja) odszedł do Pana Fernando Guillén Marcha SP, a przed nim Witold Zdaniewicz SAC, którego pierwszą rocznicę śmierci wspominać będziemy 14 października. To między innymi jego cenna publikacja znalazła się 25 lat temu w pierwszym numerze naszego czasopisma.

Tematyka opublikowanych na naszych łamach tekstów dotyczyła rzecz jasna w znakomitej większości problemów życia konsekrowanego, i rzeczywiście analizując tytuły wszystkich 1162 artykułów trudno nie zauważyć, że zdecydowanie częściej pojawiał się w nich zwrot „życie konsekrowane” (118 + 16 w tytułach numerów) niż „życie zakonne” (41), w następnej kolejności „życie duchowe” (25+2) i jeszcze rzadziej „życie wspólnotowe” (11), przy czym trzeba od razu podkreślić, że jednocześnie przedmiotem trzykrotnie większej liczby artykułów była deklarowana w tytule „wspólnota zakonna” (31+1). Wyraźnie rzadszym tematem artykułów było natomiast „życie apostołskie” (7) i „życie kontemplacyjne” (3). Wracając zaś do wspomnianej wspólnoty (93+5) trzeba jeszcze podkreślić, że była ona trzecim po życiu (272+23) i osobie (121+5) słowem najczęściej pojawiającym się w tytułach naszych tekstów. Osoba występowała jednak prawie zawsze w zwrocie „osoba konsekrowana” (93+4), co z pewnością wynika ze specyfiki polskiego języka kościelnego: bardzo rzadko (niektórzy prawie nigdy) posługujemy się urzeczownikowionym przymiotnikiem „konsekrowany” lub „konsekrowana” na określenie podmiotu składającego śluby rad ewangelicznych lub inną formę poświęcenia życia Bogu na wyłączną Jemu służbę, jak to ma miejsce w innych językach europejskich.

Rozważając różne aspekty życia duchowego, najczęściej deklarowano w tytułach omówienie „kierownictwa duchowego” (16+2) jako takiego, natomiast znacznie mniej tekstów zostało poświęconych wprost „rozwojowi życia duchowego” (4), „rozwojowi duchowemu” (3+2) oraz osobie „kierownika duchowego” (2).

Relatywnie często tytuły artykułów zapowiadały podjęcie tematów związanych z Kościołem (69+4), miłością (67+5), duchowością (61+2) i powołaniem (60+1), ale nigdy w jakiejś szczególnej konfiguracji, chyba że za taką uznać zwroty: „duchowość zgromadzenia” (10), „duchowość chrześcijańska” (3) lub „powołanie zakonne” (5). Wynika to w znacznej mierze z ukonstytuowania się od numeru 69 rubryki „Duchowość zgromadzeń i/lub założycieli”, w ramach której ukazało się 68 artykułów przybliżających Czytelnikom bogactwo charyzmatyczne i duchowe poszczególnych instytutów i ich założycieli. To samo dotyczy również charyzma-

tów (43+2). Zwrot „charyzmat życia konsekrowanego” pojawia się zaledwie 5 razy, a „charyzmat zakonny” tylko 2 razy (drugi raz w odwrotnym szyku: „zakonny charyzmat”). Natomiast obok 4 tekstów omawiających „wierność charyzmatowi” znalazł się również tekst zgłębiający „wspólnotowy charyzmat wierności”.

Opublikowaliśmy dużo tekstów o formacji (44+2), przy czym formalnie zaledwie co szósty z nich deklarował w tytule zgłębienie problematyki „formacji zakonnej” (7). Można tutaj zwrócić uwagę na szczególony dotyczący naszego zakonnego słownictwa: omawiając w praktyce ten sam etap formacji, dwa artykuły nazywają go „stałą”, dwa „permanentną”, a jeden „ciągłą”.

Wiara (34+9) rozpatrywana była dwukrotnie rzadziej od miłości, za to aż pięciokrotnie w triadzie cnót Boskich św. Pawła (1Kor 13,13). Spośród tych cnót zdecydowanie najrzadziej pisano u nas o nadziei (19+3). Dwóch autorów, wychodząc ze słynnej maksymy Jakuba Apostoła (Jk 2,17), zgłębiało związek między wiarą i uczynkami, a dwóch położyło akcent na rolę „świadczenia wiary”. O zagadnieniach dotyczących „współczesnego świata” pisano w 11 różnych artykułach, natomiast „świat” (41+4) jako taki był przedmiotem zainteresowania autorów nawet częściej niż wiara religijna.

Modlitwa (34+3), w której rozwój zdecydowanie największy wkład wnieśli właśnie zakonnicy, była umiarkowanie często wymieniana w tytułach publikowanych u nas artykułów, i tylko pięciokrotnie z akcentem postawionym na „modlitwę myślną” (5+1). Inne rodzaje modlitwy, zarówno kontemplacyjna jak i adoracyjna, a nawet modlitwa wspólnotowa, były przedmiotem szczególnego zainteresowania tylko w pojedynczych artykułach. Owszem, równie często jak modlitwą myślną, nasi autorzy interesowali się też medytacją (5) i jeszcze częściej mistyką (8). Nie przesądza to jeszcze o przewartościowaniu indywidualizmu nad wspólnotowym charakterem życia wewnętrznego, w tym przypadku modlitewnego, ale uczciwie trzeba przyznać, że jeszcze rzadziej omawiano na naszych łamach kwestię rozmyślania (2) i nigdy wprost nie podjęto w tytule tematu „modlitwy brewiarzowej” lub „lectio divina”.

Duża częstotliwość występowania słowa „osoba” wynikała z zdecydowanie z faktu posługiwania się zwrotem „osoba conse-

krowana”. Tymczasem użycie słowa „człowiek” (33+2) wskazuje na zainteresowanie bytem ludzkim jako takim w całej jego złożoności. Pamiętając o tym co oczywiste – że zestawienia liczbowe dotyczące tytułów artykułów nie muszą w pełni odpowiadać faktycznie zawartej w nich treści, i że rzeczownik „człowiek” ma jeszcze liczbę mnogą „ludzie” (7) – warto jednak zwrócić uwagę na to, że prawie dokładnie z taką samą częstotliwością pojawiają się w tytułach naszych artykułów imiona własne: Jezus (35), Chrystus (33+2), jeszcze rzadziej Maryja (28+1) i Duch Święty (13+2), i tylko niespełna dwukrotnie częściej Bóg (62+2).

„Radom ewangelicznym” razem wziętym poświęciliśmy dwa numery i czternaście artykułów (14+2), a oprócz tego samemu tylko posłuszeństwu kolejne dwa numery i ponad trzydzieści artykułów (31+2), niewiele mniej ubóstwu (28) i trochę mniej czystości (18+2), przy czym tej ostatniej również dwa oddzielne numery. Dodatkowo po jednym numerze i kilkanaście artykułów zadedykowano władzy (11+1) i przełożonym (14+1), a oprócz tego jeden numer i trzy artykuły relacji „władzy i posłuszeństwa”. Również trzy artykuły poświęcono triadzie „czystości, ubóstwa i posłuszeństwa”, podobnie „ubóstwu konsekrowanemu”. Termin „ubóstwo ewangeliczne” występuje w tytule tylko jednego artykułu, natomiast nigdy nie pojawia się w nim „ubóstwo zakonne”, aczkolwiek „śluby zakonne” były przedmiotem rozważań w czterech artykułach, a oprócz tego wydrukowaliśmy po jednym artykule poświęconym osobno „ślubowi czystości”, „ślubowi ubóstwa” oraz dwa „ślubowi posłuszeństwa”. W sumie w tytułach dziesięciu tekstów pojawia się słowo „ślub” i to częściej w ostatniej dekadzie niż poprzednich latach.

Zdecydowanie częściej niż o ślubach pisano o konsekracji (26+2), której poświęcono dwa oddzielne numery, czyli praktycznie tak samo często jak o Eucharystii (25+2). Nieco częściej pisano o miłosierdziu, któremu poświęcono aż trzy numery (29+3). Również trzy numery zadedykowano zagadnieniu nadziei (19+3), oraz po dwa radości (19+2), wolności (20+2) i dawaniu świadectwa (20+2).

Z innych często omawianych na naszych łamach tematów – choć to nie oznacza, że wystarczająco często, ani że wyczer-

pująco – można wyróżnić zagadnienia związane z rozwojem duchowym: opublikowaliśmy osiem tekstów o kontemplacji i tyleż samo o mistyce, pięć o medytacja, ale już tylko trzy o ascezie, dwa o poście i tylko po jednym o pobożności i o religijności; po cztery teksty o sumieniu i o nawróceniu, trzy o przebaczeniu, tylko jeden o grzechu i żadnego o pojednaniu, chociaż jedenaście lat temu cały jeden numer został poświęcony celebracji pokuty i pojednania we wspólnocie.

Z pięciu tekstów, w których tytułach pojawia się słowo „śmierć”, w dwóch przypadkach chodzi o teksty biograficzne powstałe z okazji stulecia śmierci ich bohaterów, dwa zawierają medytację nad tajemnicą życia i śmierci konkretnych postaci, i w końcu jeden przybliży naukową refleksję nad zagadnieniem śmierci, wszakże nie teologiczną lecz filozoficzną. Może wypadałoby zatem przewidzieć nieco miejsca na przypomnienie Czytelnikom pielęgnowanej z wielkim pietyzmem w życiu wielu zakonów, ważnej dla wszystkich chrześcijan i niechrześcijan rady „memento morii”? Na marginesie dodajmy, że o chorobie i o cierpieniu opublikowaliśmy zaledwie po dwa teksty, o zdrowiu trzy, o starości cztery, a o młodości tylko jeden tekst. To być może pod wpływem adhortacji *Vita Consecrata*, w której rolę młodych dostrzeżono dopiero w zakończeniu, napisanym osobiście przez papieża.

Do listy innych istotnych tematów omawianych na naszych łamach zdecydowanie za rzadko, doliczyć trzeba poruszone zaledwie trzykrotnie zagadnienie duszy. Tylko dwa artykuły zawierały rozważania o zbawieniu. Pojedyncze teksty mówiły o religii, niebie, wieczności, zmartwychwstaniu, zadośćuczynieniu. W żadnym tytule spośród 1162 artykułów nie postawiono zadania rozwinięcia zagadnienia tajemnicy odkupienia, objawienia, piekła, moralności, ani nawet chwały Bożej... Do listy dotąd nieobecnych na łamach „Życia Konsekrowanego” tematów, którym wypadałoby w przyszłości poświęcić sporo miejsca, doliczyć można jeszcze takie zagadnienia jak: dekalog, doktryna, doskonalenie się, dyspozycyjność, oddanie, ofiarność, dzielność, gościnność, ład, porządek, muzyka, śpiew, monastycyzm, perfekcja, postęp, powinność, przeszłość, roztropność, skromność, skrytość, sumienność, szczęście, trwanie, rezygnowanie, wytrwałość, sport.

Unikanie drażliwych tematów zgodne z poprawnością polityczną jest z pewnością bezpieczne, ale czy nie powinniśmy na naszych łamach poruszyć również takich kwestii jak: alkoholizm, egoizm, hipokryzja, konformizm, niezgoda, nikotynizm, obojętność, pieniądze, sknerstwo, smutek ...? Będziemy wdzięczni za sugestie Czytelników odnośnie do przyszłych tematów naszych numerów i problematyki poruszanej w publikowanych przez nas artykułach.

Zaliczyliśmy też co najmniej jedną poważną „wpadkę”. W numerze 2(6)1995 przedrukowaliśmy z tygodnika Włoskiej Akcji Katolickiej „Segno Sette nel Mondo” tłumaczenie *Listu do matki generalnej* młodej bośniackiej zakonnicy Lucj Vetrusc, zgwałconej wraz z jej współsiostrami Tatiana i Sandrią przez serbskich żołnierzy. Tekst okazał się mistyfikacją wymyśloną w 1993 przez księdza Alfredo Contran (1925-2007) z Padwy, w latach 1965-1993 redaktora naczelnego „Difesa del Popolo”, zdemaskowaną już w kwietniu 1994. To że jeszcze wiele lat później list cytowany był jako autentyczny przez inne czasopisma, a nawet biskupów w oficjalnych dokumentach (bp Marcello Semeraro, *Voi siete la luce del mondo*, XVII Dni Młodości 2002) nie zwalnia nas z odpowiedzialności za popełnioną nierzetelność w przekazywaniu informacji.

Jednym z większych problemów, z jakim borykamy się od początku istnienia „Życia Konsekrowanego” jest jego przetrwanie na rynku wydawniczym związane nie z konkurencją, prawie nieobecną, ale ze specyfiką pisma, a co za tym idzie wąskim gronem odbiorców, oraz dotykającą również to środowisko alergią na słowo drukowane. Choć w ostatnim raporcie Biblioteki Narodowej dotyczącym czytelnictwa w Polsce stwierdzono zatrzymanie się trendu spadkowego: 38% populacji czyta przynajmniej jedną książkę rocznie, a 9% aż 7 książek (sic!), nie znajduje uzasadnienia w wynikach tych samych badań twierdzenie, jakoby alternatywą dla książek i czasopism drukowanych było czytelnictwo online, skoro teksty w formie elektronicznej czyta 21% respondentów, pobiera je legalnie z internetu 2%, a e-booki czyta zaledwie 6%. Czasopisma są źródłem informacji dla 14% osób czytających przynajmniej jedną książkę rocznie i tylko dla 11% nieczytających książek w ogóle, zaś internet dla 37% czy-

tających przynajmniej jedną książkę rocznie i tylko dla 16% nieczytających książek w ogóle. Ponieważ czytający przynajmniej jedną książkę rocznie pochodzą z rodzin, w których 82% członków również czyta książki, zaś nieczytający z rodzin, w których 87% członków również nie czyta żadnych książek, to że nasz dwumiesięcznik trafia do zaledwie jednej na 10 wspólnot zakonnych niepokoi nas najbardziej.

Z pewnością osoby konsekrowane – chociażby ze względu na cztery tomy brewiarza, znaczną część Pisma Świętego i kilka lektur formacyjno-duchowych – zaliczają się do grupy 38%, a może nawet 9% czytających co najmniej 7 książek rocznie, ale przecież zakładając optymistycznie, że każdy numer „Życia Konsekrowanego” czytają nawet trzy osoby, to i tak mniej niż 5% osób konsekrowanych w Polsce zagląda do naszego dwumiesięcznika. To oczywiście nie ułatwia nam zachęcania do współpracy nowych autorów i podnoszenia jakości publikowanych u nas tekstów. Dlatego tym bardziej jesteśmy niezmiernie wdzięczni wszystkim wytrwałym Czytelnikom, zwłaszcza wspólnotom, za systematyczne odnawianie prenumeraty, a przede wszystkim czytanie publikowanych w naszym dwumiesięczniku tekstów. Niech Wam za to Bóg obficie błogosławi i obdarza wszelkimi łaskami potrzebnymi w naśladowaniu Jezusa drogą rad ewangelicznych. Szczęść Boże!

bp Jacek Kiciński CMF
Redaktor naczelny w latach 2006-2016

Życie konsekwrowane wczoraj i dziś

Wprowadzenie

Przedstawiony temat wyznacza pewien kierunek niniejszego opracowania: wczoraj – zatem wracamy do historii, dziś – patrzymy na teraźniejszość w perspektywie przyszłości. By to uczynić, trzeba nam spojrzeć na przeszłość z wdzięcznością, – teraźniejszość z pasją, – przyszłość z nadzieją.

1. Przeszłość

Mając na uwadze najnowszą historię Polski, należałoby spojrzeć na życie konsekwrowane w perspektywie zakończenia II wojny światowej i późniejszych wydarzeń związanych z reżimem komunistycznym, w wyniku którego wiele zakonów – zwłaszcza zgromadzenia żeńskie, doświadczyło ogromu cierpienia fizycznego i duchowego. Przełom w powojennym okresie stanowi rok 1989 – odzyskanie wolności, poprzez wyzwolenie się z komunistycznej ideologii. Kolejny etap wyznacza rok 2000, który stał się okazją do podsumowań i wyprowadzenia wniosków na przyszłość. Należy tu wspomnieć Światowy Rok Życia Konsekwrowanego ogłoszony w roku 2015 przez Papieża Franciszka.

W tak przedstawioną historię powojenną wpisuje się **życie Kościoła i jego refleksja nad obecnością osób konsekwrowanych w Kościele i świecie**. Uwzględniając zarówno okoliczności miejsca i czasu, wskażemy te wydarzenia, które wydają się istotne z punktu widzenia osób konsekwrowanych.

Niezwykle ważnym dla minionych czasów – określonych mianem „stare”, był **Sobór Watykański II, który podjął głąbo-**

ką refleksję nad obecnością Kościoła w świecie. Był to Sobór na wskroś eklezjalny z nastawieniem pastoralnym i dogmatycznym. Tenże Sobór Watykański II wskazał na istotne miejsce życia konsekrowanego w Kościele i świecie. Wyzначył także zasadnicze kierunki jego odnowy:

- **dostosowanie do czasów współczesnych,**
- **zwrócenie uwagi na formację w kontekście tożsamości i charyzmatu,**
- **otwarcie na potrzeby Kościoła – element misyjny.**

Po Soborze watykańskim II podjęto głęboką refleksję nad zagadnieniami związanymi z obecnością życia konsekrowanego w samym Kościele i jego zadaniami w świecie. Czas ten zaowocował wieloma dokumentami poświęconymi relacjom osób zakonnych z:

- **hierarchią,**
- **osobami świeckimi,**
- **innymi konsekrowanymi.**

Istotnym elementem była świadomość, iż osoby konsekrowane są darem dla Kościoła i świata tylko i wyłącznie wówczas, gdy realizują swój charyzmat w Kościele i z Kościołem.

W samych wspólnotach zakonnych podjęto w minionym czasie głęboką refleksję nad odnową Konstytucji zakonnych i dyrektorów celem przystosowania ich do nowych czasów. Pomocą w tym względzie stała się eklezjologia, w której szczególne miejsce zajęła teologia charyzmatów. Przypomniano w ten sposób, że życie konsekrowane jest rzeczywistością ewolucyjną, zmieniającą się w kontekście współczesnych znaków.

Otwarcie się na znaki czasu przyniosło z pewnością wiele dobra dla osób konsekrowanych, ale w niektórych sytuacjach zachwiało strukturami wspólnot zakonnych, które nie dokonywały zmian w minionych czasach. Tak zwany model piramidalny (hierarchiczny) został zastąpiony ewangelicznym, opartym na wzajemnym braterstwie.

Owoce zainicjowanych przemian w okresie posoborowym stały się dalsze dokumenty Kościoła poświęcone życiu konsekrowanemu. Ukazały one pewną hierarchię zagadnień podejmowanych przez osoby konsekrowane w minionych czasach.

Na szczególną uwagę zasługują trzy dokumenty poświęcone życiu zakonnemu:

- **Vita consecrata** – misja osób konsekrowanych w Kościele i świecie,
- **Congregavit nos in unum Christi amor** – o życiu braterskim we wspólnocie,
- **Faciem tuam, Domine, requiram** – posługa władzy i posłuszeństwo.

Pierwszy z nich – **Vita consecrata** wskazuje na misję osób konsekrowanych w Kościele i świecie. Adhortacja podkreśliła różnorodność form życia konsekrowanego, wskazała na prorocki wymiar życia konsekrowanego oraz powołanie do świętości. Ponadto zachęciła osoby konsekrowane do podjęcia wysiłku, celem opracowania nowych programów formacji z uwzględnieniem jawiących się znaków czasu. W ten sposób św. Jan Paweł II wyznaczył jasny kierunek dla dalszego rozwoju życia konsekrowanego. Ma on charakter dynamiczny i jest do dziś niezwykle aktualny.

Kolejny dokument – **Congregavit nos in unum Christi amor** wskazał na konieczność refleksji nad życiem konsekrowanym w kontekście wspólnoty. Przypomina on osobom konsekrowanym, że wspólnota jest miejscem realizacji powołania i stanowi o sile działań apostołskich. Pojawiający się kryzys życia wspólnotowego stał się okazją, by przypomnieć osobom konsekrowanym, czym jest wspólnota i jakie ma znaczenie dla życia osobistego. Ponadto wskazano na wspólnotę jako miejsce realizacji posłannictwa. Instrukcja ta stała się odpowiedzią na:

- ruchy emancypacji (polityka, uprzemysłowienie itp.),
- źle rozumianą wolność osobistą,
- awans społeczny kobiety,
- rozwój środków społecznego przekazu,
- konsumizm i hedonizm.

Trzeci z tych dokumentów – **Faciem tuam, Domine, requiram** dotyczy posługi władzy i posłuszeństwa. Jest on owocem refleksji nad posługą przełożenią i jej znaczeniem w życiu wspólnoty zakonnej. Instrukcja stanowi odpowiedź na jawiący się kryzys autorytetu w Kościele i świecie. Dokument ten przypomina osobom konsekrowanym, że ich życie jest nieustannym

poszukiwaniem Boga, odnajdywaniem i dzieleniem się Jego miłością. Instrukcja zwraca uwagę na istotę posługi przełożenińskiej, która polega na służbie i towarzyszeniu w odkrywaniu woli Boga. Jest to zatem służba na rzecz wzajemnej jedności i miłości. Instrukcja podejmuje także sytuacje związane obiekcją sumienia – tzw. trudne polecenia.

Podsumowaniem posoborowego nauczania w kontekście życia konsekrowanego stał się Światowy Rok Życia Konsekrowanego ogłoszony przez Papieża Franciszka. Na ten czas przypadł też Synod poświęcony życiu konsekrowanemu. Owocem Synodu jest dokument **Młode wino, nowe bukłaki**. Dokument ten docenia to, co udało się dokonać w czasach posoborowych i wyznacza dalsze kierunki zaangażowania osób konsekrowanych w perspektywie powołania, konsekracji i misji.

2. Teraźniejszość

Spoglądając na rzeczywistość życia konsekrowanego w Polsce należy zauważyć wielość przemian, jakie dokonały się w dobie posoborowej. Należy tu uwzględnić sytuację po II wojnie światowej i późniejsze reperkusje związane z systemem komunistycznym. Czas odnowy soborowej stał się okazją dla osób konsekrowanych do większego zaangażowania w życie Kościoła i społeczeństwa:

- wiele zakonów zostało pozbawionych prawa realizacji charyzmatu poprzez konkwiskatę mienia i prowadzonych dzieł. Zmusiło to wspólnoty zakonne do podejmowania zadań, które gwarantowały przetrwanie w trudnych czasach;
- po roku 1989 zakony podjęły się rewizji podejmowanych dzieł, które nie zawsze korespondowały z otrzymanym charyzmatem;
- przepracowywano na nowo Konstytucje i dyrektoria;
- był to czas opracowywania *ratio formationis*;
- wielość powołań przyczyniła się do dużego otwarcia misyjnego i zaangażowania apostolskiego w nowej rzeczywistości;
- w tym czasie przybyło do Polski wiele zgromadzeń męskich i żeńskich o charakterze misyjno-apostolskim oraz kontemplacyjno-czynnym;

- jesteśmy świadkami wiosny indywidualnych form życia konsekrowanego: dziewictwo, wdowieństwo i życie pustelnicze.

W dziedzinie formacji powołano wiele ośrodków formacji osób konsekrowanych, do których należy zaliczyć: Wrocław, Ołtarzew, Kraków, Trzebinia, Lublin. Powołano do istnienia struktury naukowe kształcające przyszłych formatorów i formatorki zakonne. W tym czasie odbyło się wiele sympozjów i sesji naukowych o charakterze lokalnym i ogólnopolskim. Szczególne zasługi na tym polu położyła Konsulta Wyższych Przełożonych Zakonnych, zarówno męskich, jak i żeńskich, z uwzględnieniem instytutów świeckich i zakonów kontemplacyjnych. Przy Episkopacie działa Komisja ds. życia Konsekrowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego oraz Podkomisja ds. Indywidualnych Form Życia Konsekrowanego. Wydawane jest systematycznie czasopismo „Życie Konsekrowane” oraz cotygodniowy Biuletyn poświęcony bieżącym sprawom życia konsekrowanego.

Rok życia Konsekrowanego zaowocował kolejnymi dokumentami, które wyznaczają jasny kierunek dalszego życia i posługi osób konsekrowanych. Dokumenty te podejmują refleksje na kanwie nauczania Papieża Franciszka.

Pierwszy z nich zatytułowany **Radujcie się** zachęca do zatrzymania się i podjęcia refleksji nad obecnością życia konsekrowanego w dzisiejszej rzeczywistości. Kongregacja zachęca osoby konsekrowane do duszpasterstwa obecności. Pokazuje w ten sposób, że w podejmowanej posłudze najważniejszy jest człowiek. Zarówno ten, który posługuje, jak i ten, który jest adresatem tej posługi. Wiąże się to z radosnym zwiastowaniem Dobrej Nowiny. Konieczne jest zatem wsłuchiwanie się w głos Boga, przekazywanie Jego uścisku i w bliskości towarzyszenie innym.

By móc to czynić potrzeba właściwego rozeznania. **Rozpoznawajcie** to następny dokument, który ukazuje szczególne znaczenie rozeznawania duchowego znaków czasu w życiu i posłudze osób konsekrowanych. Ono to pomaga podejmować właściwe decyzje, będące odpowiedzią na jawiące się znaki czasu w świetle słowa Bożego.

Kolejny dokument – **Kontemplujcie** podkreśla konieczność kontemplacji Boga. Nie wystarczy jednorazowy zachwyty,

potrzeba zatrzymania się, budowania i formowania swojego życia na modlitwie w świetle słowa Bożego. Potrzeba nieustannego wchodzenia do swojego wnętrza, by tam na nowo odkryć piękno Boga.

Gdy to uczynimy, powinniśmy wyjść na peryferia współczesnego świata, by głosić Bożą miłość. Stąd też w kolejnym dokumencie **Głosie** Kościoła, a w nim osoby konsekrowane, ukazany jest jako wychodzący z propozycją Dobrej Nowiny.

3. Przyszłość

Obecna rzeczywistość życia konsekrowanego to wyzwania, jakie niesie ze sobą współczesny świat. Dotyczą one przeszłości życia konsekrowanego. **Współcześnie jesteśmy świadkami:**

- cywilizacji śmierci,
- hedonistycznej kultury ciała,
- zaniku poczucia grzechu,
- życia kulturą chwili,
- tymczasowości,
- braku trwałych decyzji,
- obojętności religijnej,
- zagubienia duchowego,
- kryzysu autorytetów,
- braku powołań,
- problemów z tożsamością zakonną.

A z drugiej strony dostrzegamy:

- głód duchowości,
- potrzebę bliskości i trwałej miłości,
- tęsknotę za jednością.

W obliczu tych wydarzeń osoby konsekrowane winny dokonać głębokiej rewizji swojego życia pod względem działalności charyzmatycznej. Ponadto potrzeba odnowienia struktur życia zakonnego w kontekście życia wspólnotowego oraz pełnienia posługi przełożenińskiej.

Dokument Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekrowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego **Młode wino, nowe bukłaki** wskazuje wprost na jawiące się problemy, które wymagają natychmiastowego uzdrowienia.

Wydaje się, że dziś życie konsekrowane w Polsce weszło w jesień swego życia. Czas jesieni to czas zbioru owoców, radość z dokonań i powód do dumy z osiągniętych celów. Jednakże należy pamiętać, że jesień to także czas przygotowań do zimy, a ta może okazać się bolesna dla wielu wspólnot, dla których perspektywa wiosny może stać się nieosiągalna. Należy jednak iść z nadzieją ku przyszłości wierząc, że życie zakonne nie jest tylko dziełem ludzkim, lecz owocem działającego w nim Ducha Świętego.

Zakończenie

Ważnym zatem dla dzisiejszego życia konsekrowanego jest powrót do źródeł duchowości, do źródeł charyzmatu i do budowania prawdziwie braterskich wspólnot na wzór tych pierwszych opisanych w *Dziejach Apostolskich*. Potrzeba także wejścia w przestrzeń misji współdzielonej, która zakłada obecność wszystkich na drodze do świętości przy zachowaniu własnej tożsamości charyzmatycznej. Wymaga to otwarcia się i zaproszenia innych do współuczestnictwa w przeżywaniu swojego chryzmatu. W ten sposób ubogacamy innych swoją obecnością, a inni wnoszą wiele dobra w nasze codzienne życie.



**ŻYCIE
KONSEKROWANE**

Studia i refleksje

Samuela Klimas, „Koinonia św. Pawła”

Kielce

Prawda jako droga do poznania siebie i poznania Boga

1. Pojęcie prawdy

Prawda jest pojęciem wieloznacznym: 1) w sensie ontologicznym oznacza zgodność rzeczy z własną tożsamością; 2) w sensie logicznym prawda jest to zgodność pojęcia lub sądu z orzecaną rzeczywistością; 3) w sensie moralnym jest to zgodność myśli ze słowem lub innym wyrazem myśli; natomiast 4) w sensie egzystencjalnym – prawda to zgodność wartości z rzeczywistymi potrzebami człowieka¹. W języku potocznym prawdziwą nazywa się jakąś myśl, mowę zgodną z rzeczywistością lub samą rzeczywistość, która się odsłania i staje się oczywista dla umysłu. Prawdziwy, z języka greckiego *a-lethes* oznacza „nie ukryty”². W człowieku jest wrodzona zdolność i potrzeba poznawania wszystkiego, co zawsze rodziło pytanie o obiektywne poznanie. Prawda może być przedmiotem miłości, ponieważ w jej głębi jest dobro i piękno. Miłość do prawdy jest więc spontanicznym zwróceniem się natury do swego dobra.

Dzisiaj poszukiwanie prawdy nie jest najwyższą wartością w filozofii. Odnotowuje się z jednej strony banalność prawdy, jej zrelatywizowanie, a zarazem zdegradowanie, z drugiej zaś lęk przed konsekwencjami prawdy, która porządkuje myślenie i egzystencję w mało atrakcyjnym dla współczesnego człowieka kierunku³.

¹ Por. W. Słomka, *Prawda*, w: *Leksykon duchowości katolickiej*, red. M. Chmielewski, Lublin 2002, s. 700.

² Por. I. de la Potterie, *Prawda*, w: *Słownik Teologii Biblijnej*, red. X. Leon Dufour, Poznań 1990, s. 763.

³ Por. A. Grzegorzcyk, *Filozofia światła Edyty Stein*, Poznań 2004, s. 184.

Według współczesnej koncepcji prawda jest brzydota, jest pojmowana jako okropna i straszna. Taka koncepcja prawdy jest obecna w przestrzeni polityki i kultury: np. pisarz Joseph Conrad stwierdza, że brzydotę prawdy nie możemy inaczej ominąć w życiu codziennym, jak tylko poprzez nieustanną troskę o pozory (*The Return, dans Tales of Unrest*)⁴. Z kolei Céline zauważa, że prawda to agonia, która nie ma końca. Prawda tego świata to śmierć. Trzeba wybrać: umrzeć albo kłamać. Przed taką prawdą człowiek szuka swego zbawienia w ucieczce (*Voyage au bout de la nuit*, coll. Folio, p. 256)⁵. Kłamstwo nie jest już rozumiane jako przewrotny, obłudny podstęp, ale jako konieczność, czyli jako dzieło miłości wobec siebie samego oraz bliźniego.

Kłamstwo triumfuje także w sztuce. Leopardi twierdzi, że zadaniem poety jest pisanie fikcji i kłamstwa (*Discorso di un italiano intorno alla poesia romantica*, 1818). Sztuka otrzymuje dziś nową rolę: jej zadaniem nie jest już odkrywanie prawdy, ale staje się ona sposobem dania kłamstwu przyjemnej postaci. Już nie mamy zasady, że *nic nie jest piękne, jeśli nie jest prawdziwe, tylko to co prawdziwe jest miłe, łaskawe* (Boileau. *Épître IX*, v. 43), ale mamy sztukę, aby nie zginąć przed prawdą, ona bowiem chroni nas przed prawdą⁶.

Chrześcijańska koncepcja prawdy odróżnia się od prawdy filozoficznej, historycznej, czy naukowej, ponieważ jest to prawda – objawienie, prawda wiary. Według tej koncepcji prawda pochodzi od Boga. Bóg przekazuje ją swojemu ludowi, a przez niego wszystkim ludziom, aby ukazać im ostateczny sens ich egzystencji. Chrześcijańskie pojęcie prawdy – objawienia pochodzi z Biblii i pozostaje żywe w Tradycji całego Kościoła.

Dlatego Jan Paweł II w encyklice *Veritatis splendor* ukazuje przyczynę odrzucania prawdy i życia w kłamstwie jako następstwo tajemniczego grzechu pierworodnego, który pierwsi rodzice popełnili ulegając pokusie Szatana, będącego „kłamcą i ojcem kłamstwa” (J 8,44). Od tego momentu „człowiek nieustannie doznaje pokusy, by odwrócić swój wzrok od Boga żywego i praw-

⁴ Por. R. Brague, *Vérité*, w: *Dictionnaire de Spiritualité* (DSp), t.16, s. 447.

⁵ Por. Tamże.

⁶ Por. Tamże.

dziwego i skierować go ku bożkom (por. 1Tes 1,9), przemieniając „prawdę Bożą w kłamstwo” (por. Rz 1,25). Ponadto przytępia to również jego zdolność poznawania prawdy i osłabia wolę poddania się jej. W konsekwencji człowiek, ulegając relatywizmowi i sceptycyzmowi (por. J 18,38), zaczyna szukać złudnej wolności poza samą prawdą. Ciemności błędu i grzechu nigdy jednak nie zdołają do końca zgasić w człowieku światła Boga Stwórcy. W głębi serca stale tęskni on za absolutną prawdą i pragnie w pełni ją poznać⁷.

Odrzucenie prawdy może wyrażać lęk przed sądem, jaki ona dokonuje nad nami. Miłujemy prawdę wówczas, gdy oświecając obiekty, które chcemy uchwycić pozwala nam je poznać, natomiast nienawidzimy jej, gdy powraca do nas, aby przekonać nas o naszych winach. Jeśli miłowalibyśmy prawdę, taką jaka jest, musielibyśmy chcieć być sami wobec siebie przejrzysti, pozwolić się oświecić, chodzić w świetle. Jednak wolimy mieć prawdę zawsze za sobą, a nigdy przed sobą, przed swym obliczem.

Aby zaakceptować prawdę, która nas osadza, trzeba przygnać do pokory (Bernard, *Serm. de diversis* 20,5, PL 183,593d). Jeśli światło prawdy byłoby jedynie osądem, byłoby nie do zniesienia, a pokora byłaby masochizmem. Jednak sąd utożsamia się z przebaczeniem. Jeśli historia zbawienia jako Boże przebaczenie udzielone ludziom osiąga swój punkt kulminacyjny w wydarzeniu Chrystusa, to Chrystus jest prawdą, który przyszedł, nie żeby świat potępić, ale zbawić (por. J 3,16) i nie można ich rozdzielić, pretendując do wyboru pomiędzy prawdą i Bogiem, którego objawia Jezus Chrystus⁸.

2. Biblijne rozumienie prawdy

W Starym Testamencie hebrajski termin *emet* wyraża Prawdę Bożą. Pochodzi on od słowa *aman*, które oznacza „być mocnym, pewnym, godnym zaufania”. Prawda jest więc przymiotem czegoś, co jest trwałe, wypróbowane, coś na czym można się oprzeć. Prawda Boża pozostaje zawsze w związku z interwencją Boga w historię Izraela, która zawsze jest dla jego dobra. Jahwe

⁷ Jan Paweł II, *Veritatis Splendor* 1.

⁸ Por. R. Brague, *Vérité*, w: DSp, t.16, s. 450-451.

jest Bogiem wiernym⁹. Termin *êmet* wyrażał przede wszystkim wierność Jahwe Przymierzu zawartemu z Narodem Wybranym (Pwt 32,4; Ps 31,6; Iz 49,7). Słowa Jahwe są słowami prawdy i prawo Jego jest Prawdą (2Sm 7,28; Ps 19,10), dlatego objawienie Boga Jahwe jest objawieniem dróg prawdy (Ps 86,11). W tym sensie prawda oznacza wierność Boga, a także wierność ludu wobec Niego i Przymierza¹⁰.

Termin *êmet* często występuje z rzeczownikiem *hesed*, który bywa tłumaczony: jako łaska, miłosierdzie, dobroć, życzliwość, łaskawość i wskazuje na dobroć i miłość Boga do ludzi¹¹. Cały ten zwrot wyraża postawę, jaką Bóg zajmuje wobec przymierza. Jest to przymierze łaski i Bóg pozostaje mu wierny.

W Nowym Testamencie pojęcie prawdy (gr. ἀληθεια) w dalszym ciągu oznacza wierność Boga danym obietnicom zbawczym, które w Jezusie Chrystusie zostały doskonale spełnione: *Syn Boży, Chrystus Jezus (...), nie był „tak” i „nie”, lecz dokonało się w Nim „tak”. Albowiem ile tylko obietnic Bożych, wszystkie są „tak” w Nim. Dlatego też przez Niego wypowiada się nasze „Amen” Bogu na chwałę.* (2Kor 1,19-20). Zatem prawda jest pełnią objawienia, którego centrum stanowi osoba Chrystusa.

Św. Paweł mówi, że prawdą jest Ewangelia Chrystusa (Ga 2,5.14; Kol 1,5; Ef 1,13), zastępując tymi słowami żydowskie wyrażenie „prawda Prawa”. Żydzi bowiem chętni się, że w swoim Prawie posiadali uosobienie objawionej prawdy i znajdowali w nim pełnię woli Bożej (Rz 2,20; 2,18)¹². Przyjęcie prawdy Ewangelii dokonuje się przez wiarę i nawrócenie (Rz 2,8; 2Tm 2,25; 2Tes 2,13; Tt 1,1), które winno rodzić umiłowanie prawdy. Św. Paweł twierdzi, że jeśli ludzie są zagubieni to dlatego, że nie zaakceptowali prawdy w miłości danej w zbawczym nakazie, po prostu nie uwierzyli prawdzie. Zbawienie bowiem zależy przede wszystkim od przyłgnięcia do obiektywnej prawdy i uległości serca wobec niej. Taka odpowiedź umożliwia rozpoznanie i zaakceptowanie prawdy ob-

⁹ Por. I. de la Potterie, *Prawda*, w: *Słownik ...*, s. 763.

¹⁰ Por. W. Słomka, *Prawda*, w: *Leksykon...*, s. 700.

¹¹ Por. S. Hałas, *Biblijne słownictwo miłości i miłosierdzia na zderzeniu kultur. Określenia hebrajskie i ich greckie odpowiedniki*, Kraków 2011, s. 83.

¹² Por. I. de la Potterie, *Prawda*, w: *Słownik...*, s. 765.

jawionej w głoszeniu Ewangelii. Głoszenie i nauczanie w Kościele jest zgodne z prawdą, która jest w Jezusie i każdy ochrzczony przyobleka człowieka nowego, który jest stworzony według Boga w sprawiedliwości i prawdziwej świętości, dosłownie świętości prawdy (και ομοιωτη της αληθειας) (Ef 4,21-24)¹³.

Kościół Chrystusa jest *podporą i filarem prawdy* objawionej przez Chrystusa (1Tm 3,15). Głosi on prawdę przez głoszenie Słowa Bożego i sakramentalne uobecnienie Chrystusa, który jest Prawdą (1Kor 1,23; 2Kor 4,5; Ef 4,20; Ga 1,16). Chrystus objawia prawdę i przyszedł dać świadectwo prawdzie. Jest nią słowo usłyszane przez Syna od Ojca i słowo, które Syn objawia. Podczas, gdy diabeł jest kłamcą i w prawdzie nie wytrwał, Syn Ojca głosi prawdę, bo sam jest Prawdą (J 8,44-45)¹⁴. Poznanie pełni objawionej prawdy, która rodzi nowe życie i pozwala urzeczywistnić powołanie do świętości jest możliwe dzięki Duchowi Świętemu, dzięki nowemu narodzeniu z Ducha (J 14; 15; 16). On prowadzi nas do Prawdy, którą jest Jezus Chrystus. Duch, który pochodzi od Jezusa (por. J 1,33; 7,38-39; 10,30.34; 20,23) ma rolę aktualizowania, umacniania i zrozumienia we wnętrzu prawdy Jezusa. W wielkich obietnicach Parakleta, Jan przypisuje Duchowi Prawdy podwójną funkcję. Z jednej strony ma być dla nich świadkiem Jezusa: *Gdy jednak przyjdzie Pocieszyciel, którego Ja wam pošlę od Ojca, Duch Prawdy, który od Ojca pochodzi, On będzie świadczył o Mnie* (J15, 26; por. 1J 5,6). W wielkim procesie pomiędzy światem a Jezusem, to właśnie On złoży świadectwo o Jezusie w sercach uczniów, to On umocni ich wiarę, dając im doskonałą pewność i doprowadzi ich do tego, aby również oni byli świadkami Jezusa. W ten sposób poprzez swoją wiarę będą mogli zwyciężać świat (1J 5,4-5). Duch Święty będzie także ich Nauczycielem: przypomni im i pouczy ich w nowy sposób o wszystkim, co powiedział do nich Jezus (J 14,26). Ostatnią obietnicę jeszcze doprecyzowuje: *Gdy zaś przyjdzie On, Duch Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy* (J 16,13)¹⁵.

¹³ Por. C. Spicq, J.D. Ernest, *Theological Lexicon of the New Testament*. Peabody, MA, Hendrickson, 1994, s. 1, 72-74.

¹⁴ Por. R. Brague, *Vérité*, w: DSp, t.16, s. 417.

¹⁵ Por. Tamże, s. 420-421.

W Nowym Testamencie prawda nie oznacza teoretycznego poznania, ale poznanie, które rodzi Słowo Boże przyjęte z wiarą w mocy Ducha Świętego. Takie poznanie rozpoczyna proces nowego życia, który domaga się wierności ewangelicznym wartościom¹⁶. Poszukiwanie Prawdy i wierność prawdzie prowadzi nas do poznania siebie i Boga.

3. Poznanie siebie

Temat poznania siebie przenika całą tradycję chrześcijańską. Zagadnienie to podjęli i pogłębili Orygenes i ojcowie Kapadoccy, św. Ambroży, św. Augustyn, św. Grzegorz Wielki, św. Wilhelm z Saint-Thierry, mnisi od św. Wiktora, św. Bernard i ojcowie kartuzi. Zwращanie uwagi na wymiar wewnętrzny stanowi bowiem jeden z elementów, który najbardziej wyróżnia duchowość chrześcijańską. Świętość nie polega na całości działań chrześcijanina, choćby były dobre, święte czy heroiczne, lecz sytuuje się na poziomie „być” i dąży do ukształtowania całej naszej osoby na wzór Chrystusa. Oznacza to, że naśladowanie Chrystusa wymaga, aby nigdy nie oddzielać tego, co ludzkie od tego, co duchowe i łączyć zawsze poznanie Pana z poznaniem siebie samego¹⁷.

Poznać siebie to przede wszystkim poznać to, co jest w człowieku, swoją naturę, swoje wartości, swoje miejsce w hierarchii istnień, swoje początki i swoje przeznaczenie. To oznacza także osądzenie siebie w perspektywie przeciwności nieodłącznych od człowieka. Poznanie siebie to jest uznanie zarówno swojej wielkości, jak i nędzy, chodzi o rozpoznanie swojej wielkości z Bogiem, swojej wielkiej godności jako dziecka Bożego, jako obrazu Boga, a także uznanie swojej słabości bez Boga, swojej kruchości pod ciężarem grzechu, której tak dotkliwie doświadczył św. Paweł, owej wewnętrznej walki człowieka duchowego i człowieka cielesnego, którzy ścierają się w nas nieustannie (Rz 7,24).

Poznać siebie nie oznacza wiedzieć, co jest w człowieku ogólnie, ale co jest w tym konkretnym człowieku, którym jestem ja. Poznać siebie, to dokonać pewnego inwentarza, wykazu bogac-

¹⁶ Por. W. Słomka, *Prawda*, w: *Leksykon...*, s. 700.

¹⁷ Por. E. Bianchi, *Słowa dla życia*, Kielce 2014, s. 163.

stwa psychologicznego i moralnego, za które czują się odpowiedzialnym, jak i słabości, za które czują się winny.

Jacques Abbadie, teolog protestancki wyróżnił te dwa aspekty poznania siebie. Pierwszy aspekt odnosi się do poznania, kim człowiek jest ze swej natury, jakie są jego doskonałości, jaki jest jego koniec, co powinien, jakie ma zadania i zobowiązania naturalne, władze, motywy działania. Drugi aspekt obejmuje jego nieuporządkowanie wewnętrzne, przywiązania, namiętności, wady główne, czyli poszukiwanie źródeł jego niszczenia¹⁸. Biorąc pod uwagę te dwa aspekty spróbujemy sprecyzować, co jest treścią poznania siebie i jakie są jego etapy.

3.1. Treść i etapy poznania siebie

Przypomnijmy, że w poznaniu siebie nie chodzi o to, by poznać człowieka ogólnie, ale konkretnie mnie z moimi skłonnościami. Czasami mamy tendencję, aby mylić poznanie siebie z rachunkiem sumienia, co sprawia, że redukujemy poznanie siebie do poszukiwań swoich zalet i wad albo do wady dominującej i zalety dominującej. Jednak poznanie siebie, czyli konkretnie mnie, które każdy nosi w sobie samym, zawiera także inne elementy. Aby poznanie siebie było skuteczne należy objąć wszystko to, co znajduje się we mnie, zalety i wady, dary naturalne i nadprzyrodzone, upodobanie, to co przyciąga innych do mnie i co ich odpycha, historię mojego życia, moje winy, moje wysiłki, mój postęp, wszystko to należy wyświetlić bez pesymizmu, ale z bezstronnością i z prawym sumieniem oświeconym przez wiarę.

Poznanie siebie prowadzi do integracji osoby, ale ta integracja nie dokonuje się w jednym momencie w swojej ostatecznej formie, lecz w pewnym procesie, w postępujących po sobie etapach. Pierwszy etap jest niewyraźny, pierwotny, etap chaotyczny dziecka, które nie wie dokąd rozciąga się moje „ja”. Następnie pojawia się świadomość postępująca mojego „ja” w opozycji do nie „ja”. Kolejnym etapem jest świadomość własnego wnętrza w odniesieniu do ciała, które pozostaje na zewnątrz. Tej świadomości

¹⁸ Por. J. Abbadie, *L'art de se connaitre soi-même*, Rotterdam 1692, ch. Préliminaire, t 1, col. 49.

człowiek nabiera z czasem poprzez refleksję. W końcu następuje uduchowienie progresywne i wybór, który konstituuje centrum osoby. Poprzez świadomy i wolny wybór realizuje się oryginalność osoby i jej niepowtarzalny charakter¹⁹.

3.2. Znaczenie poznania siebie

Idąc za Alvarez de Paz znaczenie poznania siebie możemy ująć w czterech punktach:

1. Skoro człowiek nosi w sobie obraz Stwórcy, poznając siebie, uczy się poznawać Boga. Trzeba wznieść się do *trzeciego nieba przez drugie*, a do *drugiego przez pierwsze*; *pierwszym niebem* jest poznanie siebie; *drugim* poznanie dzieł Bożych; a *trzecim* poznanie Boga (Stwórcy). Gdy poszukujemy prawdy o sobie, to na tej drodze dochodzimy do poznania Boga.

2. Przez poznanie siebie nabywamy bojaźni Bożej. Ten, kto nie zna siebie, swojego grzechu i kondycji grzesznika, nie zna Boga i nie może Go miłować. Poznanie siebie jest jak brama, przez którą człowiek dociera do posiadania bojaźni i miłości Bożej.

3. Poznanie siebie strzeże nas przed pychą i usposabia nas do prawdziwej pokory. Kto bowiem, znając siebie nawet powierzchownie, i widząc swoją własną nędzę oraz dotykając zgnilizny i żuźlu swego serca, ośmieli się wynosić albo będzie tak nierozsądnym, aby się pysznić?

4. W końcu poznanie siebie przyciąga łaskę i życzliwość Boga, ponieważ On kocha pokornych, którzy wzgardzili sobą i przystąpili do przyjaźni Bożej i otrzymali Jego miłosierdzie. (*De ex-terminatione mali et prortitione boni*, lib. 4, p. 2: *De humilitate cognitionis sive de cognitione sui*)²⁰.

Aby lepiej jeszcze zrozumieć, jak ważne jest poznanie siebie, możemy zapytać, do czego prowadzi brak znajomości siebie samego? Nędza i zaślepienie człowieka, który pragnie wszystko poznać, wszystkiego doświadczyć, a który zaniedbuje poznanie siebie samego prowadzi do tego, że idzie on za swymi instynktami i pozwala się prowadzić swoim zdeprawowanym skłonnościom, które wydają go na udreki jego licznych pragnień. Nieznajomość

¹⁹ Por. L. de Bazelaire, *Connaissance de soi*, w: DSp t. 2, s. 1530.

²⁰ Por. Tamże, s. 1532.

siebie jest przyczyną, że nie zna on Boga, tak jak powinien i że nie jest świadomy swego grzechu, a co za tym idzie nie podejmuje wysiłku, aby podobać się Bogu i żyć z Nim w przyjaźni. To z kolei prowadzi go do zatwardziałości w grzechu tak, że nie jest zdolny do skruchy.

Św. Bernard wskazuje na cztery etapy, które prowadzą do takiego stanu: 1) ukrywanie swojej ułomności, słabości, niesprawiedliwości, nieużyteczności; 2) nieznanostwo siebie i swojej nędzy moralnej; 3) zarozumiałość; 4) wzgarda Bogiem, która prowadzi do niezdolności do skruchy i do żalu²¹. Aby nie doprowadzić się do takiego stanu, człowiek nie powinien zniechęcać się, ale bez lęku poznawać siebie w prawdzie, także swoją słabość, ponieważ ona, jak twierdzi św. Bernard, może być niezwykle szansą wzrostu duchowego. Naszą słabość nazywa dobrą i użyteczną, ponieważ tylko chory potrzebuje lekarza (por. Mt 9,12)²². W ten sposób Bóg może przyjść nam z pomocą, zapanaować nad nią i nas uleczyć.

3.3. Trudności w poznaniu siebie

Wydawać się może, że nic nie jest łatwiejsze niż poznanie siebie. Kto bowiem jest bliżej nas, niż my sami. Innych dosięgamy jedynie na zewnątrz, ale samych siebie przez nasze wnętrza, które możemy uchwycić. Tymczasem trzeba przyznać, że poznanie siebie pozostaje pewną tajemnicą, misterium; nikt nie zna siebie w sposób doskonały, zawsze pozostaje jakiś ciemny kąt, który rzuca cień na naszą duszę, zawsze jakiś rewir naszego życia intymnego wymyka się nam²³.

Co więcej, poznanie naszego wnętrza jest nie tylko niedoskonałe, pomieszane, bezładne, niewyraźne, ale często jest fałszywe. Człowiek łatwo wierzy, że się zna, ale w rzeczywistości jego sąd o sobie samym jest bardzo różny od tego, kim naprawdę jest. Opinie innych o nas są często bardziej obiektywne niż nasze sądy osobiste.

²¹ Por. Tamże, s. 1533.

²² Por. A. Louf, *La faiblesse, un chemin pascal selon saint Bernard*, w: *Collectanea Cisterciensia* 65 (2003) 5-20, s. 9-11.

²³ Por. L. de Bazelaire, *Connaissance de soi*, w: DSp t. 2, s. 1533.

Co jest przyczyną nieznamości siebie oraz błędnego, nieprawdziwego poznania siebie? Jedno i drugie pochodzi z tego samego źródła: człowiek nie zna siebie i myli się, ponieważ nie chce się poznać. Podstawą tego, że człowiek nie chce się poznać jest miłość własna, egoizm, który ukrywa słabości naszej natury i naszej działalności, aktywności (kim jesteśmy i co robimy). Prawda o nas, czyli zobaczyć prawdziwe wymiary swego istnienia, znaleźć właściwe miejsce pośród innych, porównać się z tymi, którzy nas otaczają i z którymi żyjemy, ale nie według z góry powziętej decyzji, lecz bezstronnie, ocenić według sprawiedliwej miary swoje wartości moralne, to wszystko suponuje doskonałą pokorę. Pycha, próżność i inne namiętności tworzą cały ciąg zasłon, parawanów, które przechwytyują światło przeznaczone do tego, aby oświecić człowieka, jego wnętrze. Następnie poznanie siebie utrudnia także lęk przed podjęciem pracy nad sobą. Podejrzewamy, że dojrzały rachunek sumienia nie zostawi innej alternatywy, jak powierzyć się Bogu, albo odrzucić wprost to, o co nas prosi, a my nie chcemy uczynić ani jednego ani drugiego. Dlatego nie chcemy poznać prawdy o sobie i wolimy żyć w nieświadomości. Inną przyczyną iluzji, w których żyjemy są podstępny demonów, którzy nieustannie nas okłamują i podsuwają fałszywy obraz Boga i siebie²⁴.

3.4. Warunki poznania siebie

Aby poznać siebie i żyć w prawdzie potrzebujemy żyć w relacji z innymi osobami, następnie samotności i ciszy, wolności oraz modlitewnej lektury Słowa Bożego.

- **Życie z innymi**

Prawda o nas wychodzi w relacjach z innymi. Każdy z nas potrzebuje innych osób, szczególnie bliskich, z którymi żyje w zażyłości, aby objawili nam, kim jesteśmy. Potrzebujemy bliskich, życzliwych nam osób, aby ukazać swoje prawdziwe oblicze i móc siebie akceptować oraz cenić. Z drugiej strony moja reakcja na wady i ograniczenia innych osób ukazuje mi moje własne ograni-

²⁴ Por. Tamże, s. 1534.

czenia i egoizm. Mogę wówczas poznać swój własny brak akceptacji, zdolności do wyrozumiałości, a także moją agresję i brak opanowania. Życie z innymi pozbawia nas złudzeń o naszej niewinności i bezgrzeszności²⁵. Prawdę tę w sposób plastyczny wyraża Jean Vanier: „Życie we wspólnocie jest bardzo przykrym ujawnieniem ograniczeń. Słabości i ciemności mojego *ja*; są często nieoczekiwanym ujawnieniem ukrytych we mnie potworów. A jako takie stają się trudne do przyjęcia. Bardzo szybko staramy się te potwory odsunąć, ponownie je ukryć lub zaprzeczyć ich istnieniu, albo uciekamy od życia we wspólnocie i od kontaktu z innymi, albo też oskarżamy innych i mieszkające w nich potwory. Jeżeli jednak przyjmiemy, iż te potwory w nas się znajdują, możemy pozwolić im wyjść na wierzch i je ujarzmić. Na tym polega wzrastanie ku wyzwoleniu”²⁶. W ten sposób życie z innymi pomaga nam poznać siebie, zarówno, to, co jest w nas pozytywne jak i to, co jest negatywne.

● **Samotność i cisza**

Poznanie siebie wymaga uwagi, wewnętrznego czuwania, ta zdolność skupiania się i słuchania milczenia, pomaga człowiekowi powrócić do tego, co istotne. Człowiek, aby poznać siebie potrzebuje samotności i ciszy. Jednak podjęcie samotności jest dowodem odwagi, aby przyjrzeć się sobie samemu twarzą w twarz, aby rozpoznać i zaakceptować jako osobiste zadanie, jako szukanie tego, by stać się sobą samym: to znaczy być człowiekiem pokornym, który uznaje w swojej niepowtarzalności zadanie, które dla niego jest możliwe i tylko przez niego jest realizowane, i kto sprzeniewierza się temu zadaniu, chroniąc się w „stadzie”, w anonimowości tłumu lub w zamknięciu się w sobie samym²⁷. Samotność bowiem prowadzi człowieka do poznania siebie i wymaga od niego dużo odwagi. W ten sposób samotność staje się drogą w poznaniu siebie, pozwalającym *ja* naturalnemu, egocentrycznemu i zaborczemu poznać prawdę o sobie. Chrześci-

²⁵ Por. J.W. Gogola, *Osoba i wspólnota*, Kraków 2002, s. 87-89.

²⁶ J. Vanier, *Wspólnota miejscem radości i przebaczenia*, tłum. L. Rutowska, Paris 1985, s. 21-22.

²⁷ Por. E. Bianchi, *Słowa dla życia...*, s. 166-167.

janin staje się człowiekiem żyjącym w prawdzie przed Bogiem, z samym sobą oraz z innymi. Jest zdolny do wypowiedania słowa odpowiadającego prawdzie o rzeczach i o osobach. Taka samotność jest wejściem w wolność Boga, która staje się nasza²⁸.

● **Wolność**

Trzecim warunkiem jest wolność osobista, która potrzebuje ciszy i samotności. Wolność może rodzić strach, gdyż boimy się odpowiedzialności. Jednak w życiu duchowym niczego nie ma z konieczności. Jezus mówi poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli (por. J 8,32). Jednym z doświadczeń wolności jest pokora, którą można określić jako sposób bycia w prawdzie. Przeciwnieństwem pokory jest samozakłamanie czyli życie w iluzji, co do własnej wartości. Osoba niepokorna uznaje się albo za lepszą, albo za gorszą, niż w rzeczywistości jest. Ten pierwszy, najczęstszy, skutek braku pokory, oznacza pychę, która jest „zarzewiem zła, bo jest otwarciem na iluzję, co do własnej wartości, związanym z poniżeniem wartości innych i oczekiwaniem na uwielbienie. Życie w iluzji najczęściej dokonuje się w złej wierze, ponieważ zwykle człowiek wie, jaka jest jego prawdziwa wartość i jego bycie w nieprawdzie ma charakter samooszukiwania. Prowadzi to do mniej lub bardziej uświadomionego lęku osoby wyzbytej pokory, że inni odkryją jej prawdziwą wartość, demaskując stworzoną przez nią iluzję i zdzierając przybraną przez nią maskę²⁹. J. Tischner związek między pokorą a wolnością widział w następujący sposób: „Pokora to szczególny „sposób bycia” człowieka, sposób przejawiania się jego dobrej woli. Człowiek, który „w niej jest”, nie wynosi się „ponad siebie”, ale również się „nie garbi”, nie udaje nędzniejszego, niż jest. Człowiek jest taki, jaki jest. Pokora ma w sobie coś z wolności, którą rodzi w człowieku prawda”³⁰.

²⁸ S.G. Klimas, *Koinônia - wspólnota z Bogiem i braćmi. Realizacja nowotestamentalnej koinonii w monastycyzmie*, Kielce 2017, s. 127-128.

²⁹ Por. W. Załuski, *Wolność jako sposób istnienia dobra. O filozofii wolności Józefa Tischnera*, w: *Studia z Filozofii Polskiej* t. 10 (2015), s. 92.

³⁰ J. Tischner, *Etyka wartości i nadziei*, w: D. von Hildebrand, J. A. Kłoczowski, J. Paściak, J. Tischner, *Wokół wartości*, „W drodze”, Poznań 1984, s. 112.

● **Modlitewna lektura Słowa Bożego**³¹

Słowo Boże oświeca nas i pozwala nam poznać prawdę o sobie i o Bogu. W Liście do Efezjan św. Paweł porównuje Słowo Boże do miecza (por. Ef 6,17). Ten sam motyw odnajdujemy w Liście do Hebrajczyków, w hymnie pochwalnym na cześć Słowa: *Żywe bowiem jest słowo Boże, skuteczne i ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny, przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić pragnienia i myśli serca* (Hbr 4,12). Oznacza to, że Słowo Boże obnaża nasze sekretne myśli i odsłania nasze serce, do którego grzech wprowadził niepokój i nieporządek, czyniąc je nieprzeźroczyście dla światła Bożego.

Słowo przywraca wewnątrz człowieka Bożą jasność i daje klucz do odczytania prawdy o sobie. Tym kluczem jest oblicze Chrystusa, które odbija się na każdej stronie Biblii. Poznanie siebie, kim jestem, jakie jest moje powołanie, jaki jest cel i sens mojego życia, poznanie swojej godności, oraz słabości dokonuje się poprzez nieustanną weryfikację z Jezusem Chrystusem, Synem Bożym, który stał się człowiekiem i objawia nam nasze człowieczeństwo.

Obraz miecza oznacza także, że Słowo ma ranić, musi otwierać rany serca, odsłaniać błędne sytuacje, prowadzić do nawrócenia. Lektura Słowa, kiedy nie dochodzi do zadrapania myśli, serca, życia, przemienia się w formalizm. Słowo chce doprowadzić nas do głębokich korzeni naszego istnienia, do życia samego Boga³².

W księdze proroka Jeremiasza Bóg mówi, że Jego Słowo jest jak młot, który rozbija skały (zob. Jr 23,19). Słowo Boże w taki sam sposób kruszy pychę i wyniosłość serc ludzkich, rozbija bożki i idolatrię, i sprawia, że człowiek sercem pokornym i skruszonym oddaje chwałę Bogu.

Słowo Boże jest porównane do miodu (por. Ps 119,103). Słowo Boże, przyjęte z wiarą, przynosi doświadczenie głębokiej radości wewnętrznej. Człowiek wie, że Słowo to pochodzi od Boga i dlatego czuje, że przenika go światło i miłość. Wynika to

³¹ O modlitewnej lekturze Słowa Bożego można dowiedzieć się więcej uczestnicząc w rekolekcjach i kursach formacyjnych prowadzonych w ramach Biblijnej Szkoły Nowej Ewangelizacji św. Pawła przez siostry i braci ze Stowarzyszenia Życia Apostolskiego „Koinonia św. Pawła” w Kielcach, więcej www.rmissio.pl

³² Por. M. Magrassi, *Biblia i modlitwa*, Kraków 2002, s. 146.

z upodobania w Słowie, rozkoszowania się prawdą i Bogiem. Słowo Boże, które jest jak miód, przynosi pocieszenie, radość i nadzieję także podczas życiowych trudności i prób³³.

Poszukując prawdy o sobie dochodzimy do zamieszkania naszego własnego życia wewnętrznego i zgadzamy się, aby prawda o naszym wnętrzu rozprzestrzeniła się w nas: poznanie siebie staje się także poznaniem naszych ograniczeń, negatywnych aspektów, luk, które są w nas, a które stają się częścią nas samych, które normalnie tłumimy, odpychamy, bo nie damy ich poznać.

Poznanie naszej własnej nędzy, której towarzyszy poznanie Boga może stać się doświadczeniem łaski, miłosierdzia, przebaczenia, miłości Boga. Chodzi o to, aby nigdy nie oddzielać tych dwóch momentów drogi duchowej: poznania siebie i poznania Boga. W efekcie poznanie siebie bez poznania Boga rodzi rozpacz, a poznanie Boga bez poznania siebie rodzi zarozumiałość³⁴.

Chrystus, który jest prawdą, jest też drogą, która prowadzi do poznania zarówno Boga, jak i siebie. Podsumowaniem naszych rozważań niech będą słowa Jana Pawła II z encykliki *Veritatis splendor*: „Światłość Bożego oblicza jaśniej pełnią swego piękna w obliczu Jezusa Chrystusa, w tym „obrazie Boga niewidzialnego” (por. Kol 1,15) i „odblasku Jego chwały” (por. Hbr 1,3), „pełnym łaski i prawdy” (por. J 1,14): On jest „drogą i prawdą i życiem” (J 14,6). Dlatego ostatecznej odpowiedzi na każde pytanie człowieka, zwłaszcza na jego pytania religijne i moralne, udziela jedynie Jezus Chrystus. Więcej: sam Jezus Chrystus jest odpowiedzią, jak przypomina Sobór Watykański II: „*Tajemnica człowieka wyjaśnia się naprawdę dopiero w tajemnicy Słowa Wcielonego*. Albowiem Adam, pierwszy człowiek, był figurą przyszłego, mianowicie Chrystusa Pana. Chrystus, nowy Adam, już w samym objawieniu tajemnicy Ojca i Jego miłości objawia w pełni człowieka samemu człowiekowi i okazuje mu najwyższe jego powołanie”³⁵

³³ Por. G. Zevini, *Lectio divina we wspólnocie chrześcijańskiej*, Kraków 2004, s. 82.

³⁴ E. Bianchi, *Słowa dla życia...*, s. 165.

³⁵ Jan Paweł II, *Veritatis Splendor* 2.

ks. Stanisław Urbański

Warszawa

Dwie postawy wobec świętości

Świętość jest celem życia, ponieważ stanowi pełne urzeczywistnienie powołania człowieka. Wyraża ona najwyższy stopień rozwoju duchowego, uwieńczony miłosnym zjednoczeniem z Bogiem. Św. Paweł w swoich Listach (Rz 6,6; Kol 3,9; Ef 4,22) podkreśla, że wejście na drogę świętości dokonuje się poprzez śmierć „starego człowieka” i powstanie „nowego” usynowionego przez Boga. Ta wewnętrzna przemiana decyduje o rozwoju świętości, na drodze którego przewodnikiem jest Jezus (Hbr 2,10; 7,25). Dlatego Bóg jest celem zjednoczenia z sobą, na płaszczyźnie życia nadprzyrodzonego, otrzymanego w sakramencie chrztu, poprzez rozwój cnót teologalnych i darów Ducha Świętego. W ten sposób człowiek jest wyposażony w „dar świętości” w momencie przyjęcia sakramentu chrztu i jest jednocześnie uzdolniony do działania urzeczywistniającego zjednoczenie z Bogiem, co mocno podkreśla papież Franciszek w Adhortacji Apostolskiej *Gaudete et Exsultate* nr 15.

To zjednoczenie z Bogiem polega na miłości, którą wpiery objawił Bóg w swoim Synu, w Jego dziele odkupienia i zbawienia. Dlatego człowiek w odpowiedzi na tę miłość powinien odpowiedzieć swoją miłością tak, jak został umiłowany (KK 42). Albowiem miłość, wspierana pozostałymi cnotami boskimi oraz darami Ducha Świętego, łączy człowieka z jego nadprzyrodzonym celem. Zatem w rozwoju miłości Boga realizuje się autentyczna świętość. Im więcej chrześcijanin miłuje, temu więcej Bóg udziela łask na drodze świętości. Stąd też świętość zasadza się na miłości Boga i bliźniego. Spełniając to „nowe” przykazanie w sposób coraz doskonalszy, tym wyższy stopień osiągamy świętości. Jest ona więc odpowiedzią na najważniejsze orędzie Ewan-

geli (Mt 12,28-34), czyli chrześcijanin ma iść drogą Chrystusa. Stwierdza to jasno papież Franciszek, że świętość chrześcijanina „to nic innego, jak życie pełnią miłości” (GE 21). Dlatego, dodaje, że „miarą świętości jest to, jak wiele jest w naszym życiu Chrystusa, oraz na ile, mocą Ducha Świętego, kształtujemy nasze życie na podobieństwo jego życia” (tamże).

Miłość jest zatem siłą pociągającą i kierującą człowieka ku Bogu. W ten sposób miłość do Boga staje się podstawą działania człowieka. Zatem pełne zjednoczenie z Bogiem to zwieńczenie procesu rozwoju człowieka. Jest ono zależne od właściwego ukierunkowania i rozwoju miłości. Człowiek bowiem żyje i rozwija się poprawnie w porządku miłości, która osiąga swój szczyt w zjednoczeniu mistycznym z Bogiem. Stąd też miłość jako dar Boga jest podstawą rozwoju świętości chrześcijanina. Odrzucenie miłości jest równoznaczne z zatrzymaniem jej rozwoju, czyli jest odrzuceniem postępu duchowego. Otrzymany dar miłości, uzdalniający chrześcijanina do zjednoczenia z Bogiem, jednocześnie jest zadaniem. Bóg chce, aby człowiek szukał Go dobrowolnie i w ten sposób dążył do swojej świętości (VS 23-24, 34). Albowiem, jak pisze papież Franciszek, „istnieje tylko jeden smutek, nie być świętym” (GE 34).

1. Wybór danej postawy

Wobec świętości chrześcijanie wybierają dwie postawy: postawę zewnętrzną albo wewnętrzną. Najbardziej te dwie postawy widać na przykładzie naśladowania Jezusa jako wzoru. Chrześcijanin o postawie zewnętrznej patrzy na Jezusa jako na człowieka zewnętrznego działania, którego słowa i czyny mogą być studiowane jako siła pobudzająca do działania tylko na rzecz innych ludzi. Odkrywa Jezusa jako filantropa, a słowa św. Mateusza: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili” (Mt 25,40), uważa za pewne światło w życiu i działalności zewnętrznej. Ogranicza się tylko do działania zewnętrznego, do praktykowania środków pobożności, nie nawiązując relacji miłosnej z Jezusem. Zaś chrześcijanin o postawie wewnętrznej patrzy na Jezusa jako Boga-człowieka, który widział w człowieku największe wartości, a samego człowieka widział

całkowicie miłością złączonego wewnątrznie z Bogiem; człowieka pouczającego przez Boga Ojca. Taki chrześcijanin uznaje swoje życie zewnętrzne, zarówno w samotności, jak również w działaniu czynnym jako czynności integralnie złączone miłością z Bogiem i ta miłosna jedność jest dla niego najbardziej istotna i ważna. Albowiem taka miłość jest wewnętrznym, pełnym daniem siebie Umiłowanemu. Wówczas chrześcijanin nie szuka siebie, ale szuka bliźniego i siebie dla Boga ze względu na Niego samego, gdyż jest On godny miłości jako najwyższe Dobro.

Nasuwa się pytanie, jakie znaczenie mają te postawy dla rozwoju świętości i którą należy dobrowolnie wybrać? Chrześcijanin zewnętrzny włącza się w życie ludzkości, aby głosić Królestwo Boże pełne sprawiedliwości, prawości. Dlatego Królestwo Boże będzie oznaczać „świat”, w którym ludzkość może żyć w spokoju, w zgodzie, w sprawiedliwości. On zaś widząc potrzeby tego świata pragnie włączyć się, aby oddać się, ofiarować siebie na korzyść drugich. Jednocześnie włączony w sprawy tego świata, oddala się od procesu miłosnego zjednoczenia z Bogiem. Równocześnie potrzebuje w tej działalności zewnętrznej, wsparcia drugich, aby go podtrzymywali duchowo, darzyli nieustannym poparciem. Potrzebuje drugich modlących się za niego, posiadając radość z uczestnictwa z nimi w nieformalnej grupie modlitewnej. Ale zasadniczo chrześcijanin zewnętrzny nie szuka obecności Boga w prywatnej modlitwie, ale w czynności na rzecz innych osób. On widzi Boga pośród swojej działalności zewnętrznej, nie odczuwając potrzeby budowania wewnętrznej miłosnej jedności z Nim. Dlatego odnosi się pozytywnie do liturgii, ponieważ ona daje mu coś zewnętrznego; skupia go nad czymś co później może odnieść i znaleźć znaczenie w jego życiu. On bardziej zastanawia się nad tym, co się wydarzyło i bardziej jest „karmiony” przez obecność, gdzie jest akcja, gdzie jest zewnętrzna działalność. Ponieważ jego siła wypływa z zewnętrznej działalności, dlatego jego rozwój duchowy jest budowany przez usługę na rzecz drugich; przez oddanie energii i czasu; przez towarzyskie rozmowy; przez wszystkie czynności dla dobra innych. Człowiek zewnętrzny uważa, że spełnianie dobrych uczynków samo z siebie buduje sprawiedliwość, pokój, relacje pozytywne między ludźmi.

Człowiek wewnętrzny zwraca większą uwagę na rozwój duchowego życia. Postęp na drodze rozwoju doskonałej miłości może nastąpić dopiero wtedy, gdy chrześcijanin nauczy się dawania, które jest przeciwieństwem egoizmu. Zatem istota miłości polega nie na braniu i posiadaniu, ale na nieustannym dawaniu, czynieniu daru z siebie samego. Człowiek bowiem, aby mógł ofiarować miłość, musi ją najpierw przyjąć w darze od Boga. Dlatego miłość bliźniego jest w nierozdzielny sposób związana z miłością Boga, a nawet z niej wypływa, gdyż wzorem miłości jest sam Bóg. A więc miłość bliźniego jest prostą konsekwencją miłości Boga. Albowiem, jak zaznacza papież Franciszek, „nie ma miłości bez uczynków miłości” (GE 85). Dlatego działanie zewnętrzne człowieka ogranicza się do wykonania czynów prosto, skromnie, bez zewnętrznego poklasku, gdyż ich pełnienie wypływa z umiłowania Boga. Stąd też w działalności zewnętrznej chrześcijanin nie będzie bardziej uciekał do modlitwy, do samopoznania siebie, do wewnętrznego kontaktu z Bogiem. Tam, gdzie człowiek zewnętrzny widzi natychmiast potrzebę działania czysto ludzkiego, człowiek wewnętrzny podejmuje działanie z godnością, stanowczością czulej miłości wobec bliźniego, która wypływa z miłości Boga. Dlatego człowiek wewnętrzny widząc potrzeby drugiego człowieka, zastanawia się nad własnym doświadczeniem Boga. Ucieka do prywatnej medytacji, do modlitewnego spotkania z Jezusem. W czasie Eucharystii nie tyle uczestniczy razem z „tłumem” wiernych w tajemnicy przeistoczenia, ile szuka osobistego i wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem. Dlatego nie buduje zewnętrznego świata poprzez różne działania, ale buduje najpierw Królestwo Boże w swoim wnętrzu, a potem w zewnętrznym świecie. Jednocześnie musi się bronić przed powierzchownym zadowoleniem, jak pisze Franciszek „przed zarozumiałą powierzchownością” (GE 38), a także przed szukaniem wdzięczności, które nie pozwalają mu być spokojnym w rozwoju życia duchowego i w głoszeniu Królestwa Bożego w zewnętrznym świecie.

Zasadniczo chrześcijanin powinien umieć realizować obie postawy. W realizacji życia duchowego potrzebne są obie postawy, czyli chrześcijanin potrzebuje czas na życie w miłości Boga i czas na życie dla bliźniego. Zwykle, chrześcijanin powinien

umieć wypełniać obie postawy z łatwością i jego życie duchowe powinno wyrażać rozumny, roztropny bilans między obydwoma postawami. W codziennym życiu chrześcijanin spotyka się z różnymi postawami ludzi, z różną ich działalnością, nie z własnego wyboru, ale z konieczności życiowych sytuacji. Dlatego może ulec zewnętrznej działalności, która nie jest jego wyborem, pożądaniem, a która z biegiem czasu może być niezgodna z pragnieniem miłości Boga przez człowieka wewnętrznego. Chrześcijanin zewnętrzny będzie się cieszył, gdy jego dom będzie otwarty dla wszystkich gości, ale będzie zapominał o wewnętrznym rozwoju miłości Boga. Zaś chrześcijanin wewnętrzny będzie szukał ciszy dla skupienia i modlitwy. Pierwszy będzie przeżywał przyjemność z głoszenia Ewangelii jako nakazu, jako konieczności głoszenia w aktualnym świecie, która obowiązuje wszystkich wierzących. Drugi zaś będzie kładł nacisk na to, że Jezus szukał ustronnego miejsca na modlitwę, dlatego będzie mówił o ewangelicznym nakazie jako o konieczności modlitwy. Trzeba zaznaczyć, że każda konieczność nakazu podjęta jako absolutna droga, może gwałcić tę drugą drogę modlitwy. Dlatego jedni stosują pierwszą drogę, inni drugą.

Chrześcijanin musi więc uznać, że ludzie wierzący będą podążać do świętości odmiennymi postawami; że zawsze będą wybierać między „akcją” a „kontemplacją”. Wobec tego troską chrześcijanina jest, aby nie wykluczyć obydwóch postaw w rozwoju życia duchowego, życia prowadzącego do mistycznego zjednoczenia z Bogiem. Jest bardzo ważne, aby każdy chrześcijanin poznał te dwie postawy, odkrył dla siebie obie, jako zasadnicze, a nie krytykował i odrzucał jedną z nich.

Trzeba podkreślić, że dobre poznanie tych dwóch postaw może być pomocne w rozpoznawaniu indywidualnych powołań. Te dwie postawy, kiedy uświadomimy sobie, pozwalają na współdziałanie, które wzbogaci, a nie zburzy postępowanie w świętości. Ale równocześnie te dwie postawy: czynna i modlitewna, zewnętrzna i wewnętrzna zawsze muszą być głęboko zakorzenione w jednym i tym samym doświadczeniu Boga. Chrześcijanin musi pamiętać, że tak jak Jezus został posłany na świat, tak też on jest zawsze posłany w świat w kontekście specjalnego doświadczenia

z Bogiem. Od Boga do świata – a nie odwrotnie. To ontologiczne działanie, podstawowe dla chrześcijańskiej świętości, zakorzenie w miłości krzyża pochodzi od Boga do świata. Odrzucenie intymnej Bożej miłości w naszych sercach jest też odrzuceniem przejrzystości naszej percepcji na świat należący do Boga. To jest eschatologiczna rzeczywistość Boskiej miłości, która uzasadnia i umożliwia absolutnie uniwersalną wcieloną obecność Jezusa w naszym świecie.

Nie ulega wątpliwości, że najlepszym środkiem odnowy duchowej i utrzymania jedności z Bogiem jest regularny czas przeżyty w spotkaniu Bożej miłości (postawa wewnętrzna). To doświadczenie Boga może mieć różne przejawy. Czasem prywatne, ukryte uczynki i wymagania zakorzeniają nas w kontemplacyjnej samotności i symbolizują naszą wewnętrzną postawę oraz zaufanie do Bożej miłości. Czasami w naszym współczesnym świecie inny rodzaj pokuty i czynów musi więcej publicznie świadczyć (postawa zewnętrzna) o Bogu przeciw specyficznym świeckim wpływom, często atakującym Jego istnienie. Ale te czyny, zarówno ukryte, jak i publiczne, jeśli są oparte na kontemplacyjnej świętości, to wskazują identyeczność sięgającą miłości samego Boga i są żywe w służbie całego świata. Ponieważ, jak pisze papież Franciszek, „miarą doskonałości osób jest stopień ich miłości” (GE 37).

Innym razem postawa wewnętrzna bierze kształt przeciągającej się modlitwy z samym Bogiem. Niezależnie od jego czasu i formy skutek jest zawsze taki sam: zatrzymać wszystkie zewnętrzne działania i tylko być, w głębokim pokoju, w ciszy Boskiej miłości. Nie jest to łatwe, ponieważ człowiekowi trudno jest „zawiesić” postawę zewnętrzną. Ale przebywanie z Bogiem zaskakuje nas i wytrąca z naszego życia wiele trosk, aby odnowić tylko bardzo ważne dla naszego życia duchowe treści, jak ufające posłuszeństwo w Boską zbawienną miłość w Jezusie. W takiej sytuacji spotkanie z Bogiem, konfrontuje i zaprasza każdego z nas, aby przestawić działanie zewnętrzne na wymiar wewnętrzny. Jest to zakorzenie w miłosnej jedności z Bogiem, które poza zewnętrznymi naszymi czynami buduje wewnętrzny styl życia. W tym ontologicznym wymiarze naszego życia, te dwie postawy,

tak różne, znajdują jednak wspólne uziemienie i tożsamość. To miłosne spotkanie z Bogiem nie powinno zmniejszać zewnętrznej działalności chrześcijanina, ponieważ znalazł on Boga w jedności obu postaw. Papież Franciszek zaznacza, że „prawdziwa mądrość chrześcijańska nie powinna być oddzielona od miłosierdzia względem bliźniego” (GE 46).

2. Wzajemna relacja postawy wewnętrznej i zewnętrznej

Postawa wewnętrzna jest więc bazą dla wszystkich zewnętrznych czynów, które powinny wydobywać znaki piękna i efektywności tego gruntownego zakorzenienia naszych serc w samej Boskiej miłości. W obliczu niezashuzonego i niewyjasnionego cierpienia, przykrej i msciwej nienawiści, niesprawiedliwej i niewolniczej biedy, entuzjizm postawy zewnętrznej wydaje się naiwnie nierealistyczny, a nawet niemożliwy. W tej sytuacji może zagościć w sercach „apostolów” w naszym świecie rozczarowanie i przygnębienie. Tylko chrześcijanin głęboko zakorzeniony w miłości Boga staje się wystarczająco silny, żeby poprzez swoje czyny ukazać zbawienną miłość Boga. Wówczas staje się wolny i wystarczająco wierny, żeby oddać się Boskiej miłości w postawie zewnętrznej dla zbawienia bliźnich. Tylko dzięki temu doświadczeniu świętości może czynić dzieła, niezależnie od wyżej wymienionej sytuacji. Brak tego zakorzenienia w świętości zawsze ogranicza zewnętrzną działalność chrześcijanina wobec aktualnych potrzeb świata. Jednocześnie przekreśla nasze świadectwo o Bogu, którego miłość na moc zbawiania i przemiany tego świata, niezależnie od zakłóceń jakiejś światowej siły.

W ten sposób służba Bogu poprzez czyny zewnętrzne, zakorzeniona w osobistej świętości, nie ulega uprzedzeniu, ale powiększa jeszcze bardziej Boską miłość. Dlatego chrześcijanin w aktualnej rzeczywistości świata staje ciągle przed wyborem: pozostać przy Boskiej miłości, czy odejść od niej, aby wciągnąć się w zewnętrzny wir tego świata. Zatem bez szczerego zakorzenienia się w Bogu apostołska działalność chrześcijanina, pełna entuzjizmu, radości jest niemożliwa. Odwaga samej ludzkiej woli jest niewystarczająca. Raczej potrzebna jest wiara pochodząca ze stosunku zależności wobec Boga. Tylko taka wiara może „prze-

nosić” góry niedowiarstwa w ludzkich sercach i może odsłaniać dla nich Boską miłość w naszych ludzkich słabościach.

To doświadczenie Boga w postawie wewnętrznej będzie prowadzić chrześcijanina do ukazywania Go w każdej sytuacji. Wówczas całe jego życie, choćby było proste, nudne, czy nawet bezsensowne, staje się doświadczeniem religijnym. Chrześcijanin zawsze odkrywa miłość Boga w ludzkich doświadczeniach i zawsze niesie tę miłość poprzez czyny zewnętrzne. Dlatego w życiu chrześcijanina te dwie postawy będą się wzajemnie przeplatać jako dwa ważne apostołskie style życia. Jednocześnie musimy być świadomi, że zaproszenie do realizacji osobistej świętości zakorzenia nas w Jezusie Chrystusie, bez którego żadna z tych postaw nie może być w pełni zrealizowana. Tylko w miłosnej jedności z Bogiem chrześcijanin może dokonać odnowy oblicza ziemi. Tymczasem papież Franciszek podkreśla, że nie „możemy wyznaczyć sobie ideału świętości, która pomijałby niesprawiedliwość tego świata” (GE 101).

Najwyższym wymiarem doświadczenia Boga jest gotowość oddania życia za bliźniego: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15,13). Wobec tej perspektywy człowiek czuje się bezradny i o własnych siłach niezdolny do jej zrealizowania. Dlatego Duch Święty przychodzi z pomocą ludzkiej słabości, objawiając miłość, stając się jej inspiratorem i nauczycielem. Na tej drodze życia duchowego chrześcijanin nie bazuje tylko na swych naturalnych siłach i zdolnościach, ale jest wspierany przez łaskę, która uzdalnia go do czynów miłości przemieniających serce nieprzyjaznego człowieka. Bez Jego pomocy chrześcijanin zachowuje postawę roszczeniową, nastawioną na konsumpcję dóbr, na ciągłe otrzymywanie, które czyni go skupionym na zaspakajaniu własnych potrzeb bez konieczności zauważenia i odniesienia się do potrzeb drugiego człowieka. Taki człowiek nie jest zdolny do realizacji miłości w czynach, gdyż pokochał siebie w sposób niewłaściwy, egoistyczny, czyli wyłączny. Tylko postawa dawania charakteryzuje miłość dojrzałą, która nie poszukuje pocieszenia, ale pociesza; nie pragnie zrozumienia, ale rozumie innych; nie oczekuje daru, ale obdarowuje; nie dopomina się miłości, ale

kocha. Taka miłość jest możliwa tylko wtedy, gdy chrześcijanin zanim pokocha bliźniego, wpięrw pokocha siebie, przyjmie siebie jako dar z rąk Boga. Dlatego w postawie zewnętrznej chrześcijanin nie może zrealizować przykazania miłości Boga i bliźniego, bez doświadczenia miłości Boga w postawie wewnętrznej. Człowiek kocha Boga i bliźniego, gdy zrozumie, iż pierwszy został ukochany i przyjęty. Stąd też Franciszek podkreśla, że w centrum życia człowieka jest miłość i jesteśmy wezwani do bacznego troski o miłość (GE 60). Albowiem miłosierdzie, „wyrażające się pragnieniem potrzebującym, jest ofiarą Bogu bardziej miłą, bo bardziej bezpośrednio odnosi się do potrzeb bliźnich” (GE 106).

A więc świętość nie może ograniczyć się do samej relacji „Bóg i ja”. Życie święte jest bardzo bogate. Im bardziej chrześcijanin rozwija w sobie świętość, tym bardziej staje się „ludzki”, a jego wnętrze promieniuje na zewnątrz miłością drugiego człowieka. Ten związek świętości z miłością bliźniego potwierdza nauka Soboru Watykańskiego II. W Konstytucji dogmatycznej o Kościele czytamy: „Toteż dla wszystkich jasne jest, że chrześcijanie jakiegokolwiek stanu i zawodu powołani są do pełni życia chrześcijańskiego i doskonałej miłości; dzięki zaś tej świętości chrześcijan, także w społeczności ziemskiej rozwija się bardziej godny sposób życia” (KK 40). Dalej czytamy: „Aby zaś miłość jako niesienie dobra wzrastała w duszy i wydała owoce, każdy wierny powinien... praktykować ustawicznie... ochoczą posługę braterską. Miłość bowiem, która jest węzłem doskonałości (Kol 3,14), kieruje wszystkimi środkami uświęcenia, formuje je i do celu prowadzi. Stąd też miłość zarówno do Boga, jak do bliźniego jest znamieniem prawdziwego ucznia Chrystusa” (KK 42).

Nauka Soboru mówi, że ludzie wierzący uświęcają się coraz bardziej w warunkach swego życia, pośród swoich zajęć, jeśli z wiarą przyjmują wszystko z ręki Boga i współdziałają z wolą Bożą, ujawniając także w służbie doczesnej tę miłość, którą Bóg umiłował świat (KK 41). Tylko tak rozumiana świętość, wyrażająca się w postawie wewnętrznej i zewnętrznej, jest dziś aktualna, rozwija bowiem w pełni człowieczeństwo chrześcijanina, uwypukla jego godność wyrażoną w miłości Boga i bliźniego. Człowiek ma żyć i rozwijać swoją świętość, stwarzając duchową harmonię

między Bogiem a sobą, a także bliźnim. Ma dążyć do doskonałej miłości, która daje uczestnictwo w życiu Bożym i realizuje się w miłości drugiego człowieka. Musi pamiętać, że Chrystus będzie osądzać człowieka po zakończeniu życia doczesnego z miłości czynnej. Dlatego miłość Boga i bliźniego to połączone ze sobą cnoty nadprzyrodzone. Nie da się bowiem, miłować drugiego człowieka prawdziwie nie miłując Boga. A więc świętość wewnętrzna wyraża się w świętości zewnętrznej. Można powiedzieć, że świętość zewnętrzna jest sprawdzianem świętości wewnętrznej, czyli umiłowania Boga. Wobec tego papież Franciszek stwierdza, że na końcu czasów człowieka pozostaną dwa bogactwa: „Pan i bliźni” (GE 61).

3. Wypaczenie obu postaw świętości

Jak już wiemy, zadaniem człowieka jest miłowanie Boga ponad wszystko. Ale musi to być miłość nieustannie wzrastająca. Tymczasem może być ona kierowana ku samemu sobie, lub ku drugiej osobie. Może dotyczyć dwojga ludzi lub Boga i człowieka. Zatem miłość Boga i człowieka jest wymagająca, ponieważ żąda walki duchowej z wadami ludzkimi, niedoskonałościami, pokusami, czyli ze skutkami grzechu pierworodnego. Od tego momentu słabość i grzech mają mieszkanie w człowieku i powodują duchowe zniewolenie. Tradycja duchowości nieustannie podkreślała potrzebę walki duchowej z tym, co człowiekowi jest wrodzone, razem z dziedzictwem grzechu pierworodnego. Zaniechanie tej walki grozi osłabieniem procesu miłości Boga i bliźniego. Ma ona prowadzić do rozwoju duchowego, czyli do miłosnego zjednoczenia z Bogiem, poprzez podporządkowanie tego, co ludzkie pod wpływ Ducha Świętego i jakby przenikliwe dla działania Jego łaski.

Ażeby podjąć walkę duchową chrześcijanin najpierw musi poznać dokładnie siebie. To poznanie samego siebie wiedzie do uświadomienia sobie tego, co stanowi w człowieku własność Boga i tego, co jest czysto ludzkie. Prawda o sobie przypomina człowiekowi jego własną niewystarczalność i potrzebę podjęcie współdziałania z Bogiem (J 15,5). Człowiek znający własne wnętrze łatwiej podejmuje współpracę z łaską Bożą. Albowiem zło spo-

wodowane grzechem pierworodnym jest „śmiercią duszy i ciała”, przy czym „śmierć duszy” to niezdolność do osiągnięcia o własnych siłach wewnętrznej świętości, czyli pełnego rozwoju umiłowania Boga. Wówczas chrześcijanin zastępuje Boga własnym „ja” i podejmuje wszelkie zewnętrzne czynności samowolnie. Odwraca swoje serce od Niego, zwracając się ku dobru fałszywemu. Nie dąży do celu nadprzyrodzonego, chociaż chrzest przywraca to dążenie, ale skłonność, będąca pozostałością po grzechu pierworodnym, niszczy uzdolnienie człowieka do umiłowania Boga i bliźniego. Człowiek czyni wtedy własne „ja” przedmiotem uczucia i poświęca dla niego samego Boga, stawiając siebie na Jego miejscu. Brak świadomości swojej grzeszności powoduje rezygnację człowieka z jej zwalczania, co z kolei wiedzie do naturalizmu, z którego człowiek nie może się wydostać o własnych siłach. Nie mając odwagi dokonać żadnego kroku, ulega on wówczas trwodze, a nawet rozpacz, która przeradza się w załamanie i zwątpienie w możliwość podjęcia walki duchowej.

Chrześcijanin musi podjąć walkę duchową z wadami, które są tendencjami przeciwstawnymi dla miłości nadprzyrodzonej, nawet gdy nie wyrażają się bezpośrednio w aktach grzesznych. Jako trwałe „korzenie zła” oddalają one człowieka od życia Bożego. Dlatego walka z nimi jest zwycięstwem samego siebie i otwarcia się na miłość Boga. Chrześcijanin również musi walczyć ze swoimi niedoskonałościami, które są bardziej związane z jego psychiką i jego warunkami życia praktycznego. Walka z nimi prowadzi do osiągnięcia pokory i powinna trwać przez całe życie chrześcijanina dążącego do świętości. Walka duchowa obejmuje także pokonanie pokusy. Jest ona niebezpieczeństwem grzechu, wywodzącym się z naszej natury, a zło, które za nią następuje, stanowi postać ulegania jej atrakcyjności. Człowiek jest zawsze narażony na działanie pokusy, gdyż ma ona ostatecznie źródło w nim samym. Ale Bóg wykorzystuje to zagrożenie dla jego dobra duchowego, bo uczy ono człowieka realnego spojrzenia na siebie i niedowierzania własnym siłom. Chodzi tu o zmaganie się z pożądliwościami, które reprezentują w gruncie rzeczy niższe tendencje człowieka. Jest to element zła w człowieku, obcy działaniu miłości Boga.

Proces tej walki duchowej nazywamy „pierwszym nawróceniem”. Oznacza on dojście do pierwszej świadomej decyzji, żeby przyjąć Boże wezwanie do zwrócenia się ku Niemu, do zawierzenia Jego miłości i do przeciwstawienia się własnemu egoizmowi. Albowiem człowiek po grzechu pierworodnym ma w jakiś sposób skażoną naturę. Człowiek często sprzeciwia się Bogu, odwraca się od Niego, próbuje szukać szczęścia tam, gdzie go nie ma, czyli popełnia grzechy. Trzeba podkreślić, że nie jest łatwą sprawą najpierw dobrze rozpoznać siebie, zwłaszcza swoje zaślepienie duchowe, które ściśle łączy się z osobistymi grzechami popełnionymi przez danego człowieka.

Dopiero ta walka duchowa rozpoczyna wewnętrzną świętość, która polega na rozwoju miłości otrzymanej w sakramencie chrztu i na „pokonaniu” wszelkich przeszkód utrudniających i uniemożliwiających ten proces. Jak już wiemy, świętość osoby ludzkiej polega na miłosnym zjednoczeniu z Bogiem, które ukazuje zjednoczenie jako komunie człowieka z Bogiem oraz pełnię osobowego rozwoju. Tak rozumiana świętość jest też nazywana świętością obłubieńczą, jaką chrześcijanin osiąga na szczycie rozwoju miłości. Zatem proces uświęcenia polega na przyjmowaniu działania Boga i współpracy z Nim, którego owocem jest pełne zjednoczenia z Bogiem przez miłość. Obrazem tego zjednoczenia są zaślubiny duchowe, małżeństwo duchowe, w których Bóg jest przedstawiony jako małżonek duszy. Innymi słowy, zjednoczenie wyraża tajemnicę miłości człowieka i Boga, która jest najgłębszym doświadczeniem dotyczącym bezgranicznej miłości Boga i odpowiedzią człowieka poprzez całkowite oddanie. Powstaje pomiędzy człowiekiem a Bogiem nowy stosunek, bardzo głęboki w swojej istocie, gdyż człowiek jest stale ukierunkowany ku Bogu, który w nim przebywa, jako podmiot poznania i miłości. Zatem Bóg czyni duszę człowieka swoim mieszkaniem i w tym stanie zjednoczenia miłość Boża jest udziałem człowieka w najwyższym stopniu, jaki jest możliwy na ziemi. Wokół tego objawienia Bożej miłości ku ludziom skupiają się doświadczenia mistyków.

Dlatego chrześcijan musi uświadomić sobie tę obecność Boga, czyli, jak pisze papież Franciszek „chodzić zawsze w obec-

ności Boga” (GE 148) i odnaleźć Go w duszy. Albowiem doświadczenie Boga oznacza, że chrześcijanin wie, iż jest w bezpośrednim kontakcie z Bogiem i to wpływa na całe jego życie. To doświadczenie opiera się na wierze i miłości. Dlatego świadomość obecności Boga we wnętrzu człowieka, jest kluczowa w rozwoju świętości wewnętrznej. Świadomość ta osiąga swój szczyt, kiedy chrześcijanin jest w najściślejszej łączności z Bogiem, a dokonuje się to wtedy, gdy jego władze zostaną uzdolnione przez Boga, aby człowiek mógł poprzez akty wiary i miłości oraz dary Ducha Świętego nawiązywać jedność z Nim. Zatem wewnętrzna świętość jest dojrzałym owocem życia darami chrztu. Dlatego zjednoczenie mistyczne jest stanem świętości chrześcijanina, gdyż wyraża najściślejsze zjednoczenie w miłości z Bogiem, mieszkającym w duszy w stanie łaski. I tę prawdę mocno akcentuje papież Franciszek w słowach: „[Bóg] w nas mieszka, ale lepiej powiedzieć, że to my w Nim mieszkamy, że On nam pozwala żyć w Jego świetle i w Jego miłości. On jest naszą świątynią” (GE 51).

Z tego wynika, że Bóg może oddać się człowiekowi wtedy, gdy on zwróci się do Niego miłością. Przyczyną takiego stanu jest fakt, że Bóg jest Miłością i nie może być przyjęty inaczej jak przez miłość. Tylko miłość może oddać człowieka Bogu i tylko miłość może sprawić, aby Bóg oddał się jemu. Ale ta miłość może ciągle wzrastać, ponieważ jej celem jest nieograniczony Bóg. Trzeba jednak zaznaczyć, że zjednoczenie dokonuje się przez łaskę, tzn. jest darem Boga, ale także dziełem człowieka, gdyż wymaga od niego współpracy z łaską. Zjednoczenie więc dokonuje się przez miłosne wyjście i spotkanie Boga i człowieka. Jest to najdoskonalsze dzieło miłości, które urzeczywistnia się na zasadzie wzajemnej wymiany. Człowiek pozostaje nadal sobą i staje się upodobniony do Boga. To Bóg daje siebie człowiekowi na miarę oddania się człowieka. Miłość łączy ich tak silnie, że czyni ich jednym przez miłość. Ale to jednak On kształtuje nas jak garniec, pisze Franciszek (GE 51).

Dopiero teraz możemy zauważyć wypaczenie wewnętrznej świętości, ponieważ sprawdzianem miłości do Boga jest miłość do bliźniego. A więc nie ma zjednoczenia z Bogiem w miłości bez kochania drugiego człowieka. Miłości Boga nie można oddzie-

lić od miłości do człowieka, są one wzajemnie powiązane tak, że udzielanie się Boga człowiekowi, jest uzależnione od jego postawy względem bliźniego. Bóg daje łaskę wzrostu w miłości do Siebie w zamian za miłość do bliźnich. Zatem oddanie się Jemu w miłości ma realizować się poprzez konkretne czyny miłości wokół osób, z którymi się codziennie żyje. Dlatego miłość Boga wyklucza wszelkie zło wobec drugiego człowieka. Jeżeli chrześcijanin czyni zło wobec drugiego człowieka nie rozwija autentycznej miłości do Boga. Jego wewnętrzna świętość jest fałszywa. Nie można prawdziwie kochać Boga, gdy czyni się zło drugiemu człowiekowi. Bo tylko „miłosierne postrzeżenie i działanie jest świętością”, pisze Franciszek (GE 82).

Tę naukę potwierdza sam Jezus: „Z wnętrza bowiem, z serca ludzkiego pochodzą złe myśli, nierząd, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zazdrość, obelgi, pycha, głupota. Całe to zło z wnętrza pochodzi i czyni człowieka nieczystym” (Mk 7,21-23). To Jezus uświadamia nam mocno potrzebę walki duchowej i wskazuje jeszcze na jedno wypaczenie świętości. Człowiek może na zewnątrz czynić szlachetne czyny wobec konkretnego człowieka, a wewnętrznie może być podły, zazdrosny, pyszny, itd. Wobec takiego stanu ducha, nie posiada wewnętrznej i zewnętrznej świętości, ponieważ jest obłudny. Jego świętość jest obłudna, fałszywa, faryzejska.

Wielu chrześcijan uznaje tylko zewnętrzną świętość, nie pracując nad rozwojem wewnętrznej świętości, czyli nie rozwijając cnót teologalnych i darów Ducha Świętego otrzymanych w sakramencie chrztu. Przez zewnętrzną świętość rozumieją odmawianie praktyk pobożnościowych, takich jak” różaniec, inne modlitwy czy uczestnictwo w niedzielnej Mszy świętej. Dlatego wykonanie tych praktyk daje im poczucie spełnienia obowiązku pobożności i spokój sumienia. Tymczasem powyższe praktyki pobożnościowe są tylko środkami do rozwoju wewnętrznej świętości, a nie wewnętrzną świętością. Można wykonywać codziennie wiele praktyk pobożnościowych, a być wewnętrznie człowiekiem podłym, zazdrosnym, podstępnym, itd. Tymczasem, pisze papież Franciszek, Duch Święty „przenika nas całą Swoją mocą i uwalnia nas od słabości egoizmu, lenistwa i pychy” (GE 65).

Wielu chrześcijan również nie potrafi zachować równowagi między codzienną pracą a codzienną modlitwą. Więcej czasu poświęcają na pracę, zaś inni wpadają w zaniechanie pracy na rzecz życia modlitewnego lub odwrotnie. Omawiałem to szerzej w punkcie drugim. Ale zarówno praca, jak i modlitwa nie są celem, czyli osiągnięciem świętości, lecz środkami rozwoju wewnętrznej świętości. Służą rozwojowi miłości Boga i bliźniego.

Zakończenie

Bóg stworzył każdego z nas innym, ale wyznaczył jednakową drogę miłości do świętości. Dlatego każdy z nas ma odkryć tę drogę miłości i realizować poprzez różne środki swoją świętość. Indywidualność świętości jest przykładem realizacji miłości Boga doświadczonego na drodze wewnętrznej. Mówimy często o „naśladowaniu świętych”, ale chodzi o naśladowanie ich postawy, ich entuzjazmu i woli bycia świętymi, a nie o naśladowanie szczegółów z ich życia, praktyk i działań. To naśladowanie, a przede wszystkim naśladowanie Chrystusa pozwoli nam przeżyć najgorsze sytuacje. Dlatego wewnętrzna świętość, realizowana w zewnętrznej świętości może pomóc ludzkości w obecnym świecie. Tylko święci ostoją się w czasach, które istnieją obecnie i które nadchodzą. Albowiem zewnętrzna świętość implikuje właściwe zrozumienie wartości i uczestnictwo chrześcijan w świecie. Zgodnie z tą wizją, wewnętrzna i zewnętrzna świętość chrześcijanina nigdy nie może istnieć dla jednostki (dla siebie samego), lecz zawsze musi także służyć duchowemu wzrostowi wspólnoty wiernych. Duchowa refleksja i wzrost są podstawowe dla osoby, lecz chrześcijańska indywidualność jest zawsze indywidualnością we wspólnocie.

Świętość wewnętrzna jest ściśle powiązana z naszym codziennym życiem. Dlatego zewnętrzna świętość daje człowiekowi nowe oczy, aby ujrzeć miłującą obecność Boga we wszystkich stworzeniach, w każdym wydarzeniu.

Literatura:

- Papież Franciszek, Adhortacja Apostolska *Gaudete et Exsultate* o powołaniu do świętości w świecie współczesnym, Rzym 2018.
- J. Gogola, *Teologia komunii z Bogiem*, Kraków 2001.
- B. Mokrzycki, *Kościół w świętości*, Warszawa 1984.
- P. Ogórek, *Czym jest świętość w teologii życia wewnętrznego Tomasza Mertona*, Kraków 1982.
- A. Słomkowski, *Teologia życia duchowego*, Ząbki 2000.
- M. Tatar, *Świętość chrześcijanina*, Sandomierz 2006.
- D. Wider, *Duchowość dla wszystkich*, Kraków 2001.
- A. Zelek, *Czym jest świętość?*, Ząbki 2005.
- S. Urbański, *Teologia życia mistycznego*, Warszawa 1999; *Mistyczny świat ducha*, Warszawa 2000; *Mistyka przeżyciowa kobiet*, seria: Mistyka polska 143, Warszawa 2015; *Mistycy w Kościele*, seria: Duchowość Europy 4, Warszawa 2016; *W szkole świętości*, Warszawa 2016; *Mistyka przeżyciowa z obrazem mistyki studyjnej*, seria: Mistyka polska 151, Warszawa 2017.



**ŻYCIE
KONSEKROWANE**

Recenzje

O. Anzelm od św. Andrzeja Corsini OCD, *Droga do miłości doskonałej*, Archiwum Założyciela Zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, Łódź, ss. 616.

Najnowsza książka wydana przez Zgromadzenie Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus jest kolejną pozycją sługi Bożego o. Anzelma Gądka OCD, która ukazała się w serii „Biblioteka Założyciela” jako 12 tomik. Stanowi ona największe dzieło autora (616 stron), należące do nauk rekolekcyjnych, skierowanych w sposób szczególny do osób konsekrowanych. Na początku przedstawię zawartość książki, później ukażę jej wartość teologiczno-duchową.

Sługa Boży o. Anzelm od św. Andrzeja Corsini (Maciej Józef Gądek) urodził się 24 lutego 1884 w Marszowicach, zmarł 15 października 1969 w Łodzi. Polski karmelita bosy, wieloletni prowincjał i definitor generalny, przeor m.in. w Wadowicach, Warszawie i we Wrocławiu, uczeń św. Rafała Kalinowskiego, organizator Międzynarodowego Kolegium Karmelitańskiego Teresianum w Rzymie, w którym przez 19 lat był rektorem oraz wykładowcą liturgiki i teologii moralnej, redaktor czasopisma „Głos Karmelu”, a także Założyciel Zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus.

Omawiany tomik w sposób szczególny odnosi się do założonego przez autora Zgromadzenia. Jest zbiorem nauk rekolekcyjnych wygłoszonych dla Sióstr Karmelitanek w 35 rocznicę powstania Zgromadzenia. Oryginalny tytuł dzieła to: *Myśli i uwagi rekolekcyjne*. Prezentowanemu dziełu nadano nowy tytuł, który jest klarownym przedstawieniem zawartych w nim treści i je uwypukla, nawet lepiej niż oryginał. Książkę poprzedza wprowadzenie (s. 5-18) s. Konrady Z. Dubel CSCIJ, w którym przedstawione zostały inspiracje skłaniające o. Anzelma do wydania tych nauk w formie pisemnej. W skład dzieła wchodzi: świadectwo autora, elementy duchowości, okoliczności powstania publikacji, dedykacja. Prezentowana książka podzielona została na 36 rozdziałów. Dzieło zostało napisane typowym językiem scholastyczno-tomistycznym, którego wówczas używano. Adresatami tego utworu w sposób szczególny są Siostry Karmelitanki Dzie-

ciątka Jezus. Układ tomiku jest przejrzysty i logicznie podzielony na rozdziały, które wzajemnie się przenikają.

Analizując tę publikację pod kątem teologicznym można wyróżnić w niej dwie zasadnicze części: pierwszą (rozd. I-VII) dotyczącą powołania karmelitanki Dzieciątka Jezus i drugą (rozd. VIII-XXXVIII), która jest swoistym traktatem teologicznym w katechizmowym ujęciu tajemnic wiary. W rozdz. I autor omawia elementy składowe, które są potrzebne do odbycia dobrych rekolekcji nazywanych „wielkim świętem”. Zalicza do nich: ciszę i samotność z Bogiem, najważniejsze ćwiczenie duchowe, czyli obecność Bożą, uroczystości zakonne, itd. W rozdziale „O Regule Karmelu” (II) twórca klasyfikuje założone przez siebie Zgromadzenie Karmelitanek Dzieciątka Jezus do duchowości karmelitańskiej. Ukazuje tło historyczne i ducha Zakonu Karmelitańskiego, aby w nim zaprezentować duchową patronkę Zgromadzenia św. Teresę od Dzieciątka Jezus. W rozdziale „O imieniu i duchu Zgromadzenia” (III), ukazane są: odrębność zgromadzenia oparta na kontemplacji tajemnic dzieciństwa Jezusowego, treść życia karmelitanki Dzieciątka Jezus oraz hasło zgromadzenia: „Niebem moim będzie czynić dobrze na ziemi, a także z nieba dla ziemi”. W rozdziale „O powołaniu zakonnym” (IV) autor ukazuje powołanie postrzegane jako łaskę, życie, głos Boga, wezwanie do wyrzeczenia i doskonałości; omawia też kompetencje Kościoła w ocenie powołań, wielkość łaski powołania zakonnego oraz różne drogi powołań, jego oznaki i różność form naśladowania Chrystusa, rozwój powołania, utracalność łaski powołania, a także odpowiedzialność i wdzięczność za powołanie. Natomiast w rozdziale „O konstytucjach zakonnych” (V) przedstawione jest znaczenie Konstytucji zgromadzenia jako „księgi życia i rozwoju”. Tutaj autor ukazuje Boskie Dzieciątko Jezus jako jedynego Fundatora i Założyciela Karmelitanek, które biorą nazwę od tegoż Dzieciątka. Rozdziale „O dziecięctwie duchowym” (VI) przedstawia właściwe dla zgromadzenia zrozumienie tajemnicy dziecięctwa duchowego. W Karmelu jest to z jednej strony radość z przebywania z Dzieciątkiem Jezus, a z drugiej łączenie się z Jego wyniszczeniem na krzyżu. W rozdziale „Kontemplacja tajemnicy dziecięctwa” (VII) autor podkreśla jak wielka radość płynie z kontemplacji tej ta-

jemnicy Jezusa Chrystusa, że duchowe dzieciństwo jest tajemnicą, wokół której skupiona ma być wspólnota jego duchowych córek. Jest to jest skarb, z którego siostry będą czerpały naukę i doskonałą formę życia zakonnego.

W dalszej części publikacji zawarte jest niejako kompendium dotyczące tajemnic wiary, świętych sakramentów i życia zakonnego w świetle tajemnicy dzieciństwa duchowego. Nie będę omawiał ich ze względu na obszerność dzieła, lecz zaprezentuję tylko ich tytuły: „O przeszkodach życia zakonnego” (VIII), „O przeszkodach wypływających z odczuć zmysłowych” (IX), „O łasce” (X), „O łasce uczynkowej” (XI), „O usprawiedliwieniu i łasce uświęcającej” (XII), „O cnotach” (XIII), „O wierze” (XIV), „O nadziei” (XV), „O miłości Bożej” (XVI), „O ślubach” (XVII), „O ślubie posłuszeństwa” (XVIII), „O ślubie i cnotcie czystości” (XIX), „O ślubie ubóstwa i jego wartości” (XX), „O modlitwie” (XXI), „O modlitwie myślniej” (XXII), „O życiu kontemplacyjno-czynnym” (XXIII), „O umartwieniu” (XXIV), „O sakramencie pokuty” (XXV), „O sakramencie miłości – Eucharystii” (XXVI), „Eucharystia jako ofiara” (XXVII), „Eucharystia – komunia” (XXVIII), „O życiu wspólnym” (XXIX), „O milczeniu” (XXX), „O pracy” (XXXI), „O klauzurze” (XXXII), „O upomnieniu i karceniu” (XXXIII), „O sukni zakonnej i szkaplerzu” (XXXIV), „O trzech aktach życia wspólnego – chór, refektarz, rekreacja” (XXXV), „O miłości wzajemnej” (XXXVI).

Przechodząc do analizy teologiczno-duchowej omawianego dzieła należy zauważyć, że myślą przewodnią całego tomu jest duchowość dzieciństwa Bożego. Ojciec Anzelm tak oto pisze: „Kiedy przegląda się Ewangelię świętą, to najpiękniejszymi w niej kartami są dzieje Dzieciątka Jezus. W Dzieciństwie Jezusowym miłość Ojca niebieskiego objawia się w niewypowiedziany sposób, bo „tak Bóg umiłował świat, że Syna swego Jedynego dał” (J 3, 16), objawia się i zstępuje z nieba miłość Słowa, że raczył się wyniszczyć, przyjąwszy naszą naturę (...) Ta miłość zstępująca z nieba i wstępująca znowu w niebo, rozlewa się przez to Dzieciątko Jezus w Duchu Świętym na wszystkie dusze ludzkie”. Tajemnica Boskiego Dzieciństwa ma się doskonale odwzorować w adresatkach tego dzieła, tak aby od Boskiej Dzieciny Siostry brały swoje imię, swoje powołanie i nade wszystko swój sposób życia. Jak-

że wzniosła to tajemnica, kreślona przez autora, którą mają żyć Karmelitanki Dzieciątka Jezus: „Ściany serca rozszerzają się od miłości, i ściany domu nie mogą pomieścić radości, jakie daje obcowanie z Dzieciątkiem i Jego królewskie dziecięstwo!”. Autor jednakże, czuwa z ojcowskim sercem nad tym, by tę tajemnicę dobrze rozumieć: „Łudziłby się jednak, ktokolwiek by sądził, że dziecięstwo duchowe to zabawa radosnego obcowania z Bogiem. Nie, ono jest bardziej ofiarą i bólem natury, którą trzeba zwalczać ustawicznie i z niej się wyzuć (...) Dziecięstwo prawdziwie pojęte jest codziennym cichym męczeństwem i heroizmem”.

Niech te cytaty zachęcą do sięgnięcia po całość traktatu zamieszczonego w omawianym tomie. Mogą to uczynić, zarówno osoby konsekrowane, jak i świeckie żyjące inną niż Zgromadzenie Karmelitanek Dzieciątka Jezus duchowością, ponieważ tajemnica dziecięstwa Jezusa Chrystusa, jak i inne cechy należące do Jego Osoby są adresowane do każdego ochrzczonego i stanowią o pełni Chrystusa. A od kogo dzisiejszy człowiek ma się uczyć tego, jak się stać dzieckiem, aby wejść do Królestwa Niebieskiego, jeśli nie od najdoskonalszego wzoru, jakim jest Dzieciątko Jezus? W tym względzie dzieło prezentowane przez sługę Bożego o. Anzelma Gądka może stać się doskonałym traktatem i podręcznikiem dziecięstwa duchowego.

o. Kazimierz Duda OCD

Bp Ignacy Dec, *Ku prawdzie na skrzydłach wiary i rozumu*, t. II, *Rozważania teologiczne*, Świdnica 2018, ss. 911.

Obszerny, liczący ponad 900 stron wolumin, łączy się tematycznie z opublikowanym w 2017 roku tomem zawierającym *Rozważania teologiczne*. Dwuczęściowa praca *Ku prawdzie na skrzydłach wiary i rozumu* jest owocem wieloletnich przemyśleń prof. dra hab. Ignacego Deca, biskupa świdnickiego, uprzednio wykładowcy a następnie rektora WSD i PWT we Wrocławiu. Oba tomy tej pracy zawierają publikacje z kilkudziesięciu lat: naukowe dysertacje i artykuły popularne, przemówienia okolicznościowe, homilie i kazania, wykłady wygłoszone podczas spotkań naukowych bądź duszpasterskich, a także katechezy, wspomnienia, wywiady, biogramy naukowców i osobistości kościelnych.

Tom drugi składa się z ośmiu rozdziałów, a jego struktura ukazuje bogatą panoramę zainteresowań filozoficzno-teologicznych autora, jego wieloletnią pracę naukowo-dydaktyczną oraz doświadczenie duszpasterskie w kierowaniu diecezjalną wspólnotą. Doskonała znajomość filozofii i teologii Jana Pawła II była powodem, że *Rozważania teologiczne* rozpoczynają się od prezentacji tego papieża i Benedykta XVI. Swoje doświadczenia wychowawcy alumnów, a później pasterskie, biskup świdnicki zawarł w II rozdziale swojej pracy. Dalsze jej elementy uwzględniają logikę inspiracji teologicznej: rozdział III omawia teologiczne cnoty wiary i miłości; IV poświęcony jest chrystologii i sakramentowi Eucharystii, a V omawia teologiczną koncepcję człowieka. Dalsze dwa rozdziały mają charakter historyczno-dokumentacyjny: VI omawia losy Kościoła katolickiego na Śląsku, a VIII przedstawia sylwetki czołowych ludzi Kościoła. Natomiast rozdział VII jest tematyczną kontynuacją antropologii teologicznej piątego rozdziału, omawia bowiem problematykę etyczno-społeczną i polityczną współczesnej Europy i Polski. Czy nie byłoby lepiej, aby rozdziały VI i VIII były usytuowane bezpośrednio po sobie, jako że obydwie mają profil historyczny bądź biograficzny? Bogactwo tematyczne *Rozważań teologicznych* recenzowanej pracy uniemożliwia adekwatną ich prezentację, niezbędne więc jest wyeksponowanie tylko niektórych wątków.

Książę bp Ignacy Dec habilitował się z zakresu antropologii Karola Wojtyły i Mieczysława Krapca. Ten fakt tłumaczy, że pierwszy rozdział jego pracy jest poświęcony nauczaniu papieża Jana Pawła II i Benedykta XVI. Większość rozważań w niej zawartych dotyczy antropologii: jej genezy, personalizmu, godności człowieka, problemów pracy, rodziny, życia, etyki, pokoju, kultury. Dwie wypowiedzi są poświęcone mariologii i Eucharystii w ujęciu polskiego Papieża. Dwa dalsze rozważania tego rozdziału omawiają myśl teologiczną Benedykta XVI, jego teologiczną koncepcję miłości przedstawioną w encyklice *Deus caritas est* i teologiczną cnotę nadziei z encykliki *Spes salvi*. Obie teologiczne cnoty są analizowane przez autora w kontekście współczesnej filozofii, m.in. G. Marcela i E. Blocha.

Autor był wieloletnim wychowawcą młodzieży duchownej jako profesor i rektor wyższych uczelni teologicznych. Odzwierciedleniem tego jest rozdział II. „Wokół formacji kapłańskiej, zakonnej i osób świeckich”. Paleta rozważań jest wielowątkowa; między innymi zostały podjęte następujące zagadnienia: formacja filozoficzna, teologiczno-duchowa i pedagogiczna alumnów; rola sakramentu pokuty w życiu kapłana jako spowiednika i penitenta; wychowanie do trzeźwości; duszpasterstwo powołań w świetle nauczania Jana Pawła II; katechetyczna posługa księży; ewangelizacyjna rola Kościoła; funkcja prawa kanonicznego; właściwe rozumienie relacji między wiarą a nauką. Po *Vaticanum II* wzrosła rola laikatu w życiu Kościoła; tej tematyki dotyczą omawiane zagadnienia: etos nauczyciela-wychowawcy; Akcja Katolicka – jej formy; religijno-patriotyczna postawa Polaków w Niemczech; etos pracy; wychowawcza funkcja rodziny; rola samorządów w funkcjonowaniu państwa.

W kolejnym rozdziale „Wokół wiary i miłości chrześcijańskiej” omawiane są zagadnienia dotyczące deklaracji *Dominus Jesus*, wskazujące na nieodzowność zachowania teologicznej ortodoksji przez katolików; sensotwórcza i kulturowa rola religijnej wiary; funkcja objawionego słowa Bożego w życiu chrześcijańskim; symboliczna i psychiczno-etyczna rola krzyża; specyfika poznania religijnego ujmowanego w aspekcie podmiotowym i przedmiotowym. Idea i cnota miłości została przez ks.

bpa Ignacego Deca omówiona w dwóch wymiarach: jako postulat praktykowania miłosierdzia oraz jako nakaz racjonalno-zasadnej miłości siebie samego. Ostatni problem, sporadycznie analizowany w katolickiej aksjologii, jest rozpatrywany w pracy wieloaspektowo i kończy się refleksją: „Właściwie przeżywać miłość do samego siebie [to] miłować w naszym wnętrzu samego Boga” (s. 262).

Logiczną konsekwencją problemów wiary i miłości jest rozdział czwarty „Wokół tajemnicy Jezusa Chrystusa i Eucharystii”. Biskup świdnicki, zgodnie z chrystocentryzmem teologii chrześcijańskiej, koncentruje swoją refleksję na osobie Jezusa Chrystusa. Omawia różne aspekty prawdy o wcieleniu: teologiczne, humanistyczne i kulturowe. Wiele uwagi autor poświęcił tajemnicy Eucharystii, uwzględniając także kategorie filozoficzne w jej eksplikacji – począwszy od patrystyki do czasów współczesnych. Nie pominięty został wymiar katechetyczny w przekazie prawdy o realnej obecności Chrystusa w sakramentalnych znakach chleba i wina.

Prawda o wcieleniu Syna Bożego łączy się ściśle z chrześcijańską antropologią. Tej problematyce poświęcony jest rozdział piąty „Człowiek w perspektywie teologii”. Analizowane są w nim istotne teologiczne i egzystencjalnie zagadnienia: bytowa struktura człowieka, idea wolności wewnętrznej rozumiana jako wyzwolenie od kłamstwa i zła, życie chrześcijanina jako pielgrzymowanie ku wieczności, rola domu i rodziny oraz jej współczesna kondycja, człowiek jako świątynia Ducha Świętego. W środowisku archidiecezji wrocławskiej wybitną rolę w wychowaniu akademickiej młodzieży odegrał ks. Aleksander Ziemkiewicz; jego osobie i aktywności duszpasterskiej są poświęcone dwie wypowiedzi na temat człowieka i miłości, „której trzeba się uczyć”.

Omówione dotąd rozdziały mają charakter doktrynalno-teologiczny. Rozdział VI „Ze współczesnej historii Kościoła na Dolnym Śląsku” ma profil historyczno-dokumentacyjny. Ks. bp Ignacy Dec – przez kilkadziesiąt lat związany z archidiecezją wrocławską – w swych wypowiedziach dokumentuje doskonałą znajomość historii teologicznych uczelni i Kościoła na Dolnym Śląsku. Przedmiotem jego rozważań są m.in.: Wyższe Seminarium Duchowne

i papieski Wydział Teologiczny; 46. Międzynarodowy Kongres Eucharystyczny w tym mieście; polska teologia po II wojnie światowej oraz nowopowstała diecezja świdnicka. Omówienie wyższych uczelni teologicznych we Wrocławiu uwzględnia ich strukturę, programy nauczania i wychowania oraz personalną obsadę dydaktyczno-pedagogiczną.

Ks. bp Ignacy Dec w swej aktywności, tak naukowej, jak i szczególnie duszpasterskiej jest żywotnie zaangażowany w aktualne problemy współczesnego świata i Polski. Odzwierciedla to rozdział VII „W trosce o naprawę Rzeczpospolitej i Europę jutra”, który zawiera artykuły o profilu pastoralnym publikowane w periodykach kościelnych, kazania i homilie publikowane w „Naszym Dzienniku” oraz wywiady i artykuły naukowe.

Omawiana problematyka jest wielowątkowa; najczęściej uwzględnia zagadnienia związane ze współczesną sytuacją ideologiczno-społeczno-polityczną Polski, Europy i świata. Najważniejsze bloki tematyczne są następujące: aktualna kondycja aksjologiczno-ideowa Europy i jej przyszłość; nieodzowność kultury etycznej – w tym prawdy – dla moralnej autonomii człowieka; humanistyczna inspiracja wiary i chrześcijaństwa; zagrożenia relatywizmu poznawczego i moralnego; kulturowo-społeczna funkcja mediów i niebezpieczeństwo manipulacji medialnej; patriotyczna i kulturowa rola katolickich mediów – w tym Radia „Maryja” i Telewizji „Trwam”, związanych z ośrodkiem toruńskim kierowanym przez o. Tadeusza Rydzyka; niebezpieczeństwo ekonomii izolowanej od etyki; potrzeba obrony biologicznego i duchowego życia człowieka. Autor rozważań, będąc głęboko zatroskany o dobro Polski, wielokrotnie wypowiada się za społecznym pokojem zagrożonym przez antynarodową aktywność pewność środowisk polityczno-partyjnych; potępia zdecydowanie postawy antychrześcijańskie, m.in. bluźnierczo traktujące religijne symbole (w tym krzyż); piętnuje medyczne zabiegi niszczące życie człowieka; broni postawy ludzi Kościoła; odwołuje się do chrześcijańskiej wizji Europy Jana Pawła II; apeluje o respektowanie klauzuli sumienia; wzywa do modlitwy za Ojczyznę. Biskup Świdnicki intelektualnie wyrósł ze środowiska realistycznej filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, stąd też, oce-

niając współczesną kondycję Europy i Polski oraz promując ich ideowo-aksjologiczną regenerację, często odwołuje się do filozofii klasycznej, ale zarazem dostrzega pozytywne elementy we współczesnej filozofii, zwłaszcza filozofii dialogu i teistycznym egzystencjalizmie. W tym względzie idzie śladami Jana Pawła II, który ubogacał tomizm elementami fenomenologii. Polski Papież uniwersalizm chrześcijaństwa harmonijnie łączył z głębokim ukochaniem ojczyznego Narodu. Analogiczny charakter mają wypowiedzi zamieszczone w VII rozdziale pracy; „W trosce o naprawę Rzeczypospolitej i Europę jutra”.

Ostatni rozdział omawia „Sylwetki ludzi Kościoła”. Posiada on głównie charakter historyczno-biograficzny, ale uwzględnia również aspekty doktrynalne – zwłaszcza teologiczne. Ks. bp Ignacy Dec skoncentrował swoją uwagę przede wszystkim na osobach związanych z dwoma ośrodkami: lubelskim i wrocławskim, jako że wyższe wykształcenie filozoficzne zdobył w Lublinie, ale większość swego życia spędził w Kościele wrocławskim. Ze środowiska KUL zaprezentowane są następujące osoby: o. Mieczysław Albert Krąpiec, długoletni rektor tej uczelni; ks. prof. Stanisław Kamiński, s. Zofia Józefa Zdybicka i o. prof. Hugolin Langkammer (przez wiele lat pracujący na uczelniach teologicznych Wrocławia). Charakterystyka ludzi Kościoła wrocławskiego obejmuje osoby o różnym statusie kościelnym i egzystencjalnym: pasterzy archidiecezji wrocławskiej – kard. Henryka Gulbinowicza i abpa Mariana Gołębiowskiego; tamtejszych biskupów pomocniczych – Wincentego Urbana, Pawła Latuska i Józefa Pazdura; profesorów teologii uczelni wrocławskich lub duszpasterzy – ks. Eugeniusza Tomaszewskiego, ks. Juliana Michalca, ks. Jana Kowalskiego, ks. infułata Władysława Bochnaka, ks. Wawrzyńca Bochenka, ks. Wiesława Gawlika, ks. Romana Rogowskiego, ks. Aleksandra Ziemkiewicza i ks. Michała Potaczały. Ks. bp Ignacy Dec poświęcił także życzliwe wspomnienie dwom osobom, z którymi osobiście był związany: ks. Marianowi Stanecie, proboszczowi na pierwszym wikariacie i swemu pierwszemu doktorowi, przedwcześnie zmarłemu, ks. Januszowi Czarnemu.

Wśród „Sylwetek ludzi Kościoła” szczególne miejsce zajmują trzy osoby: kard. Stefan Wyszyński, prymas Polski; kard. Zenon

Grocholewski, długoletni prefekt Kongregacji Edukacji Katolickiej i kard. Joachim Meisner, urodzony we Wrocławiu, emocjonalnie związany z tym miastem i bardzo życzliwie nastawiony do Polski. „Sylwetki ludzi Kościoła” zostały przez autora scharakteryzowane w sposób rzeczowo-objektywny, jak i życzliwo-inspiracyjny. Jest to bogaty materiał dla historyków Kościoła polskiego i polskiej nauki.

Rozważania teologiczne, zamieszczone w t. II pracy *Ku prawdzie na skrzydłach wiary i rozumu*, są zapisem dokumentującym naukową i duszpasterską aktywność biskupa świdnickiego w okresie wielu lat jego życia. Publikowane materiały mają różnorodny tematycznie i metodologiczno-profilowy charakter. Było to wynikiem wielości miejsc pobytu, sytuacji egzystencjalnych i społeczno-kościelnych, zróżnicowanego audytorium, itp. Walorem rozważań jest uwzględnienie wielu aspektów omawianej problematyki: filozoficznego, teologicznego, historyczno-biograficznego, psychologiczno-egzystencjalnego i społeczno-narodowego. Wspólnym fundamentem refleksji jest ich profil humanistyczno-personalistyczny i aksjologiczno-etyczny. Wyeksponowane zostały podstawowe wartości chrześcijańskie: prawda, etos, wiara, eschatologiczna nadzieja i miłość, połączona z ideą miłosierdzia.

Nauczanie pasterza diecezji świdnickiej pozostaje w jednoznacznej opozycji do ekstremalnego indywidualizmu i aksjologicznego relatywizmu, libertynizmu i postmodernizmu. Wyakcentowany filozoficzny realizm kontrastuje z iluzjami współczesnych ideologii totalitarnych i liberalnych. Godna podkreślenia jest także dobra strona edytorska książki. Dla historyków polskiego Kościoła praca *Ku prawdzie na skrzydłach wiary i rozumu* będzie ważnym źródłem, natomiast dla kapłanów, alumnów, osób konsekrowanych i laikatu może stanowić cenną pomoc w pogłębianiu wiedzy teologicznej i postawy etyczno-duchowej.

ks. Stanisław Kowalczyk

